

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ Nr 4/571 1995



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

Zb. FLORCZAK: **TERAZ PAŃSTWO**

Zb. BARAN: **JULIAN KLACZKO**

K. WOLICKI:

CZERWONI, CZARNI I WAŁĘSA

A. POSPIESZALSKI: **DWA POKŁADY**

POLSKIEGO CHRZEŚCIJAŃSTWA

SPIS RZECZY

Zbigniew Florczak		
(PELIKAN):	<i>Teraz państwo</i>	3
Zbigniew Baran:	<i>Julian Klaczko – Portret wygnańca</i>	22
Konrad Brodziński:	<i>Kaukaskie oko cyklonu</i>	39

ARCHIWUM POLITYCZNE

Janusz Mondry:	<i>Plan dla Japonii</i>	49
Andrzej Stach:	<i>Repatriacja Niemców rosyjskich do Niemiec</i>	55

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Czerwoni, czarni i Wałęsa</i>	63
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	73
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	83
Bogumiła Berdychowska:	<i>O Białorusinach w Polsce</i>	88

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>Dwa pokłady polskiego chrześcijaństwa</i>	92
-----------------------	--	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	101
Bohdan Osadcuk:	<i>Ukraina między Wschodem i Zachodem</i>	107
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Impresje litewskie (1)</i>	115

NOTATKI REDAKTORA

KRONIKA KULTURALNA

Jolanta Rokoszowa:	<i>Jubileusz Państwowego Instytutu Języków i Cywilizacji Wschodu w Paryżu</i>	129
Tadeusz Bujnicki:	<i>„Wileńskie konteksty romantyczne”</i>	133
Leszek Szaruga:	<i>O prasie literackiej po 1989</i>	136
–	<i>Komunikat POLCUL Foundation</i>	142

KSIĄŻKI

R.W.:	<i>Antologia dramatu emigracyjnego</i>	144
B.H.:	<i>Gorzka prawda</i>	146
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	148

•	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
---	----------------------------	-----

St. Bóbr-Tylingo, L. Chelmiński, prof. E.J. Feuerman, A. Poprawa, dr W.M. Szczygielski, A. Ziolkowska-Boehm:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
--	--------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień/Avril

1995

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Teresa Bomford, Evesham, Worcestershire (W. Brytania)	F. 100,00
Dla uczczenia pamięci Przyjaciół Romana Palestra, Karola Wagnera-Pieńkowskiego i Feliksa Konarskiego (REF-RENA) – Weronika i Jacek Machniewiczowie, Paryż	F. 300,00
Małgorzata i Adam Kuczyńscy, Paryż	F. 300,00
Elżbieta Piórkowska, Nowy Jork – Dol. 34	F. 166,00
Studio Filmowe „LOGOS”, Łódź	F. 1.000,00
Zamiast kwiatów na grób Marii Barbary Korewianki zmarłej 16 lutego 1995 r. w Chicago, i ku pamięci Jej Matki Heleny Korewiny – historycznej postaci w niemieckim łagrze w Ravensbrück, dzięki której przeżyło ten obóz wiele Polek – Zofia Romanowiczowa, Paryż ..	F. 200,00

DZIĘKUJEMY

Teraz państwo

ZNAK RÓWNANIA. Mamy wolne wybory, to jest minimum; ale teraz chodzi – o państwo. Wolne wybory nie przesądzą o tym, że państwo spełnia swoje cele. Kiedyś w ciągu całych dziesięcioleci pisywałem o państwie wszystko, co tylko można mu było wytknąć najgorszego. Z czego by wynikało, że do pochwały tej instytucji jestem najmniej powołany. Ale wtedy chodziło o fałszywkę państwa. Więc mój zwrot w stosunku do tej idei, pełny obrót wokół osi, nie jest – jak się w medycynie mówi – reakcją paradoksalną. Tamten trening myślowy na temat państwa nieautentycznego miał swoje dobre strony. Był odwrotnością męczącej tęsknoty za państwem z prawdziwego zdarzenia, uwydatniał jego niezbędność. Po drugie, pozwolił obnażyć cały problem do podstaw. Stał się odbiciem we właściwym kierunku.

Skąd już można było zobaczyć państwo o wszystkich najkorzystniejszych dla człowieka właściwościach, intensywnych i ekstensywnych. Potrzeba państwa nie jest zwykłym aksjomatem. Daje się udowodnić. Nie dość powiedzieć, że dla społeczeństwa państwo jest jego formą. Tkwi w tej definicji drażniąca bierność. Lepiej uzmysłowić sobie państwo jako organizm. Udowodniono, że naród potrafi żyć – i to aktywnie – bez państwa. Do tej możliwości pasywnej Polacy aż przesadnie nawykli. Ale to jest takie życie, jak życie człowieka dotkniętego katastrofalną chorobą zwaną ALS, czyli chorobą neuronów ruchu. Życie przykute do wózka i skazane na porozumiewanie się przy pomocy syntetyzatora mowy. Ułomność i szczątkowość organów ekspresji to przeciwieństwo idei państwa, od czasów, gdy ją postawiono, od najdaw-

niejszych dziwacznych spekulacji Platona. Powołaniem państwa jest działać i wypowiadać się w interesie narodu. Jego modelem jest dobrze funkcjonujące zdrowie.

Uwagi te traktować trzeba jako brulion, pełen niewidocznych dla czytelnika skreśleń, pytań i nawiązań. Dlatego tyle tego, bo jest to brulion najpoważniejszego od paru lat problemu: ustanowienia znaku równania między Polską a państwem.

LA POSPOLITE. Z tego, co rząd teraz wyprawia można by wnosić, że najwyżej sobie ceni właśnie konsolidację organów państwowych. Ale to mylne wrażenie, dość przypadkowy rząd utożsamia się z państwem, więc wszystko konsekwentnie zgarnia pod siebie, centralizuje, szczelnie kryje pozostałych członków ekipy. Ta partyjna i koleżeńska wersja umacniania państwa jest tylko kompromitacją tego, co pod tym pojęciem chcemy rozumieć. Tak u nas wygląda scena polityczna.

Aby w pełni ją ocenić należy ten spektakl oglądać jako całość. Nie osobno rząd – skonfrontowany z opozycją – tylko jedno i drugie razem. Z tej rzekomej konfrontacji rozpaczliwie nic nie wynika! Nasza klasa polityczna: ależ to pospolite ruszenie, „La Pospolite”, jak to ochrzcił Claude C. Rulière, w swojej „Historii bezrządu w Polsce”. Z której strony najlepiej wejść w tę całość, aby w jej *qualitas* się zorientować? Od strony korupcji? 1 miliard 300 tysięcy dolarów przepadło w jednym tylko z kilkunastu wciąż nie wyjaśnionych skandali, w tzw. aferze węglowej. Ilu w tej chwili prominentów oscyluje wokół kryminału? Gdy to notuję, akurat wrze na wierzchołkach parlamentarno-rządowych, Wałęsa wetknął po swojemu kij w mrowisko, nie zabezpieczając przyszłości. Ustalił się już kanon sprzedajności, więc przypomnę parę przykładów. Ten Podkański, któremu zarzucono kłamstwo, jedno za drugim. Ten Sekuła, z którego i obcęgami nie dało się wyrwać immunitetu. Niejaki Pokrowski, już w 1986 usunięty za łapówkarstwo ze stanowiska, wrócił pod skrzydła ministra zdrowia i robi swoje. Niejaki Baszniak przez półtora roku ścigany prokuratorskim listem gończym tak dobrze ukrył się na posadzie wiceministra pracy, że go znaleźć nie mogą. Jutro te nazwiska odłożone zostaną do archiwum, niewątpliwie usłyszysz się inne.

Nikomui nawet powieka nie drgnie. W poniedziałek 23 stycznia tego roku wyskoczył z IV piętra Takashi Nakanishi, 37-letni dyrektor wodociągów w Kobe. Nie był w stanie dostarczyć wody ofiarom trzęsienia ziemi. Japoński przykład na pewno rozbawiłby członków polskiego *establishmentu*. Wykonywanie władzy w wielkim stopniu zależy od pewności, że w tej dziedzinie najważniejsza jest pragmatyka. Ale wiarygodność władzy zbalansowana jest niewidocznym z daleka odważnikiem: honorem i zmysłem odpowiedzialności. Gdy interweniuje prokurator, sprawa została już dawno i nie tylko moralnie pogrzebana.

Dyskreja, honor i godność: wyrazy, których wręcz boję się wysylabizować – jakby nie z naszego systemu semantycznego pochodziły. Wydają się na tym miejscu nieestosowne, nawet prowokujące. Czy winna temu cała epoka ze swoimi plagami? Na pewno tak. Ale wystarczającą miarę tych rzeczy mamy tuż przed oczami.

Nie wiadomo co gorsze: nieuczciwość czy nieudolność? Jedno na pewno w jakiś sposób zależy od drugiego, tylko nie znaleziono jeszcze wzoru tego chemicznego przenikania. Sporządzany tu rachunek – po łebkach – jest zdecydowanie niekompletny, bo nie znam się na tych sprawach i tylko intuicyjnie podzielał strach wielu innych wrażliwców przed najgorszą jaką może być mieszanką: złej woli i administracyjnego niedołęstwa. W ciągu minionych kilkunastu miesięcy (głównie za sprawą PSL, stronnictwa o szczególnie niskim wskaźniku inteligencji) wrócono do inwestowania wielkich pieniędzy w przestarzałe rolnictwo, co przede wszystkim krzywdzi chłopów zamykając przed nim przyszłość. W Polsce jest to ciągle jeszcze wielka grupa wytwórców na modłę sprzed pół wieku – politycy znający się na swojej robocie powinni więc temu zabytkowemu wyrobnikowi wytłumaczyć, że tylko monokultura i technicyzacja rolnictwa poratuje rolnika. Nasi eksperci w tej dziedzinie mają o tym kategorycznie odmienne wyobrażenie, wciąż nie tak dalekie od ideału „byłe polska wieś spokojna”, z malowniczą kupą gnoju, kurami i świniami. Objaw nie tylko braku rozumu politycznego. Ważniejsza jest bodaj podszełka tego programu (którego w ogóle nie ma): byle dogodzić wyborcom!

Zamiast ich uczyć i nakłaniać do modernizacji – w ich własnym interesie i w interesie powszechnym – politycy udoskonalają technikę schlebienia kilku milionom wieśniaków, Bogu ducha winnych, że nie ogarniają ani cząstki skomplikowanej i co dzień zmieniającej się rzeczywistości. Schlebienie jest w ogóle rzeczą obrzydliwą, ale w tych okolicznościach to rodzaj politycznej lichwy: wykorzystywanie ignorancji wyborców z ich szkodą, a w perspektywie – na ich zglisnę.

Te same przesłanki i pobudki, ta sama technika mistyfikowania mas głosujących i ich pozornego dobra przyświecają w hamowaniu prywatyzacji, przy mąceniu rozwoju samorządności wszystkich szczebli, reformy lecznictwa, ubezpieczeń społecznych czy szkolnictwa. Od roku główny szef policji składa i odwołuje swoją dymisję, a przestępczość wychodzi na pierwsze miejsca w światowym rankingu. Co tam policjant, jeżeli przez całe miesiące nie było ani ministra spraw zagranicznych, ani ministra obrony i jednego czy drugiego ambasadora. Koalicja podporządkowuje sobie Polską Agencję Prasową i ostrzy zęby na względnie odważną telewizję, co ma związek z rosnącą tendencją do samochwalstwa, w stylu Gierka. Bojkot unowocześnienia państwa nie odbywa się, *nota bene*, z podniesioną przyłbicą, tylko po kryjomu, w szumie frazesów: mamy więc i tchórzostwo, aby obraz tej rejterady był kompletny. Ponieważ publiczność sceny politycznej jest dokładnie na tym samym poziomie, co aktorzy, więc nie pasjonują jej żadne istotne procesy w państwie, tylko awanturnictwo. Obywatelskie masy przypatrują się temu ze smakiem.

Za cały repertuar mógłby starczyć Wałęsa, lustrzane odbicie powszechnego chałturzenia, w jego wypadku podniesionego do rangi powołania, które naprawdę bierze sobie do serca. Postać szekspirowska, w pewnym sensie, i byłaby interesująca, gdyby nie dotyczyło to naszego bytu. A opozycja?

Czynna kontrowersja między politykami u władzy a politykami tzw. posierpniowymi istnieje tylko w założeniu. Naprawdę jej nie ma. Koalicja u steru wygrała swojego czasu wybory pod demagogicznym hasłem „tak dalej być nie może”. Slogan ten doprawdy mógłby się stać aż nadto łatwym łupem oponentów, bo był produktem cynizmu, ale szansy nie

wykorzystano, nawet jej nie tknięto. Różnice między jedną a drugą stroną są teoretycznie istną kopalnią argumentów do wyeksploatowania, trzeba tylko umieć wprowadzić je do publicznej dyskusji i nadać temu skuteczność. Jakiż to kuszący potencjał dysonansów i dysocjacji wynikających z antagonizmu ostatnich co najmniej piętnastu lat (żeby dalej nie sięgać), ale także i z rozbieżności duchowych, które mimo całego klajstrowania prawdy zachowały swą aktywność. Nie ma wciąż zasadniczej decyzji: jakim okiem i z jakiego miejsca spojrzeć na Polskę, rozważywszy jej realia? Załóżmy, że zjawia się teraz między nami nowy pełen sił Cat-Mackiewicz, mistrz politycznego persyflażu, jakiś nowoczesny Cat wkraczający w tę kaszę z całym impetem historycznych skojarzeń i sugestywną mocą współczesnych ocen. W tych warunkach polemicznych dziecinną igraszką byłoby dla niego dowieść, że nie ma polityki bez energii specjalnego gatunku, wymagającej dwóch rzeczy: dobrej głowy i bezinteresowności noszącej także nazwę ideowości. Ten by zadał bobu „pomniejszycielom ojczyzny”! Ale nie ma co się rozmarzać. Opozycja nie wyłoni z siebie nikogo w tym rodzaju, bo już dawno mielibyśmy dobitne artykuły i angażujące książki, wielką publiczną debatę. Opozycji brak wiary we własne jestestwo, nie istnieje nic takiego jak „obóz posierpniowy”, tylko setka rozkojarzonych osobistości niezdolnych się pozbierać do kupy. Ktoś powiedział, że „nie ma takiej siły, która połączyłaby znowu Bujaka z Niesiołowskim” a to świadczy tak o jednym jak i o drugim, a w końcu o nich wszystkich, jeżeli Bujak i Niesiołowski uchodzą tam za indywidualności. Chaos jest dotąd głównym dziełem opozycji.

„Ciasnota widnokągu umysłowego skutkiem nieuctwa i chępliwości, dzikość obyczajów, zaślepienie ogólne”. W tych terminach, czerpiąc je u klasyków, przedwojenni belfrowie podsuwali nam zasadnicze pojęcie anarchii. Akceptowaliśmy je ze wstrętem, ale i bez obawy, że to może jeszcze kiedykolwiek naszych pokoleń dotyczyć. Niby teraz wszystko wygląda inaczej, ale wystarczy tamte terminy przełożyć na bardziej współczesny język, by z przerażeniem odkryć nieomal identyczność: politycy noszą czyste kołnierzyki i czarne długie paltoty, jednak to wcale nie znaczy, że o dzikości obyczajów już nie może być mowy, a tym bardziej o tym zaślepieniu

ogólnym. Historia tę feralną wartość ze znakiem minusowym zdołała przenieść aż do naszych czasów. W pewnym nowo odrodzonym piśmie, które rozkwitało w epoce Jaruzelskiego i Urbana, można przeczytać taką definicję „zwyczajnego oszołomstwa po 1989 roku”: *Największa koltuneria i pół-inteligencja sfrustrowana dopchała się do urzędów i zaszczytów. Na scenę wystąpili chroniczni ambicjonerzy, po dużej części ten gatunek, który za komuny mimo wysiłków nie zdołał się załapać. Dyletantyzm, lub zgoła nieuctwo, płycizna poglądów, napuszony werbalizm...* Autor widać sugeruje, na zasadzie kontrastu, że przed 1989 panowały nam rządy szczególnie oświecone i oddane ideałom. Wolałbym cytować z łamów bardziej wiarygodnych niż *Przegląd Tygodniowy*, ale cóż zrobić? Użyte tam określenia są całkiem bliskie prawdy i tym bardziej interesujące, że miota nimi tamta właśnie formacja, w ostatnim okresie wykluczona z dyskusji; w ten sposób krzyżują się nad naszymi głowami obelgi z różnych stron ciskane i co najgorsze, nie chybiają celu. Bardzo prawdopodobne, że na te rzeczy patrzymy przez jakieś szkła kontaktowe wyolbrzymiające obraz, przez specyficznie polskie okulary i z typowym historycznym przewrażliwieniem. Na to nie ma rady! Co nas mogą obchodzić zbiektywizowane porównania ze stosunkami w innych państwach, dobrze od stuleci osadzonych w swoich formach, gdzie nawet publiczne łajdactwo nie wykracza poza błąd w granicach tolerancji.

Ale nie w naszych warunkach. Tu każde nadużycie, każde polityczne głupstwo podkopuje fundamenty wzniesionego po amatorsku domu. Każde grubiaństwo! Jak się oni do siebie odzywają: prezydent do ministra: *Jak ja panu przydzwonię, to pan zobaczy!* Jeden minister o drugim: *Widmo krety na krąży po Belwederze!*

Polska cierpi na skandaliczny brak klasy politycznej i fatalny brak klasy u polityków.

DEMOS. Jednak politycy nie rodzą się z jakiejś materii nieożywionej, jak kiedyś sądzono o muchach. Ich rodowodu i charakteru trzeba szukać w ogóle społeczeństwa, w tym rozbudowanym demograficznie, właściwie anonimowym zapleczu. Polityka służy ogółowi, to fakt, ale jednym z pechowych

skutków demokracji jest skłonność do idealizacji ogółu, wręcz dogmat o jego nieomyślności. Co mówię! Notoryczny brak stosunków demokratycznych w tym kraju, wykreślenie ich z życia w ciągu dziesięcioleci PRLu, spotęgował tę tendencję. W stopniu znacznie większym niż mogłoby się to zdarzyć w ugruntowanej tradycyjnie demokracji ustanowiliśmy teraz kult tzw. opinii publicznej. Najbardziej smakuje to, czego długo nie miało się w gębie. Tymczasem ogół, jakkolwiek mu będzie na imię, bynajmniej nie zasługuje na przesadny szacunek. Najlepiej się spisuje przy szturmie na szafce wroga, gdy się idzie, jak krzyczał Zagłoba, *viribus unitis*. Odruchy masowe najbardziej się sprawdzają w sytuacjach ostatecznego zagrożenia, bo jeżeli nie jest to panika, będzie to heroizm. I odwrotnie – cała para z tego organizmu uchodzi, gdy do odrobienia jest żmudna codzienność, rozłożona na dekady. Jakież to destruktywny wniosek, paradoksalny! Po takim wnioskowaniu trudno się pozbiierać – ale trzeba. – *Polacy to paskudny naród* – pisze Jerzy Giedroyc w swojej „Autobiografii”, ale zaraz dodaje, że inne narody też są paskudne. Może ma na myśli to samo, czego tu nawiasem dowodzę: pewnie tę impotencję zbiorowości uchwyconej w dwóch przecinających się kategoriach, masy ludzkiej i upływu czasu, który pozbawia naród ambicji wyższego rzędu. W odniesieniu do zbiorowości, do narodu czas jest bezlitosnym katalizatorem idei, odbiera jej żywotność.

Tyle gniewu i pogardy wychlustano na PRLowską komedię wyborów, tylu ludzi poszło za to do więzienia – a dziś w dniu powszechnego głosowania siedzi w domu więcej niż połowa dorosłej ludności. Idee tej wagi, tego lotu, co idea wolności nie wytrzymują ciężaru praktyki, o której decyduje *demos*. Ulegają przełamaniam i tracą treść. Obcowanie z nimi najpierw masy uskrzydla i rozpłomienia. Ale gdy zniknie opór rzeczywistości, która to uskrzydlenie uwierzytelnia – czar ustępuje i wiotczeje zapach. To jest reguła zachowania się tłumu. Nikt tego lepiej nie rozumiał, niż Gustave Le Bon, autor „La Psychologie des foules” napisanej w 1895, a więc równo sto lat temu. (Tłumaczonej u nas w 1930). Le Bon był wszechstronnym badaczem, pisał o biologii, medycynie, antropologii, klimatologii, mikrofizyce. Takich interdyscyplinarnych uczonych dziś nie ma, każdy trzyma nos zanurzony

w swojej działce. W dziele swoim dowiódł, że każda wiara w łonie tłumu rozprzestrzenia się nie wskutek podatności na argumentację, ale drogą infekcji. Lenin z jednej strony i de Gaulle z drugiej byli pilnymi czytelnikami Le Bona. Sformułował on także słynne zdanie, że „głosowanie czterdziestu członków akademii nauk nie jest więcej warte niż głosowanie czterdziestu nosiwodów”. Historycy, pamiętnikarze, powieściopisarze nieraz opisywali irracjonalność zachowań mas. Ale żaden teoretyk nie powiedział z taką precyzją, do jakiego stopnia te mechanizmy degradują czy obezwładniają demokrację. Tłumy są nie tylko materiałem do urobienia przez dyktatora, są także głównym źródłem inercji zorganizowanego społeczeństwa. W tym drugim wypadku organizuje się ono zgodnie z wymogami mentalności prymitywnej, filisterskiej – i wyłania z siebie ekipę polityków będących jej odbiciem, co jest zupełnie naturalne.

Zbiorowość stanowiącą demograficzną treść państwa można oceniać tylko w jej konkretnej i współczesnej fazie. Tylko wtedy jest szansa zaobserwowania na czym polegają trudności porodu tego dziecka, z którym wiąże się tyle nadziei: polityka. Nie przynosi go bocian, jest owocem tłumnego środowiska kilku czy kilkunastu milionów kobiet i mężczyzn o minimalnej odporności na otaczającą ich rzeczywistość, którą zawsze się ocenia subiektywnie, człowiek nie jest komputerem. Jest to zbiorowość o takim a nie innym rejestrze intelektualnym i psychicznym, a myślę że muzyczny termin dobrze tu pasuje, bo mamy do czynienia z mniej czy więcej wyraźnym przytępieniem słuchu. Nie można się spodziewać nadzwyczajnej muzykalności u potomków.

Stare to jak świat – i naturalnie już Grecy obgadali to u siebie, nawet bardzo dosadnie. Około 425 przed naszą erą powstał anonimowy tekst, następnie, bez dowodów, przypisywany Ksenofonowi, pt. „Konstytucja Ateńczyków”. Autor burzy się przeciw rządowi przeciętności, które według niego zmierzają nieuchronnie do hegemonii klas ludowych, owego *demos* (przedtem nie mającego praw politycznych). Demokracja jest z natury nietolerancyjna, twierdzi pseudo-Ksenofon, kijami się rozprawia z przeciwnikami. I dużo w tym prawdy, choć nas przyzwyczajono do utożsamiania demokracji z tolerancją. Nacisk przeciętności, arogancję

filisterstwa odczuwamy dziś na własnej skórze, może na razie w stopniu nie tylko definitywnym, co ostrzegawczym. Kijów już się nie używa, ale kto ma instrumenty władzy w swoich rękach, wymiar sprawiedliwości i wpływ na informację, tego tylko rzetelnie rozumiany interes państwa może powstrzymać przed nietolerancją. Rousseau w „Contrat social” nie przypadkiem zadał istotne pytanie: *Czy Wola Ogółu może błądzić?* Jeszcze jak! – odpowiedzielibyśmy autorowi „Uwag o rządzie polskim”. Pewnie, że ogół może się mylić, choćby z tej racji, że pozwala się łatwo zwodzić, zwłaszcza przy dzisiejszej technice informacji, manipulującej w dodatku obrazkami. Jeżeli się zgodnie z prawdą twierdzi, że demokracja opiera się na informacji, to należy koniecznie dodać, że informacja bardzo często opiera się na szalbierstwie, sprzyja przemierzaniu pojęć, wreszcie jest już dziś zbyt złożona, aby mógł ją przeniknąć uzależniony od niej człowiek przeciętny. Informacja dawno przestała być wzorcem kanonicznym, blokiem wiedzy jednorazowej. Spycha to korpus wyborczy w labirynt bez wyjścia. Tezę o szkodliwym braku klasy politycznej trzeba uzupełnić: towarzyszy temu brak publicystyki stawiającej sobie wysokie cele, regulowanej poczuciem odpowiedzialności.

ROZCZAROWANIE. Dawny przejrzysty układ między inteligencją a ludem nie jest już do odtworzenia. Dlatego, że oba pojęcia straciły poprzednią treść, co zmieniło zasadniczo związki między nimi. Tzw. inteligencja, jak ją rozumiano w tej połowie Europy na styku z Azją, reprezentowała wyobraźnię i rozum społeczeństwa. Oto wykarczowano ją na pniu. Zostały opiółki, bez mocy przyciągania, a tym mniej promieniowania. Gdyby podnieść w Warszawie kilkanaście dachów (więcej tego jest w Krakowie) może dojrzaloby się jeszcze coś w rodzaju poświaty, tlenie niegdyśiejszej kultury – już bez zastosowania. Względnie szeroki rzut ludzi o wykształceniu średnim a nawet i tych, co przeszli przez uniwersytety, został pozbawiony zakorzenienia w kulturze. O kulturze decydował kiedyś – dom. Według pewnej idealistycznej tezy krew proletariacko-chłopska miała dać impuls nowemu witalizmowi. Jednak najpierw ją przetoczono przez filtry tendencyjnego wychowania, z charakteryzującą je sklerozą pseudonauko-

wości – a zawieszono go za to w próżni etycznej. Edward Abramowski, choć nie zdążył doświadczyć bolszewizacji, potrafił przewidzieć, że „ustroje trwają w ludzkich duszach”.

Mimo to niektórzy się przebijali, stawali się ludźmi – na własną rękę, albo wypchnięci wydarzeniami. W sumie z PRLu ocalało znacznie więcej prawdziwych ludzi, niż kiedyś się obliczało, nad podziw dużo ludzi!... Ale nie oni przecież stanowią o poziomie duchowym zmasowanego społeczeństwa, gdy zabrakło tamtej trudnej do sprecyzowania jakości, jaką była warstwa inteligencji. Jak sól rozpuściła się w wodzie, otoczona roztworem pospolitości. O ironio! zdecydował o tym powszechny dostęp do oświaty, dla którego czas swój i siły poświęcali Siłaczkowie i Judymowie, prelegenci Latających Uniwersytetów, kobiety nie z tego świata, jak Radlińska, Sempołowska, Śniegocka, Szumska. Ich poświęcenie miało absolutny sens humanistyczny, wyciągało istoty ludzkie z kondycji troglodyty. Dzięki temu potem mogła się ułożyć szeroka warstwa zawodowa i wykonawcza. Ale wolno nam tę niezbędną rzeszę obejrzeć także i od innej strony: jako wyborców w głosowaniu o tylu a tylu przymiotnikach. Kryterium rewelacyjne, od czasu gdy wybory decydują o państwie.

Entuzjastycznie kiedyś pojmowany ideał powszechnej oświaty spowodował reżim miernoty. Głos wrzucony do urny jest głosem człowieka nierozgarniętego. Podstawowe szkolnictwo, a potem średnie z zasadniczą rolą gęstej sieci techników wyprodukowały przeciętność, pewną siebie z racji swej liczebności, przekonaną o zaletach swego statusu. Do czego dodać należy absolwentów większości fakultetów, gdzie amputowano wykształcenie humanistyczne. Niedawny premier jest takim właśnie produktem, no i pokazał, co potrafi, jak mówi. Te kolejne kontyngenty uzupełniały swój światopogląd, szlifowały swój język – w telewizji. Ileż to rzeczy objaśnia! Latające Uniwersytety zostały wyręzione przez Uniwersytet siedzący, masowego producenta subkultury.

Zgodnie z prawami publicystyki nie waham się tu użyć karykatury i pamfletu. Niech mi kto udowodni, że w danym przypadku tego rodzaju artykulacja jest nieusprawiedliwiona. Tandeta powszechnej oświaty jest niewątpliwie tandetą: w stosunku do milionów jednostek dobroczynna – ale wywrot-

na nawa państwa nie zawsze daje sobie radę z tym obciążeniem.

Drogą imitacji wykształcenia skasowano poprzednią biegunowość różnic. To pociągnęło za sobą zneutralizowanie wektorów napięć między dwoma biegunami, dzięki którym pojawiali się przedtem ludzie pewnego gatunku i pewnego gatunku idee. Jest to w ogóle sprawa zasadnicza, ale niezmiernie trudno ją wyłożyć bez narażania się na zarzut wsteczności. Ośmieliłbym się to nazwać rozczarowaniem, jakie przyniosła filozofia postępu od paruset lat uznana za jedyny kierunek socjalny. Wszystkie ideologie pchały do zamazywania różnic między ludźmi – bez uświadamiania sobie skutków ubocznych tej tendencji. Skutki uboczne? Wydaje się, że zjawisko zasługuje na intensywną analizę. Nie sposób się sprzeciwić rudymmentarnym ideom wypisanym na sztandarach Francuskiej Rewolucji, choć była ona równocześnie światową premierą państwa opartego na terrorze. *Liberté, égalité, fraternité*: niewymienialne drogowskazy. Dlatego problem jest tak piekielnie delikatny. Bo – z drugiej strony – nie można się oprzeć głębokiemu rozczarowaniu jakie zgotowała światu demagogia podniesiona do rangi filozofii życia, filozofii prawa.

We współczesnym zmacerowanym (głównie dzięki mass mediom) społeczeństwie znikły grupy aktywne i kompetentne, które podjęłyby się przodownictwa: w duchowym znaczeniu tego słowa, czerpiące energię z zasobów inteligencji i charakteru. Mamy za to liderów wyłonięnych przez biznes i bezczelność. Osobnicy mający za sobą tę tresurę odznaczają się absolutną pewnością siebie. Takie są kadry polityków.

Odbiegliśmy daleko od sentymentalnego obrazu tzw. szerokich warstw społecznych, zresztą nigdy nie był to obraz, tylko komiks na użytek infantylnych głów. Jak tę rzecz przedstawić, żeby nie zostać posądzonym o zwulgaryzowany nietzscheanizm? Ale właśnie dowodzę, że nie ma nic straszliwszego w skutkach niż wulgaryzacja, przede wszystkim wulgaryzacja wymogów stawianych człowiekowi. To wiedzie do wyjałowienia, skąd droga prosta do pesymizmu. Fryderyk Nietzsche! Jego imperatyw wyszarpywania siebie z niedoli

pesymizmu, „transformacji rozpaczy w najgłębszą i niezłomną nadzieję”. O „jego dumnym wyobrażeniu o prawdzie, jego odwadze wobec wiedzy, samopoznaniu i melancholii płynącej z wiedzy” pisał Tomasz Mann. Nietzsche mobilizuje. W ludzkim usposobieniu leży małość, zarozumiała i upominająca się o swoje. Cokolwiek pomaga w jej zneutralizowaniu, trzeba to przyjmować z wdzięcznością. Wierzę w elity (ściśle biorąc nie jest to kwestia wiary, tylko inteligencji). Mam na myśli to, co w elitach jest tylko ich żrenicą, to znaczy bardzo ograniczone liczbowo zjawisko wybitnych umysłów i charakterów.

W jakimś tekście, nie pamiętam gdzie, Józef Czapski napisał: świetny Polak. Dwa słowa, każde z osobna pospolite, ale w połączeniu ze sobą wywołują niesłychane wrażenie. Nie będę analizował semantycznych mechanizmów tego wrażenia. Ale chodzi właśnie o to, co miał na myśli Czapski.

PRZEZ UCHO IGIELNE. Nic łatwiejszego, niż pozwolić się wciągnąć w pułapkę zwaną zazwyczaj błędem retrospektywy. Dwudziestolecie! Czy wolno dziś powoływać się na wzorzec Dwudziestolecia? Trzeba jednak zmierzyć się z tym niebezpieczeństwem. Jerzy Giedroyc pisze w „Autobiografii”, że było to państwo jak z Gombrowicza. Jednocześnie jakby sam sobie zaprzecza gromadząc informacje o własnych pracach i pracach swoich przyjaciół, wyliczając wiele ważnych nazwisk. Oto wyzwanie dla dzisiejszej publicystyki: jak tego wielbłąda przeciągnąć przez ucho igielne, jak dowieść, że Dwudziestolecie pozostanie dla nas, pod wieloma względami, bogatym odniesieniem? Osąd Giedroycia (stał w samym środku tamtejszego wrzasku, co nie jest najlepszą pozycją do wyrokowania) byłby prawdziwą ostrogą dla współczesnych publicystów, gdyby tacy wreszcie dali o sobie znać. Tak jak polityka nie można mylić z mężem stanu, tak samo dziennikarza nie wolno mylić z publicystą.

Dziennikarz jest, w założeniu, dyspozytorem informacji. Ale tego towaru nie umie uczynić niezbędnym w społecznym obiegu. Nie znalazł jeszcze sposobu na lenistwo umysłowe swego masowego odbiorcy. Sprzedaje sensację, wykręca się dowcipem, czy tym, co uważa za dowcip. Gorzej: wmawia ogółowi kwalifikacje, których ten nie ma, bo mieć nie może: zdolność osądzania polityki. Powołuje się chętnie na rozmaite

kwestionariusze wypełniane przez kręcących się po ulicach studentów, w rodzaju OBOP-u. Daleko stąd do publicystyki, która jest niezawisłą służbą publiczną, więc nie może być na służbie u tzw. opinii publicznej. Ten sam przymiotnik, ale to dwa rodzaje zależności, dwa niezbieżne kierunki.

Dwudziestolecie przeciwstawione współczesności. Wypisuję mały fragment z ostatniej książki Marka Nowakowskiego „Honolulu” opartej na autentycznych wyznaniach byłego ambasadora PRL w Paryżu: „Przez te wszystkie lata obserwowałem postępującą degradację urody Polaków. Trwa zresztą nadal. Ci nasi generałowie, dygnitarze. Beki łoju, same kałduny i szerokie zady na krótkich odnóżach. A kiedyś ci generałowie! Prezencja, uroda, poziom umysłowy. Taki Alf-Tarczyński, Grzmot-Skotnicki, Kutrzeba, Wieniawa, Tokarzewski-Karaszewicz... To byli humaniści, malarze, lekarze. Równocześnie dobrzy fachowcy w sztuce wojennej. I pisali, dobre pióra. Wieniawa wiersze, tłumaczył Verlaine’a, Conrada. Nawet Kostek-Biernacki wydał zbiór bardzo ciekawych opowiadań pod tytułem ‘Diabeł zwycięzca’. Także niżsi oficerowie, urzędnicy...”

Charakterystyka dokonana na podstawie pozorów: ale czy można ją zupełnie zlekceważyć? Inteligentny narrator powieści przywiązuje wagę do tych pozorów, nad którymi miał czas się zadumać. Naprawdę się wydaje, że był to nie tylko inny kontekst, ale i inni ludzie, z odmiennego przedziału antropologicznego. Działacze oddani swojemu powołaniu, mężowie stanu gatunek dziś nie znany. Po 1926 Piłsudski wypowiada się dramatycznie: *Niech Bóg nad grzechami litościwy nam odpuści i rękę karzącą odwróci!* Hamletyzuje – jak o tym powie Adam Krzyżanowski. W ciągu trzech dni przewrotu zestarzał się o 10 lat. Paderewski, Dmowski, Narutowicz, Wojciechowski, Grabski, Ignacy Matuszewski, Hołówko, Ciołkosz... Urzeka mnie Askenazy. Żyd z sefardyjskiej linii średniowiecznej (jak Spinoza), powołujący się na swego słynnego przodka, lwowskiego rabina Chachama Zwi z XVII wieku. Jan Gawroński, sekretarz Askenazego w Genewie zanotował: „W odróżnieniu od Paderewskiego, który czuł się romantykiem, Askenazy czuł się wysłannikiem Polski Batorego (...) Nie było człowieka, który miałby tak głęboko ugruntowany

psychiczny kompleks potęgi Rzeczypospolitej jak on. Przepojony historią naszej przeszłej wielkości nie ulegał sugestiom terażniejszości. Z krwi i kości arystokrata wierzący w duchowe znaczenie wielowiekowej tradycji *Odi profanum vulgus et arceo*". W grudniu 1918, gdy wznosiła się fala rewolucyjna, na odczycie w Warszawskim Towarzystwie Naukowym wypowiada słowa, które wywołały burzę: „Kościuszko chciał, aby w Polsce rządziła głowa ludowa, ale nie buty!”

W tamtej epoce funkcjonowały nienazwane związki między polityką a twórczością. Gdy Piłsudski na odczycie cytuje strofę VI pieśni „Beniowskiego” („I gdy na sennych was uderzą strachy...”), to nie czuje się w tym retorycznego ornamentu, tylko trans, który go przez literaturę komunikował z przeszłością. Żeromski pisze „Przedwiośnie”, Berent „Nurt” – i tak aż do politycznego powieściopisarstwa Kadena. Samowiedza społeczeństwa znajdowała potwierdzenie w sztuce i nauce. Najlepszym poetą chłopskim był Żyd Leśmian. Paradoksalny Witkacy podrzyna sobie gardło, gdy nadciągali ze wschodu barbarzyńcy. Lwowska i warszawska szkoła o światowym blasku. Filozofia Ingardena, Ajdukiewicza, Twardowskiego, matematyczna logika Chwistka, Znaniecki w socjologii, Zieliński w antyku, spec staropolszczyzny Brückner, Czekanowski w antropologii. Teatr Osterwy, fotografia Bułhaka.

Teraz to wszystko świeci jak jednolity snop isker.

Polityka jest także rezultatem klimatu intelektualnego w narodzie, byłoby nonsensem sądzić, że ma prawo i zdoła od tego abstrahować. Wedle Arystotelesa miała być „nauką wszystkich nauk”. Zapomniana jest postać Stanisława Patka, adwokata jeszcze w carskich procesach (m.in. Stefana Okrzei). W 1914 Piłsudski wysłał Patka na Zachód, aby przekonał państwa Ententy, że legiony są wymierzone wyłącznie przeciw caratowi. W życiu osobistym Patek był wykwinutym zbieraczem porcelany, mebli, broni i miniatur, jego mieszkanie na Starym Mieście miało charakter oryginalnego muzeum. A przy tym wszystkim retor wspinały, przemawiający w Wer-salu obok Dmowskiego. O czym następnie mawiał: *Ostatnią moją klientką była Polska*.

Żadna ocena Dwudziestolecia nie może pominąć tego tła, na którym polityka się toczy, jak kula bilardowa odbija-

jąca się od band stołu. Takim tłem, a nawet gruntem jest kultura kraju. Nie może ulegać wątpliwości, że rasowy polityk wciąż się z tym kontaktuje, a czym bardziej osobiste jest to wycucie gruntu, tym lepiej dla jego pragmatyki. Zwykło się te rzeczy nazywać imponderabiliami. Stamtąd wyłaniają się ludzie, za jakimi potem rozgląda się historyk i publicysta, gdy usiłują wnikać w atmosferę decydującą o przeszłości. Atmosfera Polski przedwojennej była gęsta, świadczyły o tym przedsięwzięcia państwowe i krytyczne dzieło szeregu ludzi, jak Giedroyc, Adolf Bocheński, Czapski, Cat-Mackiewicz czy Swianiewicz. Dziś niedouczony obywatel nie ma o tamtych czasach żadnego zbliżonego do prawdy wyobrażenia, można się tylko domyślać, ile mechanicznie przejął z podręczników pisanych niedawno przez komunistów. Według pewnych kategorii metodologicznych stosowanych w historiozofii, Dwudziestolecie było jednym wielkim kryzysem i to prawda! Ale z całą różnorodnością, ze wszystkimi twórczymi napięciami kryzysu głęboko przeżytego przez tamte dwa zachodzące na siebie pokolenia. Był to okres, gdy państwo przesunęło się ku przyszłości i wzwyż. Wojny 1939 do tego obliczenia nie można wprowadzać. Druga Rzeczpospolita została na żywo zszyta z trzech płatów po rozbiorach, żaden nowoczesny chirurg nie podjąłby się takiej operacji, na tamtym połamanym stole, bez aparatury weryfikacyjnej, bez instrumentów i środków znieczulających. Naród podjął się tego w marszu i boju, w dymie pożarów na wszystkich granicach. Obowiązkiem współczesnych polityków i teoretyków jest uczyć się na pamięć tamtych treści, tego głębokiego oddechu, jaki naród brał w płuca, tamtego rytmu.

REZERWA INTELEKTU. Imponderabilia? Żadnych skłonności w tym kierunku nie widać u polityków. Tego zanarchizowanego środowiska nie można posądzić o plato-niczny chociażby afekt do znaków, symboli, jakichkolwiek asocjacji z zakresu kultury.

A byłoby do czego nawiązać, właśnie ten wątek w Polsce jest może najoryginalniejszy. Parę nazwisk wywoławczych: Lutosławski, Kołakowski, Kięśłowski, teatr Kantora, teatr Różewicza. Poeci Miłosz, Szymborska, Herbert, Zagajewski... Pójście w kierunku intelektualizmu, poetyckiej ironii,

spowodowało, że poezja stała się bardziej aforyzmem niż śpiewem. Adam Zagajewski powiedział: *Poezja traktuje historię jako partnera, ale partnera w walce. A jeżeli ktoś twierdzi, że z historii można wyjść, to jest to tylko pozorstwo. Intelktualizm polskiej poezji stał się jej siłą, polska szkoła poezji znana jest w świecie właśnie dzięki inteligencji i mądrości.*

Więc na płaszczyźnie stosunku do historii byłoby możliwe jakieś mniej czy więcej pośrednie kontaktowanie się polityki i kultury. A jednak żadnych relacji nie ma! Gdyby w wyobraźni ustawić naprzeciw siebie te dwa szeregi, twórców i polityków, to uderzałby wręcz groteskowy brak równowagi między jednym a drugim. Ludzie z prawdziwego zdarzenia, inspirowani talentem, naprzeciw ludzi z nieprawdziwego zdarzenia, obciążonych zarozumiałstwem. W jednej krakowskiej ekipie ubeków (wmieszanych w śmierć Pyjasa) używało się doskonałego powiedzonka: „umysłowe pustostany”.

Tym to ciekawsze, że w rodowodzie tej części polityków, która teraz ma głos, była kiedyś wpisana wyraźna, namiętne reklamowana tradycja intelektualna. Bolszewicy na początku robili wszystko, aby politykę unaukować. Lenin, Bucharin, Trocki i dziesiątki innych ust nie otwierali, pióra do ręki nie wzięli bez powoływania się na dziewiętnastowiecznych socjologów i filozofów, cała marksistowsko-leninowska biblioteka jest tym wybrukowana, jak piekło wybrukowane jest najlepszymi intencjami. Te w zasadzie chwalebne aspiracje filozoficzne i woła oparcia polityki na wiedzy bardzo szybko, jeszcze za życia Lenina, obróciły się w sterylizację filozofii i nauki. Zdecydował o tym dogmatyzm, nieuchronny jak się okazało czynnik w technice sprawowania władzy zrodzonej z fikcji. Zamiast idei wiodących ku przyszłości, badawczych i odkrywczych (o czym byli przekonani zauroczeni tą doktryną zachodni *compagnons de route*) wytworzył się w Sowietach system osłonowy, protekcyjnistyczny i defensywny. Ustanowienie zasady tzw. „właściwej interpretacji” oznaczało wyrok na pierwotne aspiracje. Zawiodło to marksistów-leninistów do parodii naukowości, a niedługo do każdego przejawu inteligencji. Stalin zadziwił świat lansowaniem szalbierza Łysenki z całą jego rolniczą metafizyką, a dwa czy trzy lata przed śmiercią pośpieszył z dziełem o lingwistyce...

Ale nie wystarczy odesłanie tego wszystkiego do muzeum karykatury. Jest w tym potencjał zachęcający do obejrzenia odwrotnej strony medalu. Może rewelacją okazałaby się teza o pożytku sztuki i nauki dla polityki. Nie chodzi tu bynajmniej o nieziszczalne ideały! Kwestia jest zupełnie praktyczna: czy z pojęciem polityka musi się łączyć obraz niedouka, osobnika z piętnem niemoty, jak niedawny premier? To stanowczo przesada, że politykiem może zostać byle kto, z partyjnego klucza. Ta coraz bardziej popularna konwencja jest wynikiem pseudokultury i przybiera na sile. Przyjmuje się bezkrytycznie, że polityk jest emanacją średniówki ogółu, czyli lichoty. Ze strony owych średniaków jest to rozwiązanie najzupełniej zadowalające, ale nie z tej drugiej strony, z naszej strony. Uważamy to za nieporozumienie i owoc rezygnacji. Ani rozczarowanie, ani rezygnacja nie są materiałem, z którego się zbuduje zasługujące na tę nazwę państwo. Zacząć trzeba od przekwalifikowania całego arsenału pojęciowego w służbie polityki. Ludzie, którzy do tej służby kandydują, nie mogą być rekrutowani z intelektualnych nizin, tylko na odwrót, z rezerw kultury.

OBEJŚĆ PAŃSTWO PIECHOTĄ. Umarł właśnie jeden z tych świetnych Polaków starej daty, 92-letni ojciec Józef Maria Bocheński, brat Adolfa i Aleksandra, uczony, werydyk, człowiek o niepospolitym impecie życiowym. W swoim Krótkim Filozoficznym Słowniku Zabobonów krytykuje między innymi – z punktu widzenia logiki – zabobon głoszący, że „państwo nie tylko nie jest potrzebne ludziom, ale nawet jest szkodliwe i należałoby je usunąć, aby ludzi uszczęśliwić. Prawdą jest, że państwo jest ludziom potrzebne, ale że nie jest bożkiem, któremu wszystko powinno podlegać”. W swoim kanciastym, nie kłopotującym się o styl języku ojciec Bocheński prawit zdawkowe i surowe prawdy.

Państwo nie ma prawa używać przemocy, ale do jego praw i obowiązków należy uczynić wszystko, aby inteligencja uzyskała przewagę nad bezmyślnością. Jedyny system państwowy, który spełnia oczekiwania człowieka i umacnia go w jego naturalnych aspiracjach do kultury, to system perswazyjny. Ludzi trzeba przekonywać, co może nie jest bezpośrednim zadaniem państwa, ale nie można wątpić, że jest ono zdolne

stworzyć warunki po temu. Ludzi trzeba przekonywać, do niczego nie wolno ich przymuszać, nawet przywiązanie do własnego państwa nie może być przymusem. To się samo przez się rozumie. Tak rozszerzony zakres obywatelskiej swobody w niczym państwu nie szkodzi, odwrotnie, stanowi jeden z istotnych dowodów, że państwo jest prawdziwe i rzetelnie pojmuje swój autorytet. Karl Popper pisał (cytuję z pamięci), że nie prawo wyboru rządu jest najważniejszym atrybutem demokracji, tylko prawo jego wymiany, od razu, gdy zachodzi potrzeba. Rozumiem to jako podkreślenie decydującej roli rozumu w problematyce państwowej.

„Pamiętniki” de Gaulle’a zaczynają się od najprostszych słów: *„Toute ma vie, je me suis fait une certaine idée de la France. Le sentiment me l’inspire aussi bien que la raison”*. Przez całe życie nosiłem w sobie pewną ideę Francji. Z natchnienia uczucia, ale w nie mniejszym stopniu – rozumu. To brzmi jak uwertura na początku koncertu. Nie wiem, czy ten nastrój i zawarte w nim sugestie mogłyby być w jakiś sposób przeniesione do polskiego kontekstu, który nie zachwyca pod żadnym względem. Jednak i w tym kraju żyje niejasna statystycznie grupa ludzi, którzy też mają swoją – analogiczną – pewną ideę Polski. Zignorować tego nie wolno, należy to za wszelką cenę zdyskontować.

Prawdopodobnie w każdym społeczeństwie, nie tylko w naszej „La Pospolite”, można tylko jego część brać poważnie pod uwagę i spodziewać się po niej zdolności promieniowania. A to już właściwie nie jest tak mało. *Strzeżmy się kiepskiej ontologii* – pisał ojciec Bocheński – *to znaczy założenia, że w świecie istnieją tylko rzeczy i nic innego, że więc nie ma w nich cech, ani relacji (...)*. Społeczeństwo jest czymś więcej niż sumą wszystkich jednostek, bo zawiera jednostki, a obok nich także realne relacje, które je łączą między sobą i ze wspólnym celem społeczeństwa. Fryburski filozof w białym habicie bardzo mi pomógł w tym finalnym ustępie, zawsze najtrudniejszym, bo czytelnik spodziewa się zwykle na koniec jakiegoś zaokrąglenia. Żadnego zaokrąglenia nie będzie. Nigdy nie ma zakończenia wywód w imię praw inteligencji... Ale te „realne relacje między jednostkami” ciągnące ku pewnemu wspólnemu celowi

– to przecież rodzaj energii i rodzaj miary. Innymi słowy: kontur państwa.

Tak. Nie chcę jednak poprzestać na konturze czysto teoretycznym, ograniczyć tendencje tego szkicu tylko do idei. Państwo jest rozbudowaną aparaturą materialną, trzeba je mieć w świadomości również jako rzeczywistość fizyczną, widzieć poprzez państwo ludzi, ziemię i jej przestrzeń. W szkicu Stanisława Ossowskiego „Ojczyzna i naród” znalazło się takie wspomnienie: *W 1935 spotkałem w Karpatach młodego Czecha, który postanowił obejść piechotą całą granicę czechosłowackiego państwa, niewątpliwie w przekonaniu, że to patriotyczne przedsięwzięcie wprowadzi go w osobistą łączność z całym obszarem – tak świeżej jeszcze w swej wydłużonej postaci – ideologicznej ojczyzny. Bezpośrednia znajomość stolicy i całej linii granicznej miała mu dać uczucie osobistego obcowania z tym wszystkim, co się znajdowało między Hradczynem a granicami nowego państwa.*

Żywię ogromną sympatię do umysłowości czeskiej, tak różnej od polskiej umysłowości, od naszej bezfrasobliwości. Przytoczona przez Ossowskiego anegdota jest kapitalna, to lekcja najprostszego stosunku do państwa. Kiedy każdy z nas zacznie wyczuwać państwo jako cielesność, rzecz dotykalną i własną, wtedy stosunek będzie prosty i zobowiązujący.

Zbigniew FLORCZAK (PELIKAN)

Julian Klaczko – Portret wygnańca

Tadeuszowi Dedowi Chrzanowskiemu

Czym jest wygnanie? Pojęcie to posiada konotację wyraźnie negatywną. Jednak Leszek Kołakowski w przekornie napisanym eseju „Pochwała wygnania” twierdzi, że rozwój cywilizacji europejskiej byłby trudny do wyobrażenia bez udziału emigracji. Wygnańcy polityczni czy religijni wnosili do krajów przybycia nieodzowny, żywy impuls, a sami stojąc nierzadko wobec ekstremalnych sytuacji wyzwalali swoje talenty i umiejętności. Przykład narodu żydowskiego jest tutaj symptomatyczny. Z „wygnania żydowskiego” cywilizacja europejska skorzystała najwięcej.

Pogląd Kołakowskiego pozwala nam obiektywniej spojrzeć na problem wygnania u Juliana Klaczki (1825-1906), jednego z pierwszych znaczącego formatu zasymilowanych Żydów w kulturze polskiej. Był on wygnańcem w podwójnym znaczeniu: przez to, że odszedł od żydostwa, języka hebrajskiego i macierzystej religii, ale również przez to, że wybrał naród nie mniej od żydowskiego tułaczy i pielgrzymujący. Stąd – jak będę się starał pokazać – jego wewnętrzne dramaty, poczucie niestabilności, ale zarazem umiejętność wycucia polskiej psychiki i niebywała – jak na spolonizowanego w tym czasie Żyda – publiczna kariera.

Kim był Julian Klaczko? Jest to postać nieznana i kuriozalna. Czesław Miłosz zaskoczył niedawno wszystkich zebranych, kiedy podczas uroczystości nadania mu honorowego

obywatelstwa miasta Krakowa, odczytał wiersz poświęcony Klaczce właśnie, utożsamiając się z jego wygnaniem. Krzysztof Penderecki natomiast swoją publiczną mowę z okazji przyznania doktoratu honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczął od pięknych słów Klaczki o Iliadzie i Odysei. Julian Klaczko istnieje w świadomości wąskiego kręgu historyków idei, literatury, sztuki. Pisali o nim Henryk Wereszycki, Jan Białostocki, Wojciech Karpiński, Jerzy Borejsza, Jerzy Zdrada, Zofia Trojanowiczowa, Jacek Woźniakowski. Z cudzoziemców m.in. Benedetto Croce, współczesny historyk niemiecki Hans Henning Hahn. Nie ma jednak nadal poważnej, nowoczesnej monografii, która ustalałaby realne miejsce Klaczki w kulturze polskiej i myśli europejskiej XIX w. Monografie pióra Ferdynanda Hoesicka i Stanisława Tarnowskiego trącą myszką. Wystarczy jednakowoż przypomnieć kilka lakonicznych faktów, by przyznać, że nie jest to postać tuzinkowa. Klaczko pisał po hebrajsku, po polsku, niemiecku, francusku, z równą sprawnością i sukcesem uprawiał krytykę literacką, publicystykę polityczną, historię sztuki. Uznawano go za znakomitego stylistę i eseistę. Dostał się do szczytów i sławy: członek-korespondent Akademii Francuskiej (za „Wieczory florenckie” otrzymał nagrodę Akademii), członek Akademii Umiejętności, doktor honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, posiadał Francuską Legię Honorową, tytuł hofrata dworu austriackiego, był współwydawcą emigracyjnych *Wiadomości Polskich*, ważną postacią paryskiej emigracji, członkiem Biura Hotelu Lambert, autorem głośnych rozpraw o Bismarcku, świetnym znawcą kultury włoskiego renesansu. Listę osiągnięć i zasług Klaczki dałoby się ciągnąć dalej. Wydaje mi się jednak, że tematem uniwersalnym, o który możemy się ciągle spierać i dyskutować, jest jego asymilacja. Klaczko jako jeden z modeli psychologiczno-socjologicznych wyjaśniających trudny proces polonizacji Żydów.

Oto trzy wybrane głosy w sporze o „żydostwo” Klaczki: Romana Brandstättera, Juliana Strykowskiego i Marka Bieńczyka.

Brandstätter znany z licznych utworów o tematyce biblijno-chrześcijańskiej należał przed wojną do wpływowego nurtu pisarzy żydowskich, którzy przy jednoczesnym otwarciu się kulturowym i uprawianiu twórczości w języku polskim

głosili konieczność zachowania tradycji żydowskiej i duchowej niezależności. Romana Brandstättera można by uplasować gdzieś tak pomiędzy Isaakiem Bashevisem Singerem piszącym w jidysz, a kosmopolitą Antonim Słonimskim. Otóż Brandstätter na łamach *Miesięcznika Żydowskiego* w r. 1932 podjął rozprawę z konwersją Klaczki, pisząc studium pod wymownym tytułem „Tragedia Juliana Klaczki”. Brandstätter niczym wytrawny psychoanalitik analizuje w detalach żydowski tragizm Klaczki: uczucie niedowartościowania, kompleks niższości tzw. *Minderwertigkeitsgefühl*, stany samoudręczenia. Wszystko po to, aby w stylu moralitetu udowodnić jaką wygórowaną cenę trzeba zapłacić za asymilację i zmianę religii. Dla Brandstättera Klaczko pozostaje do końca Żydem. W opisie katolickiego namaszczenia „odszczępieńca” nie chce być do końca konsekwentny. W wyimaginowanej scenie Klaczko na łożu śmierci uzyskuje symboliczny akt przebaczenia od swej żydowskiej matki oraz – cytując za Brandstätterem – „naszego przebaczenia”.

Na ironię losu uszczypliwi krytycy przepowiedzieli Brandstätterowi pójście w ślady konwertyty. I rzeczywiście, podczas II wojny światowej przebywając w Tel-Awivie jako korespondent wojenny AK, Brandstätter doznał pod wpływem św. Franciszka z Asyżu religijnego przełomu. Akurat świętym tym fascynował się autor „Wieczorów florenckich”. U schyłku życia napisał piękne studium z pogranicza historii sztuki i religii: „Święty Franciszek z Asyżu i gotycyzm włoski”.

Julian Strykowski, znakomity pisarz obsesyjnie penetrujący problematykę żydowską, przywołuje Klaczkę w „Wielkim Strachu”, powieści rozgrywającej się w okresie II wojny światowej na terenach wschodniej Polski okupowanych przez wojska sowieckie. Jeden z bohaterów „Wielkiego Strachu” nosi wyraźne znamiona konwertyty Klaczki, wyrafinowanego intelektualisty z oportunistycznym rezygnującym z języka hebrajskiego. „Gold – pisze Strykowski – odrzucał język hebrajski, odgrywający rolę narzędzia w ręku zacołania i kleru... Pierwszy wiersz Artura nazwał *Dudaim* to znaczy fiołki, potem dowiedział się, że tak samo nazwał swój tomik wierszy hebrajskich Julian Klaczko. Niestety wyparł się swojej twórczości, zaczął pisać w innych językach. W końcu

wyparł się wiary swoich ojców. Takie są stopnie zdrady”.

W wydanej niedawno książce-wywiadzie z Piotrem Szewcem Strykowski wyjaśnia bliżej przyczyny zainteresowania się asymilacją Klaczki. Na jego przykładzie wykazuje jednostronny charakter kulturowej osmozy pomiędzy Żydami i Polakami. „Dań żydowska – konkluduje Strykowski – Polsce była hojna. Nieraz niechętnie, a nawet wrogo przyjęta. Żydowski geniusz użył nie tylko polskie pola. Najwybitniejsi synowie narodu żydowskiego stawali się sługami świata. Postać Juliana Klaczki posłużyła mi jako symbol nieskończonego pocztu idącego przez wieki i trwającego po dziś dzień, symbol niezwykły, ekstremalny”.

I ostatni głos – według mnie najbardziej kontrowersyjny – Marka Bieńczyka, autora szkicu zamieszczonego w *Zeszytach Literackich*. Bieńczyk wskrzesza Juliana Klaczkę jako niespełnionego żydowsko-polskiego mesjasza, któremu dane było stać się „czwartym wieszczem”, prekursorem historycznego pojednania obu narodów. Autor sugeruje się znanym wykładem Mickiewicza o mesjanizmie dwóch narodów żydowskiego i polskiego, w którym to wykładzie Mickiewicz wspomina o istnieniu wśród Izraelitów – nie wymienionego z imienia – poety piszącego po polsku. 13-letni Izraelita Klaczko wzbudzał nie tylko w rodowitym Wilnie sensację, że zdolny jest tworzyć po polsku (pisał wiersze w tym języku, tłumaczył m.in. „Ballady” Mickiewicza). Wieść o nim rozszła się w prasie warszawskiej i petersburskiej, trafiła też do emigracyjnego Paryża. Autor szkicu oczarowany „wileńskim” Klaczką pisze z emfazą: „Klaczko mając 13, 14, 15, 16, 17 lat skupia na sobie uwagę wielkiego świata idei, jego debiut jest Światłem na Wschodzie, młodzieńczą formą do wypełnienia”. Ignoruje natomiast to, co „formę” tę wypełniło – dojrzałą twórczość Klaczki. Dla Marka Bieńczyka odejście Klaczki od poezji i żydostwa oznacza zaprzepaszczenie jego wyjątkowej szansy, Klaczko zdradza samego siebie, skazuje na tragizm niespełnienia; jako zasymilowany Żyd musi uciekać od swojego pochodzenia, wciela się w różne role, przybiera różne, coraz lepiej pasujące kostiumy (romantyczny, antyczny, rzymski, włoski), ale – i tu tkwi jego tragizm – im bardziej jest „ubrany”, zaadaptowany, tym bardziej odsłania swoją nagość, swoją ukrywaną żydowskość.

W tej psychoanalizie można iść jeszcze dalej – dobijając Klaczkę. Mnie chodzi o coś innego. Oczywiście Klaczko cierpiał, miał kontrowersje, jednak osiągnął w życiu to, czego sam pragnął, w swoich twórczych poszukiwaniach ekscytował, bulwersował, niemal przekraczał granice możliwości. Zaistniało nieodzwonne sprzężenie zwrotne: nieprzymuszona potrzeba asymilacji i potwierdzenie w środowiskach, w których działał. Jego fenomen polega na tym, że zasymilował się już w pierwszym pokoleniu i zdołał wejść do elity polskiej, a u szczytów swej sławy był uznany w salonach polityczno-literackich Europy. Z tego względu Jakob Forst-Battaglia uważa go za jedną z ciekawszych postaci polskiego życia duchowego w XIX w. Wśród spolonizowanych Żydów trudno znaleźć kogoś odpowiedniego pasującego do Klaczki. Nie był nim działający na emigracji Jan Czyński – radykalny demokrat, głoszący cywilizacyjny imperatyw uobywatelnienia Żydów, nie był nim z pewnością sekretarz Mickiewicza, francuski Żyd Arnold Levi, który miał ponoć u schyłku życia powrócić do judaizmu. Dopiero pod koniec XIX w. spotykamy żydowskich konwertytów porównywalnych z Klaczką talentem i siłą oddziaływania na kulturę polską. Nasuwają się dwa nazwiska Żydów wywodzących się z krakowskiej inteligencji żydowskiej: Wilhelma Feldmana, wszechstronnego krytyka i historyka literatury oraz Ludwika Gumpłowicza, publicysty politycznego i teoretyka socjologii i prawa.

Czy odejście od żydostwa było dla Klaczki zdradą samego siebie?

Wilno. Porzucone getto

Wilno początku XIX w. było przedziwną kresową *cosmopolis*, gdzie żyły obok siebie różne nacje, pilnie strzegąc jednak swojej odrębności. Na niewielkim obszarze Starego Miasta sąsiadowały ze sobą kościoły: katolików, żydów, protestantów, muzułmanów. W samym centrum tego różnorodnego świata znajdowała się dzielnica żydowska. Żydzi przeważali liczebnie. Według statystyki Balickiego z 1832 r. na niemal 36 tys. mieszkańców ok. 20 tys. stanowili Żydzi. Getto żydowskie zwane było Czarnym Miastem. Z pozostałych z tego czasu opisów i relacji napotykamy na

wymowne określenia: nieznosne przeludnienie, tumult, chaos, śmierdząca nędza. Jest to jednak – jak zawsze – sprawa gustu i punktu widzenia. Dla Żydów Wilno było miastem świętym – Jeruzalem Północy, gdzie akurat tutaj mistycyzm Wschodnich Żydów pod postacią chasydyzmu ścierał się silnie z ruchem oświecenia żydowskiego (Haskala), przenikającym z Niemiec. W obrębie getta wileńskiego istniała arystokracja żydowska, która poprzez Haskalę otwierała się na kulturę europejską. Prowadzenie interesów na szerszą skalę wymagało od Żydów ucywilizowania się: europeizacji stroju, ogłady towarzyskiej, znajomości języków i literatury obcej.

W takiej właśnie rodzinie, bogatych, dobrze skoligaczonych, oświeconych Żydów rodzi się w 1825 Jehuda Lejb Klaczko. Hebrajskie imię Jehuda, inaczej Juda – to odpowiednik używanego później przez Klaczkę polskiego imienia Julian. Nazwisko jest zaskakujące, gdyż nieżydowskie, klasycznie kresowe, z typową białoruską końcówką. W którym pokoleniu nastąpiła zmiana nazwiska świadczą o zamiarach przystosowania się do nieżydowskiego otoczenia, trudno dociec. Klaczkowie zaistnieli w XIX w. Wiadomo, że zaliczali się wraz z Natansonami i Rosenthalami do miejscowej arystokracji żydowskiej. Prawdopodobnie bratem stryjczym Jehudy był Levi Jerachmiel (ur. 1840), pisarz religijny, autor haskalistycznych rozpraw o przykazaniach, pisanych w języku hebrajskim i rosyjskim, stryjem Mordechaj Ascher przydomek Meltzer, postępowy rosyjski rabin i myśliciel. Wielopokoleniową rodzinę Klaczków sportretował, pod zmienionymi imionami i nazwiskiem Białostockich, Józef Ignacy Kraszewski w „Powieści bez tytułu”. Znał on Klaczków osobiście, miał być ponoć – w czasie odbywanych studiów w Wilnie – nauczycielem prywatnym siostry Jehudy. Kraszewski oddaje dramaturgię starć w łonie rodu, wywołanych oburzeniem starszego pokolenia wobec zagnieżdżającego się w rodzinie świętokradztwa. Jest tam portret ortodoksyjnego Żyda, patriarchy rodu dziadka Abrahama, rzucającego klątwę na goima-nauczyciela, co obcą nauką kala jego dom, jest portret oświeconego Żyda, ojca Dawida, człowieka nowoczesnego i kontrowersyjnego, targanego rozlicznymi wątpliwościami.

Ojciec Jehudy – Hersz Klaczko był majątnym kupcem

sukna, człowiekiem o wysokich ambicjach intelektualnych i publicznych. Należał on w gminie żydowskiej do grona reformatorów, zagorzałych propagatorów Haskali. Z niemieckimi przedstawicielami tego ruchu spotykał się w czasie swych częstych podróży handlowych do Królewca. Kiedy – sam wniósłszy odpowiednią sumę – rozpoczął akcję zbierania abonentów na wydanie Biblii w tłumaczeniu i z komentarzem Mojżesza Mendelssohna, wzburzył miejscowych ortodoksyjnych Żydów, którzy okrzyknęli go pogardliwie „Berlińczykiem”. Wyzwolony styl, wzorowany na wyemancypowanych Żydówkach niemieckich, reprezentowała matka. Tabua Lea z domu Grünberg była kobietą piękną i wyrafinowaną. Orientowała się w kulturze i sztuce europejskiej, znała świetnie francuski, niemiecki i polski. W zamieszkiwanej kamienicy przy ulicy Niemieckiej prowadziła salon towarzysko-literacki, w którym przyjmowała miejscową elitę: Polaków i Rosjan. Głośny był jej romans z Wacławem Pelikanem rektorem Uniwersytetu Wileńskiego, osławionym łowcą kobiecych serc. Złośliwi rozpowszechniali pogłoski, że mały Jehuda jest owocem tegoż związku. W zachowaniu rodziców Jehudy występowały – jak widzimy – wyraźne oznaki odstępstwa od tradycyjnej obyczajowości żydowskiej.

Impulsy do emancypacji tkwiły już więc w wolnomyślicielskiej atmosferze, w której wyrastał Klaczko. Dla niego nie jest to zwyczajne zamknięte getto. Jehuda otrzymuje wszechstronne wykształcenie. Rodzice mogą sobie pozwolić na prywatnych nauczycieli. Uczy go m.in. wybitny wileński Maskilim Józef Fin. 13-letniego Jehudę obwołano genialnym dzieckiem. Jest kimś, kto przełamuje granice getta, syntetyzuje różne pierwiastki kulturowe. Jego juvenilia hebrajskie drukowano w oficynie żydowskiej w Wilnie i Lipsku, wiersze w języku polskim w *Tygodniku Petersburskim* i poznańskim *Tygodniku Literackim*. Z okazji bar-micwa, żydowskiej uroczystości wstąpienia w wiek dojrzałości dedykuje ukochanej matce wiersz „Moja pierwsza ofiara”. Tekst wiersza wygłoszony pierwotnie w hebrajskim, publikuje po polsku. Symbolika dedykacji i język druku są wymowne. Polski staje się dla Jehudy mową duszy.

Klaczko fascynuje się kulturą polską. Mickiewicza stawia wyżej od Goethego i poetów francuskich. Pisze wiersze

wzorowane na polskich romantykach, ćwiczy się w tłumaczeniach na hebrajski (utwory Mickiewicza, dramat Korzeniowskiego „Mnich”). Jak na przyszłego rabina – którym miał zostać według oczekiwań ojca – ujawnia on niebezpieczne skłonności do herezji. W ogłoszonym w *Tygodniku Literackim* poemacie „Izraelita na gruzach Jerozolimy”, w nastroju przypominającym poezję ruin i grobów Krasińskiego, młodzieńczy Klaczko podważa podstawowe dogmaty żydowskie: o narodzie wybranym, o sensie istnienia diaspory. Dystansuje się od swojej nacji, używając charakterystycznej formy „wy”: (–) „Wy, zmarłych wieków, żyjące Mumije!” (–) „Wy dawnego kościoła ostatki!” (–) „Wy nieme bytu i nicestwa świadki (–)”. Ciąży ku środowisku polskiemu – intelektualnej elicie Wilna. Wśród sympatyków żydowskiego chłopca znajdujemy dwóch wybitnych księży: przyszłego biskupa Wilna ks. Adama Krasińskiego, znanego z prekursorskich badań językoznawczych oraz rektora Pijarów ks. Antoniego Moszczyńskiego, krytyka literackiego *Biblioteki Wileńskiej*. Jehuda odwiedza okoliczne dwory polskie, zaprzyjaźnia się z marszałkową Justyną Czudowską, z domu hr. Hołyńskich, której po śmierci poświęca wiersz elegijny w języku polskim. W tym obrazie kulturowych inicjacji Izraelity-Klaczki, ocieramy się niemal o idyllę, mamy koegzystencję kulturową, swoistą tolerancję. Co w takim razie niepokoi? Wydaje się, że stosunek wileńskich Polaków do młodzieńczego Klaczki nie jest do końca równoprawny. W relacji Polak – Żyd, Żyd stoi wyraźnie niżej. W nawet najbardziej przychylnych, drukowanych o Klaczce opiniach jest on „członkiem oddzielnej kasty”.

Niemiecka lekcja: Królewiec, Heidelberg

Wyjazd Klaczki na studia do Królewca to wkroczenie na odmienną orbitę. Z rodzinnego Wilna trafia na jeden z najbardziej wolnych uniwersytetów w Europie. Był to uniwersytet Kanta, przyjaciela Mojżesza Mendelssohna. Klaczko doświadcza tutaj światłej tolerancji. Podlega uniwersalnym kryteriom: wiedzy i rozumu. Gdy bankrutuje ojciec i nie ma na czesne, co więcej nie może przedłużyć paszportu (jest na

czarnej liście rosyjskiej ochrony za udział w nielegalnej misji TDP na Litwę), władze uniwersytetu czynią wobec niego nadzwyczajne gesty. Uznają, że ten wybijający się student nie powinien utracić szansy zrobienia dalszej kariery. W drodze absolutnego wyjątku nadano mu doktorat z filozofii na podstawie dwóch ostatnich prac seminaryjnych z zakresu historii XV-wiecznej Francji. Uniwersytet zwalnia Klaczkę z wszelkich opłat i umożliwia bezpieczne przeniesienie się do odległego Heidelbergu w Wielkim Księstwie Badeńskim. Styka się on tam z wpływowym środowiskiem heidelberskich liberałów, którzy urabiali w duchu proeuropejskim niemiecką opinię publiczną, wydając od lipca 1847 dziennik *Deutsche Zeitung*. Do tegoż renomowanego pisma wciąga Klaczkę jego wydawca i redaktor naczelny, głośny w Niemczech historyk literatury i szekspirolog – Georg Gervinus.

W księstwach niemieckich w okresie poprzedzającym wybuch rewolucji marcowej, określanym przez historiografię niemiecką specjalnym terminem *Vormärz*, zachodzi niespotykany wcześniej w takiej skali proces uobywatelniania społeczeństwa: powstają rozliczne stowarzyszenia, uaktywnia się ruch demokratyczny i liberalny. Idea jedności niemieckiej uzyskuje wymiar europejski. Wolność dla siebie wiązana jest z wolnością dla innych narodów: Polaków, Greków, Włochów. Gervinus ma kontakty z ks. Adamem Czartoryskim i Hotelem Lambert, myśli o zjednoczeniu sił konstytucyjnych i liberalnych w Europie. Każde ówczesne rozwiązanie w Niemczech zmierzające do jedności, rewolucyjne czy też konstytucyjne, wywoływało obawę przed interwencją Rosji. W imię dobrze kalkulowanego interesu politycznego należało upatrywać w Polakach ewentualnych sprzymierzeńców, uwzględnić ich aspiracje narodowe.

Niespełna 22-letni Julian Klaczko odgrywa ważną w tym kontekście rolę komentatora spraw polskich i rosyjskich. Redaguje na łamach *Deutsche Zeitung* stałą rubrykę „Russland und Polen” oraz publikuje serię artykułów opatrzonych wspólnym tytułem „Die polnische Verschwörung” („Polskie sprzysiężenie”). Cykl ten liczy ponad 20 odcinków. Daje się w nim poznać jako wytrawny publicysta i eseista. Formułuje filozofię przymierza niemiecko-polskiego. W tym jest świetny, że udowadnia współzależność geopolityczną

Niemców i Polaków. W doborze argumentów pomaga mu rosyjski miecz Damoklesa zwisający nad liberalno-konstytucyjnymi Niemcami. Cały czas prezentuje sprawę polską na różnych płaszczyznach: politycznej i kulturalnej, by w konkluzjach wykazywać, że pomimo negatywnych cech Polaków (anarchizm, skłonność do spisków, maksymalizm), pozostali oni narodem chrześcijańskim i rycerskim.

Przełom. Rewolucja 1848

Zauroczenie Klaczki Niemcami niebawem minie. Przystępuje do rewolucji w idealistycznej wierze, że Niemcy spełnią w Europie polityczną misję. Jako wysłannik heidelberskich liberałów wyjeżdża via Berlin do W. Ks. Poznańskiego, by zaciągnąć się do oddziałów Mierosławskiego szykujących się do wojny z Rosją. Bieg wydarzeń tzw. Wiosny Ludów zaprzecza jednak wzniosłym ideałom, które legły u jej początków. Wszystko dzieje się jakby na opak: demokracje przeistaczają się w dyktatury, wolność w terror, solidarność narodów w nieokiełznany nacjonalizm. Przewidywana krucjata przeciw Rosji okazuje się w rzeczywistości tragiczną farsą. Brak natychmiastowej i zdecydowanej reakcji Rosji na rewolucję w Berlinie i zmanifestowane w niej niemieckie dążenia zjednoczeniowe – powodują zmianę w stosunku do sprawy polskiej. Niemcy usiłują teraz pospieszyć rozbroić oddziały polskie w W. Ks. Poznańskim. Fobia antyrosyjska przekształca się w antypolską. Historia kpi z Klaczki. Zamiast sprawdzenia się w „świętej wojnie” redaguje po niemiecku protesty polskiego Komitetu Narodowego do rządu w Berlinie, a jego niedawni przyjaciele z Gervinusem na czele prześcigają się w basowaniu nacjonalistycznej propagandzie. Czuje się zdradzonym i wyganym ze społeczeństwa niemieckiego. Kurczy mu się Europa. On z pochodzenia Żyd, który najlepiej odnajdował się w liberalnej przestrzeni politycznej, gdzie o wartości człowieka nie decydowała narodowość, lecz indywidualne predyspozycje i profesjonalizm, po doświadczeniach rewolucji 1848 – uzmysławia sobie potrzebę zupełnego utożsamienia się z polskością.

Czy jest jednak w stanie odejść całkowicie od żydostwa?

Na ile spełnia się w polskości? Jakie reakcje przyjmują wobec niego Polacy?

Kainowy znak

W Poznaniu wiedzano, że jest Żydem. W czasie narodowej rewolty sprawdził się, był nieodzowny i lojalny, brał udział w tajnych posiedzeniach Komitetu Narodowego, powierzano mu specjalne zadania w podróżach do Berlina. Wśród arystokratów poznańskich zabiega się o Klaczkę. Jest on podobnie jak w Wilnie, ale na inny sposób objawieniem. Potwierdza się teza Hannah Arendt, że arystokracja europejska, nie spełniona we własnym kręgu, poszukiwała w asymilowanych Żydach cech nadzwyczajnych, łącząc w jedno – to co wydawałoby się nie do pogodzenia – filosemityzm z antysemityzmem. Młody Klaczko wypełnia terapeutyczne funkcje. Leczy Poznaniaków z niemieckich kompleksów. Jest tym, który zrobił błyskotliwą karierę publicysty w Niemczech. Jak wspomina w swoich pamiętnikach gen. Wł. Zamoyski: „Najpierw między Niemcami pisarz znamienity” (sic!). Gdy sprawa polska w rewolucji 1848 jest pogrzebana i w zasadzie nie warto już podnosić głowy; ma on odwagę cywilną przeciwstawić się byłemu swojemu protektorowi Georgowi Gervinusowi. W Berlinie pisze i wydaje w formie listu otwartego zjadliwą rozprawę „Die deutschen Hegemonen”. Tym samym ściąga na siebie groźbę więzienia i banicji. W tej sytuacji nie ma właściwie innego wyjścia jak udanie się na emigrację do Paryża.

Ma świadomość, że pojawi się tutaj w masie innych wychodźców rewolucji 1848. W polskim Paryżu istnieją zadawnione emigracyjne reguły gry i ustalona hierarchia. Liczy się „polistopadowa” awangarda, czyli oficerskie epolety i blizny z czasów wojny z Rosją 1830/31. Klaczko posiada wprawdzie najlepsze protekcje od arystokratów poznańskich, dostrzega się go w salonach polityczno-literackich, ale on sam zachowuje się jak *outsider*. Jest rozdwojony ideowo i politycznie. Nigdzie nie może znaleźć miejsca, demokraci polscy porażają go radykalizmem, konserwatyści Hotelu Lambert pychą głoszonych zasad. Najlepiej czuje się wśród emigrantów

z Litwy, lubi podkreślać swoją litewskość. Stał się Polakiem – z Judy przeobraził się w Juliana. Wcale to jednak nie daje mu spokoju. W jednym z pierwszych listów słanych z Paryża do zaprzyjaźnionego z nim w Poznaniu Jana Koźmiana, tak ocenia swój stan duchowej niepewności: „Wiele rzeczy, wiem, razi Cię we mnie – a przede wszystkim moja niedecyzja [chodzi tu zapewne o przyjęcie chrztu – Z.B.]. Racz jednak i na to uwagę swą zwrócić, że całe moje życie tak religijne, jak socjalne i polityczne, piętnem kainowym połowiczności jest naznaczone”. Trudności bytowe w Paryżu, pierwsze niepowodzenia wzmagają w nim obsesję na punkcie własnego pochodzenia. Występuje to na przykład przy pierwszym spotkaniu z ks. Adamem Czartoryskim: „Ks. Czartoryskiemu – relacjonuje Janowi Koźmianowi – oddałem wizytę i list od Henryka Wodzickiego; więcej u niego nie byłem; przyjął mnie bardzo zimno; traktował z góry; pewno wiedział o moim pochodzeniu”.

W tym stanie psychicznego rozdwojenia nawiedza go wuj Grünberg. Postarajmy się zrekonstruować dramatyczną historię. Wuj Grünberg, bogaty Żyd mieszkający w Paryżu, chce wybawić siostrzeńca z jego młodzińskich fanaberii i sprowadzić jego zabłąkaną duszę na łono rodziny i judaizmu. Gra trwa ponad rok. Proponuje siostrzeńcowi wydobyć go z nędzy „diogenesowego położenia”. Nie może patrzeć na jego lichy mieszkanie i niemodny strój. Chce pomóc wylekniętemu kandydatowi na przechrztę, obiecując wprowadzenie go do domów Rothschilda i Foulda – roztaczając perspektywę rzeczywistej kariery. Wuj Grünberg – znany dobroczyńca rodziny – wyciągnął z bankructwa ojca Klaczki, czyniąc go przedstawicielem swojej agencji w Wilnie. W sprzyjających okolicznościach mógłby sprowadzić do Paryża całą rodzinę. Oczywiście pod warunkiem, że krnąbrny synowiec nie odrzuci jego wspaniałomyślniej ręki. Klaczko waha się i odmawia.

Gdy zawodzą racjonalne argumenty, zrozpaczony wuj popada w śmieszność, próbując kusić go jeszcze obietnicą posiadania konia krwi arabskiej i pięknych kobiet! „Szczęście a szczęście i zawsze szczęście!! Ten człowiek gotów mnie różami udusić! (...) Stryj według swego przekonania chce tylko mego dobra, ma najszlachetniejsze, najuczciwsze zamiary ze

mną... a ja o mało com go nie przeklął w duszy za tę dobroć, za tę uprzejmość!!" – zwierza się Janowi Koźmianowi. Klaczko ma inną wizję szczęścia. Najważniejsza dla niego jest wolność osobista i intelektualna, zasada, „że życie moje religijne i polityczne mnie samemu tylko należy”. Dla wuja Grünberga wybór ten oznaczał pewną pozycję w domu wariatów.

Klaczko opuszcza stary zakon, ale naród, który wybiera chciałby widzieć na wzór zakonu nowego: stawia przed nim – jak przed sobą samym – bardzo wysokie, rygorystyczne wymagania. Temu podporządkowana jest jego publicystyka w języku polskim. Klaczko ma wzniosły ideał polskości, ale Polacy *en bloc* go denerwują – nie dorastają do wielkości, nie są godni wybrania. W swojej głośniejszej publicystyce na łamach *Wiadomości Polskich* (1856–1862) tępi narodowe grzechy: miękkość, brak charakteru, nieumiejętność wykorzystywania zwycięstw, zbyt łatwe wybaczenie zdrajcom, skłonność do frywolnego życia, umysłowe lenistwo, brak odpowiedzialności.

Można by porównać Klaczkę do proroka gromiącego czcicieli złotego cielca, gdyby nie to, że posługuje się nie tylko patosem ale i ironią, językiem kaznodziei, ale i pamphletysty. Klaczko wnosi do krytyki nowy ton – zaczepia, bulwersuje. Mówią o nim, że dobrze pisze, kiedy się gniewa. Jego oponenci, rozbierani celnością ataku, sięgają nierzadko po argument najłatwiejszy. Widzą w nim Żyda, myślą jak antysemita. Przykładów można podawać wiele. Przytoczymy jedynie nieznany list Józefa Bohdana Zaleskiego do Teofila Lenartowicza, w którym współczuje adresatowi z powodu miazdzącej krytyki jego poematu „Gladiatorzy”: „Zgorszył nas tu i oburzył niewypowiedzianie artykuł p. Klaczki o tobie w przedostatnim numerze *Wiadomości Polskich*. Zgorszył i oburzył nie sąd ostry o twoich poezjach, boć nie wzbroniony nikomu, ale nieprzyzwoitość, uszczypliwość i drażniący ton całej recenzji.(...) Oczywiście ideał p. Klaczki tkwi w poezji hebrajskiej, na wyżynach świętych proroków i pańskich. Nasz ideał tkwi znowu gdzie indziej – w Zakonie Nowym. Ideał ten przewysoki, niedościgły nigdy, nakazuje czystość i pokorę, do których nam niestety daleko!” Zaleski kończy swój list takim oto memento: „Jest doba w życiu, kiedy i pycha zrzuca swe rogi. Na dobie tej p. Klaczko pożałuje gorzko dawnych

cierpkich artykułów – owszem, sam się zawstydził swej gwałtowności niechrześcijańskiej i niepolskiej”.

Klaczki nie lubiano, irytował swoją postawą, narażał się. Ale jednocześnie czekano na jego teksty, poruszał umysłami, był nieodzowny.

Uniwersalizm.

Klaczko nie wystarcza jednak pisanie wyłącznie po polsku. Od momentu pojawienia się w Paryżu jego wewnętrznym imperatywem jest równoczesne uprawianie eseistyki w języku francuskim. Potrzebuje czterech lat, aby zacząć pisać do najlepszych pism ukazujących się w Paryżu: *Revue de Paris*, *Revue Contemporaine* i wreszcie *Revue des Deux Mondes*. Podobnie jak kiedyś w Niemczech, występuje jako specjalista od spraw polskich i rosyjskich, teraz jeszcze niemieckich. Recenzuje książki wychodzące w tych trzech językach (prowadzi stałą rubrykę „Livres allemands et slaves”), by jednocześnie zwrócić na siebie uwagę większymi samodzielnymi studiami: „Dante w oczach krytyki współczesnej”, „Henryk Heine”, „Półwysep Krymski w poezji”, „Poezja polska w XIX wieku i poeta bezimienny”.

Prawdziwy rozgłos przynoszą mu jednak dopiero studia dyplomatyczne drukowane na łamach *Revue des Deux Mondes* po upadku powstania styczniowego. Henryk Wereszycki oceniając te czytane i tłumaczone na inne języki rozprawy pisze, iż „Klaczko był na pewno najgłośniejszym orędownikiem sprawy polskiej w publicystyce europejskiej owego pokolenia”. Stanisław Tarnowski nazwał wręcz Klaczkę „mścicielem sprawy polskiej”. Trzeba jednak mieć świadomość, że obrona ta była możliwa tylko przy zachowaniu odpowiedniej perspektywy. Klaczko potrafił zuniwersalizować polską problematykę. Doświadczenia Polaków były dla niego próbierzem ogólnej sytuacji Europy.

Siła pisarstwa politycznego Klaczki polega na konsekwentnym obnażaniu hegemonizmu Prus i Rosji – tych dwóch zaborców, których działania prowadzą do unicestwienia wartości europejskich w ogóle. Klaczko ma odwagę zmierzyć się intelektualnie z czołowymi aktorami sceny poli-

tycznej tego czasu – zwłaszcza z Bismarckiem, w którym polski publicysta widzi przyszłego zdobywcę świata. Klaczko mobilizuje wszystkie swoje zdolności, aby zdemaskować tego „najbardziej pojętnego ucznia Machiavela”. Trzeźwy, analityczny umysł wspomaga wyobraźnią niemal profetyczną i talentem literackim. Bismarck jawi się jako postać szekspirowska, potwór, który w swej żądzy ekspansji nie zna granic. Ten „zdziczały geniusz” potrafi wszystko odwrócić na swoją korzyść. Jest cyniczny i bezwzględny. Równie dobrą dla niego pożywką jest liberalizm, jak rewolucja. Ale największy jego atut – to przekonanie o wielkości i misji Niemiec oraz umiejętność sterowania społecznymi emocjami. Klaczko przedstawia Bismarcka jako demonicznego boga wojny o nieprzeciętnej sile woli. Fascynując się bez wątpienia „żelaznym kanclerzem”, Klaczko nie uważa jednak – w odróżnieniu od Burckhardta czy później Nietzschego – aby wielkich jednostek nie obowiązywał wspólny dla wszystkich kodeks etyczny.

Naczelnym przesłaniem pisarstwa politycznego Juliana Klaczki jest twarda prawda, że każdy gwałt zadany jakimukolwiek narodowi – czy to są Polacy, czy Duńczycy – narusza równowagę moralną i niesie zagrożenie dla całości kontynentu. Przewidując rosnące znaczenie polityki siły i rasy, Klaczko argumentuje jak prawdziwy konserwatysta, *bon Européen*, broniący wartości kultury judeochrześcijańskiej. W przetłumaczonej na język polski i czeski rozprawie „Kongres moskiewski i panslawistyczna propaganda” (1867) pisze: „Historia fizyczna bierze górę nad historią polityczną, religijną i cywilną, a złowroga teoria Darwina o przymusowym znikaniu rodów słabych rozciąga swoje prawo nawet na moralną dziedzicę chrześcijańskiej ludzkości. W dziedzinie tej nie ma już miejsca dla małych państw, dla małych ludów, z których przecież każdy ma odrębną historię, literaturę i indywidualność – ma swój geniusz, ma duszę! Przyszłość należy do ogromnych zjednoczeń i do wielkich aglomeratów. (...) Jak gdyby to drobna Judea i ów niedostrzeżony prawie punkcik, który Sokrates zaledwie zdołał odszukać na globie, a który jednak nazywał się «Ateny», nie więcej zdziałały dla ludzkości, aniżeli potworne aglomeraty Assyrii i Babilonii, jak gdyby to roczniki jednego takiego miasteczka średnio-wiecznej Italii, jak Florencja, Piza albo Syenna nie wartowały

więcej niż cały corpus Bisantinorum!” Klaczko demaskując politykę opartą na wyłącznej racji siły może być uznany za jednego z prekursorów myślenia antytotolitarne.

Erupcja jego aktywności publicystycznej przypada na okres, kiedy sytuacja w polityce europejskiej jest jeszcze otwarta i może się wydawać, że istnieją ciągle szanse gry na rzecz najbardziej korzystnego dla Polaków układu sił. Z tą myślą przyjmuje Klaczko stanowisko hofrata u boku kanclerza Austrii von Beusta, wchodząc w sam środek czynnej polityki. Marzy mu się wojna kontynentalna, w wyniku której mogłoby dojść do odbudowania Polski. Kiedy jednak Bismarck odnosi definitywne zwycięstwo, pokonując pod Sedanem Napoleona III, Klaczko wycofuje się stopniowo z życia politycznego. Upadek Francji oznacza „zaćmienie Europy”.

Klaczko przegrał jako polityk, ale nie przegrał jako intelektualista. Po triumfie Bismarcka nie boi się skonfrontowania raz jeszcze z głównymi protagonistami sceny europejskiej, publikując w *Revue des Deux Mondes* (1876) najważniejsze dzieło polityczne „Dwaj kanclerze. Książę Górczakow – Książę Bismarck”. Zamykając swój czas heroiczny, Klaczko próbuje jednocześnie znaleźć inny język i formę dla nurtujących go idei. Powraca do porzuconych zainteresowań literackich i artystycznych. Chroni się w świecie literatury i sztuki, ale nie jest to bynajmniej ucieczka od rzeczywistości. Rozpoczęte w roku 1872 „Wieczory florenckie”, które przyniosą ich autorowi laur Akademii Francuskiej, pomimo pozorów anachroniczności są dziełem aktualnym.

Utwór ten pomyślany jest jako dialog ośmiu postaci – hrabiny Albani i jej gości, spotykających się w willi Bargello pod Florencją wczesną jesienią 1872 roku, by prowadzić wyrafinowane rozmowy o włoskim odrodzeniu, Dantem, Michale Aniele, Rafaelu. Patronuje im autor „Boskiej Komedii”, wszyscy bowiem są w jakiś sposób wygnancami. Są „wyrzuceni ze swojej kolei”, musieli zrezygnować z czynnego życia publicznego z powodu niedawnych politycznych wypadków. Do salonu hrabiny Albani przychodzi trzech Włochów, w tym historyk sztuki, zwany Komandorem, dwóch Francuzów, akademik i eks-dyplomata, którego „świetnie rozpoczęty zawód przerwał się nagle skutkiem ostatnich wstrząśnień”. Jest tam hiszpański prałat i wreszcie Polak,

który otrzymał nazwisko Boleski, „rozbitek z urodzenia”. Ciekawe, że każdy z nich nosi jakiś rys Klaczki, tworzą jakby portret zbiorowy, z którym utożsamia się autor. Mają świadomość swojej ekskluzywności, ale czyż ten wyrafinowany estetyzm nie jest formą protestu w epoce, którą określa epigram Michała Anioła, umieszczony na posagu Nocy:

Mentro che l'danno e la vergogna dura...?

(Dopóki u nas podłość, bezwstyd grzechu...)

Polak mówi: „(...) nie ma, nie powinno być pozoru i usprawiedliwienia niby, dla zaparcia się siebie, dla odstępstwa, dla apostazji. W epoce takiego, jak nasza, obniżenia charakterów i pomieszania umysłów, najpewniej jeszcze, najbezpieczniej trzymać się wiernie tego, co przeszłość kochała i czczyła. Bo wtedy jedno przynajmniej ocalonym zostaje: godność, honor”. Komandor zaś puentuje: „A zresztą, czyż nie jesteśmy już «utopistami przeszłości», przez to samo tylko, że nas obchodzi, co piękne, co dobre, co prawda? że mówimy o Dantem, o Rafaelu, o Michale Aniele w tych czasach «żelaza i krwi»?»

Goście hrabiny Albani, broniąc swoich utopii, próbują ocalić idee zagrożone przez totalizm polityki „siły i rasy”. Z postawami takimi będziemy mieć do czynienia nieraz w naszym stuleciu. W „Wiezorach florenckich” mógłby brać choćby udział „książę niezłomny”, Benedetto Croce, za sprawą którego utwór ten został przetłumaczony na język włoski. Do nich wszystkich pasują słowa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o „Wenecji ocalonej” Simone Weil: „Utopistami, błędnymi rycerzami, wykolejeńcami, zdrajcami nazywa się (zależnie od okoliczności) tych, którzy nie chcą przyjąć Racji Stanu wyposażonej w najwyższy atrybut Siły. Jak gdyby nie było jasne, że istotą totalizmów i «snów siły» jest właśnie ich brak poczucia rzeczywistości! Można drwić (nic łatwiejszego) z banitów i rozbitków, wiernych obrazowi *polis* jaki noszą w umysłach i sercach na przekór losowi, lecz to oni są realistami w najgłębszym (bo moralnym) tego słowa znaczeniu”.

Zbigniew BARAN

Kaukaskie oko cyklonu

MIGAWKI Z TYFLISU

Robi wrażenie przylot późnym wieczorem do Tyflisu. Lotnisko międzynarodowe pogrążone jest w ciemności. Do kontroli paszportów włączają co prawda światelko, ale już rzucone bez ładu walizy trzeba rozpoznawać po ciemku. Nie mogę się skarżyć, o potrzebie latarki byłem poinformowany. Mam ją właśnie w walizce.

Wyjście oświetlone jest przypadkowo, reflektorami dwóch zaparkowanych Mercedesów. Zamęt, zgiełk.

– Taxi? Chcecie taxi?

– Dziękuję, czekam na samochód.

Na próżno w ciemności staram się wypatrzeć auto, szofera. Mija kilka niezbyt wesołych minut. Ponownie zarysowuje się podświetlona Mercedesami sylwetka.

– No i co? Nie przyjechał?

– Przyjedzie – mówię stanowczym głosem, choć czuję, że minę mam niewyraźną.

– A co za samochód? Skąd?

– Unia Europejska – wyjaśniam. Firma dobra, o filii gruzińskiej zaczynam mieć wątpliwości.

– Ma przyjechać z Tyflisu?

– Tak.

– Nie wiem, czy przyjedzie.

– Dlaczego?

– Trudno się wydostać. Nie puszczają.

- Jak to, nie puszczają?
– Miasto zamknięte. Czołgi.

Za dnia słońce, spokój. Miasto jak wiele innych. Owszem, asfalt dziurawy, z budynków sypie się tynk. Na placach budowy stoją zamarte dźwigi, obok nich betonowe skorupy niedoszłych, rozpoczętych w socjalistycznej jeszcze epoce bloków.

Ale sklepy czynne, kwitnie handel. Na krytych bazarach sterty mąki, mięsa, jarzyn. Ulice upstrzone są kolorowymi blaszanymi budkami, sprzedającymi papierosy, czekoladki, importowane wędzonki w puszkach. Ceny odpowiednio wysokie, czasami wyższe od zachodnich. Kobiety ubrane schludnie, niektóre dziewczyny wręcz szykownie.

Bezdomnych nie widać, jeżeli nie liczyć uchodźców z Abchazji, którzy przejęli wszystkie prawie hotele w stolicy i wieszają na ich balkonach bieliznę. Nikt też nie prosi o jałmużnę, a tacy przecież znajdują się wszędzie, w Moskwie, Paryżu i Nowym Jorku. Może ich brak powinien być swojego rodzaju ostrzeżeniem?

Rejon Kaukazu jest w nieustannym stanie zapalnym. W zgłiszczach leży Grozny, ropieją nie zagojone rany wojny abchaskiej, bulgoce stary konflikt pomiędzy Armenią i Azerbejdżanem, zaostrza się nowy pomiędzy Azerbejdżanem i Rosją. W gruzińskiej stolicy tego nie widać. Tu z fizycznych znamion wojny ostały się tylko ospowate od pocisków mury parlamentu, ofiary pokomunistycznej już wojny domowej. Rzecz by można, że Tyflis to spokojne oko cyklonu.

Jak bardzo spokojne, dowiaduję się wkrótce. Prąd, nie opłacony przez zadłużone państwo, dochodzi rzadko, woda nie zawsze. Gazu od pewnego czasu nie ma w ogóle. Poczta nie istnieje.

Telefony działają sporadycznie: aktualnie rzadko odpowiadają numery zaczynające się na „3”. Szkoła menedżerów, z którą mam współpracować w europejskim programie szkolenia, taki ma właśnie numer. Trudno będzie coś zdziałać.

– To tylko w zimie – pocieszają mnie w biurze spraw zewnętrznych szkoły. – Od kilku lat właściwie zimę spisujemy

na straty. Za kilka tygodni będzie lepiej.

To, co przez parę godzin byłoby dramatyczną awarią, przemieniło się w długoterminową apatię.

– A te czołgi?

– Jakie tam czołgi – kręci głową szofer, który w końcu się znalazł, czekał w środku, w budynku, w ciemności lotniska nie wypatrzył przyjeźdnego. Jedziemy starą Ładą z pękniętą przednią szybą, na której przyklejony jest niczym plaster kolisty gwiazdozbiór Europy.

– To nie było czołgów?

– E tam. Chciał facet zarobić, to nastraszył. – Szofer sprawnie omija dziurę wielkości krateru, wzrusza ramionami. Potem dodaje:

– Czołgów nie. Kilka wozów pancernych, owszem. Ale co tam. W porównaniu z tym, co było, to nic.

Inni rozmówcy potwierdzają. Były samochody pancerne, łażiki. Miasta nie zablokowały. Pilnowały, żeby za bardzo nie rozjuszyli się demonstranci.

A o co chodziło?

Rozmówcy wzruszają ramionami. – O to, co zwykle – mówią. – Że nie ma elektryczności, nawet w szpitalach. Że przeciętna pensja w sferze budżetowej mieści się w granicach od 0,80 do 3 dolarów USA miesięcznie.

– Gorzej niż w Afryce – zaciska zęby szofer.

Szofer akurat dolarów zarabia 60, i to na tydzień. Jest do dyspozycji na okrągło. W kieszeni ma bezużyteczny dyplom majstra budowniczego. O przyszłości – kiedy skończy się program europejski – woli nie myśleć.

Szkoła menedżerów daje większe gwarancje, ale wynagrodzenie niższe. Pracując od rana do czasami późnego wieczora – zależy od potrzeb dyrektora, pana Szymona T. – zarabia się w sekretariacie miesięcznie dolarów pięć.

Ile zarabia Szymon T., Bóg raczy wiedzieć. Wiadomo tylko, że jest ważny. W sekretariacie czekają na każde jego skinienie. Jeździ, załatwia, ma paszport dyplomatyczny.

Nieufnie odnoszą się do niego niektórzy uczestnicy programu. Był oficerem KGB – mówią półgębkiem.

Pan Szymon przyjmuje mnie w swoim biurze, w którym światła elektrycznego, z przyczyn już wymienionych, brak, zaś światło dzienne wyparte jest kotarą. Sadowi się z daleka, na końcu podłużnego stołu, wita formalnie i chłodno, udziela długiego wykładu o stanie obecnym wyższego szkolnictwa w Gruzji. Styl komunistyczny? Czy szczególna kultura części świata, w której Europa spotyka się z Azją?

Z Azją – jeśli chodzi o tematykę – spotyka się Europa na premierze *Madame Butterfly*. Inscenizacja na najwyższym poziomie; widowia nie gorsza. Roi się od fraków i galowych sukien, chce się pokazać *le tout Tbilisi*. Nie kończą się brawa dla wybitnie popularnej primadonny, migocą się misternie podświetlone awangardowe dekoracje. Ktoś wpływowy zadbał o to, żeby na czas trwania spektaklu prąd był.

W łóżach dostojnicy miasta: tu burmistrz, tam znany reżyser, tu minister. Niemieccy koledzy z programu z dumą wskazują mi ambasadora ich kraju, obok niego małżonkę, piękność gruzińską. Romans Ambasadora z lokalną panią był dla MSZ-tu Republiki Federalnej zbyt wielkim ambarasem; Ambasador posłusznie podporządkował się, wziął rozwód, Gruzinkę poślubił.

Nie tylko w łóżach Opery widoczna jest obecność Zachodu. W całym mieście roi się od działaczy organizacji charytatywnych, różnych *Care, Save The Children, Médecins sans Frontières*. Unia Europejska szasta projektami: milion dolarów na przygotowanie kadry menedżerów i prawników, trzy miliony na infrastrukturę bankową. Amerykanie wraz z Europą wkładają pieniądze w telekomunikację, Bank Światowy łoży 12 milionów dolarów na hydroelektrownię, żeby umożliwić Gruzji do pewnego stopnia samowystarczalność energetyczną.

Mało jest inwestycji konkretnych, spółek *joint venture*. Jedną z niewielu, to luksusowy hotel Metechi Palace, inicjatywa gruzińsko-austriacka. W hotelu bezszelestne windy ślizgają się w przezroczystych rurach, elektryczność dochodzi, zaś ceny są wysokie nawet na stosunki zachodnie. Metechi Palace świeci pustkami: używają go przeważnie przyjeźdźni Amerykanie, Europejczycy wolą kwatrować się w grubo tańszych prywatnych mieszkaniach, wynajmowanych od dawnej nomenklatury.

Wśród Amerykanów, którzy goszczą w Metechi Palace –

spotykam ich na promocyjnym wieczorku, mającym na celu podreperowanie słabego stanu liczebnego klienteli – znajduje się Mike G., oficer w wojsku USA. Wspecjalizował się w języku rosyjskim jeszcze za zimnej wojny, potem brał udział w kolejnych weryfikacjach likwidacji rakiet nuklearnych w ramach umowy START. Aktualnie nie ma co robić: START chwilowo zastopował. Pracuje więc dla programu pomocy USAID, jeździ do Batumi.

Hasło „Batumi” powoduje u mnie regresyjny poślizg myślowy: cofam się trzydzieści chyba lat. Z repertuaru Filipinek i Sławy Przybylskiej zakorzeniła mi się w głębi mózgu ta piosenka: ten „cykadami brzęczący świt”, który „świadkiem był szczęścia chwil”. – Batumi – mówię. – To musi być przyjemne.

Wzrok Mike’a G. zmienia się lekko, jak u kogoś, kto zorientował się poniewczasie, że jego rozmówca pozbawiony jest piątej kleпки.

– Przyjemnie – powtarza za mną, jakby wbił zęby w szczególnie kwaśne jabłko. – Nie użyłbym tego słowa. Powiedziałbym, że jest względnie bezpiecznie. Kacyk, który tam rządzi, trzyma ostro za pysk lokalnych gangsterów.

W Cincinnati, gdzie wychował się Mike, Filipinek widocznie nie nadawano.

Zadanie Mike’a w Batumi polega na przypilnowaniu, żeby nafta, opłacona przez Amerykanów i przywieziona statkiem przez Morze Czarne, znalazła się nie w rękach tychże gangsterów, tylko w pociągu towarowym o stacji docelowej Erywań. Nie mając dostępu do morza, a będąc na stopie wojennej z bogatym w ropę Azerbejdżanem, Armenia zawdzięcza tę kapinkę energii, dowiezionej okrężną drogą, nadzorowi oficera amerykańskiego.

Nie tak to sobie zapewne wyobrażał Mike G., gdy kończył intensywny kurs rosyjskiego w wojskowym instytucie języków w Monterey, Kalifornia, i na pewno nie tak to sobie wyobrażali Ormianie, gdy nadeszła upragniona wolność.

A tym bardziej nie tak to wszystko wyobrażali sobie Gruzini.

W nie ogrzewanym pokoju Uniwersytetu Technicznego siedzi opatulony w fufajkę i czapkę Giorgi T. - profesor ongiś cybernetyki, obecnie zarządzania. - Rok 1989 to były chwile radości - wspomina. - Myśleliśmy, że teraz właśnie nastanie lepsze życie. Nastąpiło gorsze, właściwie straszne. Staram się być optymistą. Może uda się coś zrobić.

W roku 1990 syn Profesora otworzył sklepik. Parę miesięcy temu popadł w niełaskę u dwudziestoletniego klienta. Klient wyciągnął pistolet i go zabił.

Nawet ci, którzy z konieczności uprawiają drobny handel na ulicy, płacą haracz lokalnej mafii. - Gdyby jeszcze ta mafia była jedna - skarży się przedsiębiorca, uczestnik jednego z amerykańskich programów - nie narzekałbym. Ale tu przychodzi jeden, każe płacić. Płacę. Następnego dnia przychodzi drugi. Potem trzeci...

Wśród uczestników programu europejskiego jest Dawid L., prokurator młody, energiczny, dobrze znający angielski: krótko mówiąc, przyszłość narodu. Wyrażam chęć zwiedzenia Naczelnej Prokuratury - najpierw się waha, potem gościnnie zaprasza. Oprowadza mnie po eleganckim, oszklonym budynku z lat 60-tych. W jednym pionie na wszystkich piętrach przecieka woda, przechodzi się po drewnianych kładkach. Na remont budynku, tak jak na wszystko inne, państwa nie stać.

Wynagrodzenie Dawida L. mieści się w normie państwowej: trzy dolary miesięcznie. Do pracy chodzi sumiennie, codziennie. Na jego biurku leżą zeznania uchodźców z Abchazji, tych, co pościel wywieszają na różnych eks-Inturistowych balkonach. - Owszem - mówi - to była wojna, spowodowana czy w każdym razie podżegana przez Moskwę. Ale były też po prostu zbrodnie, graniczące z ludobójstwem. Sporządzamy akty oskarżenia, strona abchaska też. Spotkamy się, omówimy. Kiedy? Nie wiem.

Na rychły powrót uchodźców też się nie zanosi.

Kolega Dawida siedzi beczynnie przy biurku, popija kawę. - Szukam człowieka - wyjaśnia. Jest podejrzany o morderstwo, znajduje się podobno w Kutaisi. Zamówiłem rozmowę międzymiastową, normalnie czeka się około trzech godzin. Gdy uzyskam połączenie, już go tam dawno nie będzie.

W towarzystwie prokuratorów Republiki konsumuję w stołówce zupę; za serwetki służą skrawki dawnych formularzy,

wydrukowanych w nieaktualnym już języku rosyjskim. Z drugiego dania rezygnuję: wieczorem ma być przyjęcie, i to wydane przez samego Szymona T.

To przyjęcie, to znak, że nasz program, mimo trudności technicznych, ma powodzenie - uczestnicy zadowoleni, pan Szymon też. Stołówka szkolna przemienia się w salę biesiadną. Szymon T. kokieteryjnie prosi o zgłoszenie nominacji na *tamadę* - pana stołu. *Tamadą*, co nietrudno było przewidzieć, zostaje Szymon T., reszta wieczoru odbywa się pod jego dyktando. Wygłasza toasty na rzecz przyszłości Gruzji i narodów w ogóle, napełnia kieliszki czerwonym winem, proponuje co smakowitsze kęski mięsa, podsuwa sałatki hojnie posypane kolendrą.

- Inny człowiek - mówię półgębkiem do współbiesiadnika. - A tak *à propos* długo był w tym KGB?

- W jakim KGB? Skądże! Był w partii, owszem, ale to KGB mu dorzucili zazdrośnicy. Nie ma pan pojęcia, ilu on tu ma ludzi nieżyczliwych, bo osiągnął umiarkowany sukces. To człowiek *pieriestrojki*, człowiek Szewardnadze.

Prawą - czy w każdym razie nieodzowną - ręką Szewardnadze, mówią, jest dawny przestępca a obecny poseł, Dżaba J. To jego ludzie, informuje mnie uczestnik programu, rozbijają się po mieście Mercedesami, prowadzą rozbój w biały dzień.

- Prowadzili - poprawia kolegę rozmówca drugi. - Teraz Szewardnadze ich trochę przykrócił. Jednak głos społeczeństwa ma swoją wagę.

- Jaki głos społeczeństwa? - wtrąca się trzeci. - Głosem społeczeństwa był wybrany Gamsachurdia, potem go obalono siłą. Osobiście jestem zwolennikiem Szewardnadze, ale stąd do demokracji jeszcze daleko.

- Przynajmniej - idzie na kompromis rozmówca pierwszy - teraz możemy swobodnie rozmawiać, nie musimy się bać. To wielkie osiągnięcie.

- Jak na razie, jedyne - ukraca sprawę rozmówca drugi.

Istnieje jeszcze inny „głos społeczeństwa”, którego autentyczności nie sposób podważyć: chodzi o śpiew. Czysty, harmonijny, w domach, lokalach, czasami na cztery czy sześć

głosów równolegle. W kościołach, wśród zapalonych świeczek, odpowiadają sobie antyfonalnie chóry *a cappella* – żeńskie z jednej strony, męskie z drugiej. Bez namaszczenia, bez ceremonii – chłopcy w swetrach, kobiety w chustach – sopran prowadzi skomplikowany dialog z tenorami, jakby to była najnaturalniejsza rzecz w życiu.

Na przyjęciu u Aleksandra Rusieckiego śpiewają i grają po kolei wszyscy; po gitarę sięga też sam Rusiecki, zwany Saszą. Jest młody, kończy studia, działa politycznie. Mówi po gruzińsku i rosyjsku, ale jest dumny z tego, że jest Polakiem.

Przodek Saszy Rusieckiego znalazł się w Gruzji w wyniku swojego rodzaju zsyłki – łagodnej, powiedziałoby się – po powstaniu 1830 roku. Gruzini pochodzenia polskiego – opowiada Rusiecki – stanowili elitę inteligencji o profilu technicznym, wiele mostów kaukaskich to dzieło inżynierów, wywodzących się z dalszych pokoleń Polonii gruzińskiej. W obecnym parlamencie jest też kilku Gruzinów z domieszką polskiej krwi.

W 1992 roku Rusiecki założył w Tyflisie klub Gruzinów pochodzenia polskiego. W roku 1995 został właściwie sam Sasza. Większość rozjechała się: do Moskwy, do Petersburga, Za chlebem.

Wyjechali inni: muzułmanie, Żydzi, Ormianie. Wielki *melting pot* narodów, jakim był Tyflis, skurczył się do skromniejszej mieszanki mniejszości kaukaskich.

Wyjeżdżają też pieniądze. Jakikolwiek większy kapitał upłynniony jest za granicą: w Rosji, na Cyprze, w Europie zachodniej.

– Jaki kapitał? – pytam. – Chociażby z banków – tłumacz mi.

Trudno mówić o rzetelnych bankach – raczej o oszukańczych kasach oszczędności, w stylu MMM Mawrodiego w Rosji. Wypłacają zawrotne procenty, potem znikają. Wielu się dało na to nabrać.

– Właściwie na pokrycie kosztów życia innego sposobu nie ma – mówi rozmówczyni przy stole Saszy Rusieckiego, nakładając mi porcję aromatycznych pierogów posypanych nieodłączną kolendrą. – Chyba, że ktoś w rodzinie uprawia biznes w Rosji.

Różne rzeczy słyszę od moich rozmówców, ale przesłanie

jest jedno: za komunizmu było źle. Imperium sowieckie traktowało Gruzję jak kurtyzanę, niewolnicę, ciemiężąc ją ale i pieściąc zarazem. Lekki był wkład Gruzinów w gospodarkę: cytryny, herbata, garstka minerałów. W zamian dostawali energię, szkolenie, mieszkania i poczucie, że są ważni.

Dwudziestoletnia Marina K. pochodzi z rodziny arystokratycznej, jest z tego faktu dumna. Bolszewicy pradziadom jej odebrali liczne posiadłości.

– Kto by przypuszczał – mówi – że tak będziemy upodleni, że zejdziemy do takiego poziomu rozboju, grabieży i zwykłego chamstwa. Mieliliśmy wtedy więcej dumy. Nawet, powiem, więcej wolności.

Wtedy: przed rokiem 1989.

Ociepla się pogoda, stosunki z Szymonem T. też. Wkrótce kończy się pierwsza faza programu. Szymon T. wraz z małżonką wydają kolację u siebie w domu. Mieszkanie eleganckie, trunki zagraniczne, płyty kompaktowe z Ameryki.

– Wystarczyła jedna plotka – zwieram się półgębkiem zaprzyjaźnionemu już współpracownikowi programu – żebym źle ocenił człowieka.

– Jaka plotka?

– Że nasz dzisiejszy gospodarz był w KGB.

– A skąd wiesz, że nie był? Szymon jest protegowanym pewnej dość ważnej osobistości, a ten jest człowiekiem zaufania Szewardnadze. W zamierzonych czasach Szewardnadze był ministrem spraw wewnętrznych Gruzji, czyli między innymi szefem KGB. Jedno drugiemu nie przeczy.

Dalej nie indaguję, widzę, że wątek ten można snuć bez końca, i bezowocnie. W Gruzji o żadnej „grubej kresce” nie może być mowy. Tu kreśli się wyłącznie cienkie zygaki.

Nazajutrz odlot, schodzę z walizkami trzynaście pięt: nie chciałbym, żeby w tak ważnym dniu wyłączono mi nagle prąd i winda stanęła. Ale i tak lotnisko dostarcza mi jak zwykle swoistych wrażeń. Nie chodzi o ciemność, bo rzecz się dzieje za dnia, ale ziszcza się niespodziewanie pod sam koniec ta właśnie blokada, którą mnie straszono niesłusznie na początku. Czołgów co prawda nie ma, ale policja zablokowała

zsose, prowadzącą do lotniska. Traf chciał, że odlatuje rosyjski minister obrony Graczow.

– Ale ja też lecę! – Następny lot dopiero za tydzień! Policjanci pobłażliwie wzruszają ramionami.

Z poważnym opóźnieniem docieram na lotnisko, na szczęście panuje tam taki bałagan, że o punktualnym odlocie nie ma mowy. Przepychając się w kierunku kontroli paszportowej rozpoznaję twarz Dawida L., prokuratora. Jakiś dziwnie rozpromieniony.

– Przyszedłem cię pożegnać – mówi. – I pochwalić się. Dostałem właśnie stypendium w USA.

Czy ujrzy go jeszcze przeciekający budynek Naczelnej Prokuratury?

W salce odlotowej natykam się na Niemców, kolegów z programu. Oni z kolei podnieceni są innym wydarzeniem: MSZ Bundesrepublikki uznało jednak za niewskazane, żeby ambasador w Gruzji miał żonę Gruzinkę. Jego Ekscelencja został więc przeniesiony wraz z małżonką do innej nowo narodzonej demokracji – na Haiti.

Unosimy się w końcu w powietrze, klekocze Tupolew renomowanej linii Air Georgia. Przez chwilę, zanim skłębiona warstwa chmur zagrozi wszystkim, mam widok śnieżnego masywu kaukaskiego, potężnego, nieopanowanego. Potem już przysmykam oczy. Chcę odpocząć po nieprzewidzianym stresie, na który mnie narażono w związku z odlotem ministra innego zaprzyjaźnionego państwa.

Przez głośniki leci melodia gruzińska, nasuwa mi wspomnienia spędzonego niedawno wieczorku. Dacza pod Tyflisem, zmrok. Na ruszcie, nad podlewany czerwonym winem węglami prażą się umarynowane kawałki mięsa. Wewnątrz grupka młodych ludzi śpiewa na cztery głosy, pod akompaniament gitar.

Gaśnie nagle światło. Pracowite palce ani przez chwilę nie zatrzymują misternego przeplatania strun gitar, ani przez chwilę też nie drżą czy wahają się głosy. „Ballada o Suliko” trwa nadal.

Nie do wszystkiego konieczny jest prąd.

Londyn 28.2.95

Konrad BRODZIŃSKI

Archiwum polityczne

Plan dla Japonii

Jeszcze na długo przed styczniową tragedią Kobe, bo już w połowie r. 1993, swoiste „polityczne trzęsienie ziemi” w Japonii wywołały dwa wydarzenia. Pierwszym, na oczach całego świata, było utworzenie (pierwszy raz od prawie 50 lat) nowego rządu bez udziału Partii Liberalno-Demokratycznej (PLD), na fali zapoczątkowanych wówczas, a trwających do dziś dnia przemian politycznych w Japonii. Drugim było ukazanie się w Japonii, mniej więcej w tym samym czasie, książki Ichiro Ozawy pt. „Plan reform dla Japonii” (jap. „Nihon Kaizoo Keikaku”). Szum i skala poruszenia jakie książka Ozawy wywołała w kołach politycznych Japonii spowodowały jej natychmiastowe przetłumaczenie dla „wewnętrzny użytku” amerykańskiej agencji CIA, od dłuższego czasu niezwykle wyczulonej na pogarszające się stosunki z Japonią. Od tego czasu gwiazda polityczna Ozawy (uważanego za główny motor w obecnym procesie reform) urosła do takich rozmiarów, iż pod koniec ub. roku postanowiono wydać książkę również w jęz. angielskim¹.

„Plan dla Japonii” Ozawy jest politycznym manifestem jednego człowieka, naświetlającym zupełnie nową perspektywę dla Japonii w świecie pozimnowojennym, książką bez precedensu w dotychczasowej publicystyce politycznej Japonii. Jest ona bezceremonialnym atakiem na powojenny

1. Ichiro Ozawa: „Blueprint for a New Japan: The Rethinking of a Nation” (Plan dla Japonii: Nowe spojrzenie na Naród), wyd. Kodansha Int., Tokyo, N.Y., London, 1994. Autor (ur. 1942) był sekretarzem gen. jap. PLD, a następnie współzałożycielem Japońskiej Partii Odnowy (Shinseito). Architekt pierwszego rządu koalicyjnego w r. 1993, który zakończył 50 lat nieprzerwanych rządów PLD.

system polityczny, który miał swą przydatność w okresie „zimnej wojny”, gdy pod ochronnym parasolem USA Japonia budowała swą potęgę gospodarczą, lecz który dzisiaj stał się kompletnym anachronizmem, hamującym normalny rozwój polityczny Japonii. Ostrze krytyki i sposób w jaki Ozawa postuluje pilną potrzebę reformy całego życia politycznego Japonii przypominają tu do złudzenia głośną pracę K. Van Wolferena, która swego czasu wywołała w Japonii znaczne zażenowanie, graniczące z oburzeniem². Podobnie jak praca Van Wolferena książka Ozawy jest fascynującą diagnozą i analizą schorzeń politycznych dzisiejszej Japonii, lecz posuwa się jeszcze dalej, zalecając konkretne, rewolucyjne zmiany i naprawę całego systemu. Co więcej, wychodzi ona spod pióra człowieka, który ma wszelkie dane po temu by nawet najśmielsze, najbardziej rewolucyjne postulaty wizji przyszłej Japonii wprowadzić w życie.

O nową kulturę polityczną

Szczegółowa, krytyczna analiza powojennego systemu Japonii oraz konkretne propozycje naprawy są przedmiotem pierwszej części książki, pod prostym tytułem „Pilna potrzeba reformy politycznej”. Jednakowoż analiza i krytyka istniejących problemów jest tak dogłębna, iż zaprezentowane tu myśli Ozawy są właściwie wyzwaniem dla nowej kultury politycznej narodu. Pod obstrzałem krytyki znajduje się nie tylko system rządów, lecz również nawyki polityczne społeczeństwa, psychika narodowa Japończyków.

Za największy problem i źródło obecnego kryzysu ustrojowego uważa Ozawa brak silnego kierownictwa politycznego, brak *odpowiedzialności politycznej* rządów. Słabe czy silne kierownictwo polityczne jest, u większości narodów, problemem wewnętrznym, lecz nie w wypadku narodu, który przerasta siebie nad miarę z tytułu olbrzymiego potencjału

2. Karel Van Wolferen: „Enigma władzy w Japonii” („The Enigma of Japanese Power”, McMillan, London, 1989). Praca Van Wolferena uchodzi za najwnikliwszą analizę powojennego systemu politycznego Japonii. Omówiłem ją w *Kulturze* Nr 4/1991, w art. pt. „Problem z Japonią”.

gospodarczego, a więc w kontekście nieodzownych ramifikacji międzynarodowych. Olbrzymia przepaść między formalną a faktyczną władzą, brak jednolitego centrum władzy są jedną z głównych przyczyn nieustannych rozdzźwięków i konfliktów Japonii z jej partnerami. Nadrzędnym celem reformy musi więc być konsolidacja, tak w formie jak i substancji, autorytetu rządów demokratycznych, zdolnych do pobierania decyzji politycznych, a tym samym skutecznego wywiązywania się z obowiązków władzy.

Ze szczególną zawziętością piętnuje Ozawa ciągoty w kierunku kolektywnej mentalności stada, unikanie indywidualnej odpowiedzialności w dzisiejszej polityce japońskiej. Jest to sprzeczne nie tylko z nowoczesną myślą polityczną i tradycjami demokratycznymi, lecz również – wbrew pozorom i mitom – z tradycją polityczną nowoczesnej Japonii. Liderzy polityczni okresu reform Meiji, twórcy nowoczesnego państwa japońskiego jak T. Okubo, Hirobumi Ito i inni, wykazali nie tylko zdrowy instynkt polityczny, lecz również zdolność podejmowania odważnych, radykalnych decyzji, nie bali się indywidualnej odpowiedzialności. Winę za dzisiejszy stan rzeczy ponosi przyjęcie po wojnie błędnego systemu wyborczego, oraz nadmierny rozrost administracji państwowej, co w końcu doprowadziło do unicestwienia polityki jako takiej. Koszty utraty polityków z prawdziwego zdarzenia, brak autentycznego przywództwa politycznego są dziś w Japonii widoczne dla każdego, brzemienne w skutkach dla psychiki narodu. Jako najbardziej jaskrawy przykład daje tu Ozawa syndrom powszechnie odczuwanej hańby podczas kryzysu wojny w Zatoce Perskiej w latach 1990/91, gdy brak zdecydowania i nieudolność rządu japońskiego spowodowały osłabienie aliansu z sojusznikami, a niemal otwarty konflikt z USA.

Drugą z kolei przyczyną chronicznej słabości systemu politycznego dzisiejszej Japonii jest niezdolność prawidłowego ustalenia i definicji *interesu narodowego*, w długofalowej, międzynarodowej perspektywie. Jak dotąd jest to pojęcie błędnie rozumiane, oparte na krótkofalowych, doraźnych przesłankach, głównie w odniesieniu do zaspokajania żądań elektoratu krajowego, niezdolnego do zrozumienia szerszych, międzynarodowych interesów Japonii. Autor nie szczędzi tu

gorzkich słów pod adresem rodaków, ich zaściankowego zasklepienia w sobie, oraz dziwnej niechęci do spraw polityki międzynarodowej. Przyszłe rządy japońskie powinny więc być wyposażone w taki autorytet polityczny i wykonawczy, który umożliwi sprawne uprawianie polityki zagranicznej w oparciu o dobrze rozumiany interes narodowy, a nie doraźne presje o nacisku w kraju.

Wątek tak rozumianego interesu narodowego jest absolutnie kluczowym elementem w rozważaniach i postulatach Ozawy odnośnie miejsca i roli Japonii w świecie, które rozwija w centralnym, fascynującym rozdziale pt.: „Stać się normalnym narodem”.

Japonia a świat

Japonia, pomimo swej potęgi gospodarczej, nadal boryka się z trudnościami w znalezieniu odpowiedniego miejsca w świecie. Jednakowoż żeby znaleźć to miejsce i odpowiednią rolę w świecie, Japonia musi najpierw stać się „normalnym narodem”. Co to znaczy być „normalnym narodem”? W pierwszym rzędzie oznacza to mieć odpowiednią, powszechnie przyjętą i praktykowaną w innych czołowych krajach świata kulturę polityczną, a więc z grubsza wg wyłożonych w pierwszym rozdziale postulatów reformy politycznej. To jednak jeszcze, samo przez się, nie wystarczy.

Naród, z natury rzeczy, jest zbiorowością egoistyczną, dbałą w pierwszym rzędzie o własne interesy. Taki jest w zasadzie charakter międzynarodowej społeczności ludzkiej w świecie, w której ok. 200 narodów walczy o przetrwanie. W walce tej muszą jednak brać pod uwagę również interesy innych narodów, w czym spoczywa cały sens pokoju, międzynarodowego ładu w świecie. Japonia, uboga w bogactwa naturalne, jest szczególnie zdana na współzycie z innymi narodami, w czym tkwi właściwie sens jej przetrwania. Z tego więc głównie tytułu musi przyjąć na swe barki część międzynarodowej odpowiedzialności za pokój i ład w świecie, aktywnie uczestniczyć w wytwarzaniu nowych struktur bezpieczeństwa w świecie postkomunistycznym.

Innymi słowy, z politycznego karła musi stać się auten-

tycznie globalnym mocarstwem, nie dla jakiegoś mglistego prestiżu (z tytułu potęgi gospodarczej), lecz dlatego, iż leży to w jej żywotnym interesie narodowym. Wpierw jednak musi stać się „normalnym narodem”, tzn. takim, który chętnie podejmuje się odpowiedzialności politycznej na arenie międzynarodowej. Nie w wyniku takich czy innych presji z zewnątrz, ze strony partnerów itp., lecz z *własnej, niewymuszonej woli*. Nie wolno też się uchylać od raz powziętej odpowiedzialności z tytułu trudności i presji politycznych w kraju, szczególnie w sprawach bezpieczeństwa oraz innych aspektów polityki zagranicznej w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Naród, chociaż najbogatszy, który chce tylko korzystać z dobrodziejstw pokoju i wolności, bez ponoszenia kosztów w ofiarach, nie ma szans przetrwania. Dziś przyszedł czas – ostrzega Ozawa – kiedy Japonia musi być gotowa płacić cenę najwyższą za swój udział w pokoju. Niestety, przywódcy dzisiejszej Japonii nadal nie dostrzegają palącej potrzeby stania się „normalnym narodem”, tkwiąc w dawnych przesadach i paraliżu politycznym. „Przesadami” tymi są, oczywiście, przestarzałe i stereotypowe podejścia do spraw bezpieczeństwa narodowego, strategii obronnej i anachronicznej Konstytucji – a więc tych aspektów pracy Ozawy, które wywołały i nadal wywołują największe poruszenie i kontrowersje w Japonii, a zaciekawienie i pewien niepokój w Ameryce.

Naświetlając postulaty nowej strategii bezpieczeństwa i doktryny obronnej Japonii, Ozawa wychodzi z raczej pesymistycznego spojrzenia na sytuację w świecie pozimnowojennym. Skończył się wprowadzić konflikt supermocarstw, lecz „dywidendę pokoju” nigdzie nie widać. Wręcz odwrotnie, kwitną konflikty etniczne i narodowościowe, mnożą się wojny lokalne, trwa dalej wyścig zbrojeniowy – i to na samym progu Japonii (Indie, Chiny, Korea), no i nie wiadomo co ostatecznie stanie się w Rosji. W tej sytuacji jasna definicja interesu narodowego w sprawach bezpieczeństwa oraz aktywny udział Japonii w globalnych problemach świata muszą być nadrzędnymi priorytetami polityki zagranicznej Japonii.

Wywody Ozawy są niezwykle rzeczowe, nacechowane rozważą, czasami aż zaskakująco chłodną analizą, np. gdy

omawia przyszłość układu sojuszniczego Japonii z USA. Układ ten, w planach Ozawy, powinien być nadal filarem polityki bezpieczeństwa Japonii, lecz nie tylko ze względu na pierwszą klauzulę (o przyjaznej współpracy w sprawach bezpieczeństwa), a również na ostatnią, jak dotąd mało docenianą klauzulę dotyczącą Paktu o nieagresji. Z Europą Ameryka takich układów nie potrzebuje, lecz z Japonią, ze względu na dziedzictwo wojny na Pacyfiku, wzajemny pakt o nieagresji jeszcze długo będzie potrzebny. Ozawa opowiada się więc za dalszą, ścisłą współpracą z USA w sprawach bezpieczeństwa, lecz na *autentycznie partnerskiej płaszczyźnie*. Niestety, w swej obecnej formie system obronny Japonii (operacyjnie całkiem zdany na USA) jest do takiej współpracy niezdolny, dlatego przyszły Program Obrony Narodowej musi zacząć od gruntownej reformy tzw. Sił Obronnych, czyli armii. Pisząc o tych sprawach Ozawa sili się wprowadzić na pewną powściągliwość i ostrożność sformułowań, lecz nie ulega wątpliwości iż uniezależnienie obronności kraju od USA leży mu bardzo na sercu. Ograniczeniami obecnej, przestarzałej Konstytucji zbytnio się nie przejmując. Po wojenna ustawa Japonii, pisze on, wytycza tylko fundamentalne zasady postępowania, a swej obecnej postaci jest zupełnie nieprzydatna dla bezpieczeństwa narodowego kraju – dlatego może i powinna być odpowiednio zmieniona.

Na dramatycznej scenie politycznej dzisiejszej Japonii Ozawa uchodzi za postać barwną i dynamiczną, od r. 1990 skupiającą na sobie największą uwagę w kraju i za granicą. Jest on niewątpliwie główną siłą napędową za kulisami obecnych reform, z których wiele wprowadzono już w życie. Jest nie tylko teoretykiem, człowiekiem z wizją polityczną, lecz równocześnie zręcznym politykiem, z ogromną siłą woli i zdolnościami taktycznymi, rozumiejącym dobrze potrzebę silnej bazy politycznej wśród elektoratu, pracy w terenie. Jest to zresztą widoczne w jego manifestie politycznym, w którym zwraca się nie tylko do elit politycznych Japonii, lecz całego narodu.

Ozawa jest również za kulisami mądrego pociągnięcia, jakim było połączenie dziesięciu partii obozu reform w jedną

partię w grudniu ub.rroku, z myślą o tegorocznych wyborach do parlamentu. Pierwotnie miały się odbyć w lipcu, lecz ze względu na tragiczne skutki styczniowego trzęsienia ziemi zostały odłożone na okres późniejszy. Jak wynika z bieżących sondaży przedwyborczych pism japońskich, szanse zwycięstwa partii reform Ozawy oceniane są coraz wyżej. Wygląda więc na to, iż zmęczone społeczeństwo japońskie pragnie nareszcie stać się „normalnym narodem”.

Janusz MONDRY

O repatriacji Niemców rosyjskich do Niemiec

Obok kwestii związanych ze zjednoczeniem, do głównych problemów Republiki Federalnej Niemiec w ciągu ostatnich lat należy napływ setek tysięcy osób o różnym statusie prawnym. Największą grupę spośród nich, obok osób ubiegających się o azyl polityczny, stanowią obecnie przesiedleńcy z krajów byłego Związku Sowieckiego. Ich integracja w nie znanych im strukturach nowoczesnego społeczeństwa przemysłowego, w obcym im kulturowo, językowo i socjalnie środowisku stanowi bardzo poważne obciążenie dla władz komunalnych nawet tak zamożnego państwa, jakim jest Republika Federalna. Stąd też ostrzeżenia przed zbyt pośpieszną, nie przemyślaną i nie przygotowaną do końca akcją repatriacji Polaków i osób polskiego pochodzenia z terenów byłego imperium sowieckiego zasługują co najmniej na uwagę. Nie chcę przy tym ukrywać, iż z propozycją przedstawienia tej problematyki na przykładzie Niemiec, jako swego rodzaju przestrogi przed „nieprzemyślaną propagandą na rzecz ich powrotu do Polski” zwrócił się do mnie Jerzy Giedroyc.

„Według dokładnych danych otrzymanych przez władze wojskowe, wśród ludności niemieckiej, żyjącej na terenach

nadwożańskich, znajdują się tysiące i dziesiątki tysięcy dywersantów i szpiegów, którzy po sygnale z terenu Niemiec mają wywołać eksplozję na terenach zamieszkiwanych przez Niemców Nadwożańskich. Żaden z Niemców żyjących w tym rejonie nie powiadomił władz sowieckich o fakcie znajdowania się tam tak dużej liczby dywersantów i szpiegów, z czego wynika, że ludność niemiecka tego okręgu zataja obecność wrogów narodu i państwa sowieckiego. (...) W celu zapobieżenia tym niepożądanym zjawiskom i rozlewowi krwi, Prezydium Najwyższego Sowietu uznało za konieczne przesiedlenie ludności niemieckiej, zamieszkującej tereny nadwożańskie, w inne rejony”.

Opublikowane po rosyjsku i niemiecku w dniu 30-go sierpnia 1941 roku zarządzenie, z którego pochodzi powyższy fragment, zapoczątkowało akcję przesiedlenia w pierwszym okresie po wydaniu decyzji ponad 600 tysięcy potomków imigrantów niemieckich, żyjących na terenie byłej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Niemców Nadwożańskich. Razem z nimi w ciągu zaledwie kilku tygodni przesiedlono w wagonach towarowych i najprymitywniejszych warunkach także dziesiątki tysięcy osób narodowości niemieckiej z innych europejskich części Związku Sowieckiego na Kaukaz, Syberię, do Gruzji i Azerbejdżanu. Przesiedlonych mężczyzn – a w okresie późniejszym sporą część bezdzietnych kobiet – powołano do tzw. „Armii pracy”, gdzie w najcięższych warunkach pracowali na rzecz przemysłu zbrojeniowego, przy budowie fabryk, dróg i kanałów.

Deportacji na Daleki Wschód uniknęło natomiast około 200.000 Niemców znajdujących się na zajętych przez Wehrmacht terenach południowo-zachodniej Ukrainy. Po zainstalowaniu tam niemieckiej administracji cywilnej przyjęto ich na *Volksliste*. Niemal wszyscy z nich opuścili jednak te tereny na przełomie lat 43/44, uciekając w kierunku zachodnim po porażkach armii niemieckich na Wschodzie. Celem ich *exodusu* były głównie tereny woj. poznańskiego i gorzowskiego (*Warthegau*), które miały zostać przez nich zasiedlone i zgermanizowane. Po zajęciu również tych obszarów przez wojska sowieckie zostali oni z powrotem deportowani na Wschód mimo tego, iż posiadali już wówczas obywatelstwo Rzeszy. Mało znany a interesujący jest przy tym fakt, że również na terenach niemieckich zajętych przez aliantów zachodnich znajdowało się około 150.000 takich

osób, z których połowa została wydana Rosjanom i deportowana w głąb Sowietów.

O warunkach życia deportowanych Niemców można najogólniej powiedzieć, iż były podobne do tragicznej sytuacji innych mniejszości zesłanych w głąb Związku Sowieckiego z tą może różnicą, że jako oficjalnych „wrogów” trzymano ich pod nadzorem w zwartych skupiskach, począwszy od dzieci po starców. Po zakończeniu wojny, w odróżnieniu od niemieckich jeńców wojennych, nie stanowili oni początkowo przedmiotu rokowań między RFN i ZSSR na temat możliwości ich wyjazdu do Niemiec Zachodnich. Przełomem był rok 1955, kiedy to kanclerz Adenauer po długich pertraktacjach z Sowietami przyczynił się do ufaskawienia i wypuszczenia ostatnich jeńców niemieckich i podniósł sprawę deportowanych Niemców rosyjskich. I jeszcze w tym samym roku Najwyższy Sowiet wydał dekret o zniesieniu „ograniczeń prawnych” w stosunku do osób narodowości niemieckiej i ich rodzin. W praktyce polegało to na tym, że mogli oni np. opuścić teren zesłania i przenieść się w inne rejony, jednak bez możliwości powrotu do miejsc wysiedlenia i bez odszkodowań za utracone mienie. Spowodowało to, że głównymi skupiskami Niemców i osób pochodzenia niemieckiego jeszcze w roku 1979 nadal pozostawały przede wszystkim obszary w Kazachstanie (900.207 osób), w południowo-wschodniej części Republiki Rosyjskiej (790.762 osoby), czy też Kirgizji (101.000).

Deportacja i długie lata życia na zesłaniu przyczyniły się do radykalnej zmiany struktury zawodowo-społecznej i życia kulturalnego osób narodowości niemieckiej. I jeśli w roku 1926 tylko 15% spośród nich mieszkało w miastach, to na początku lat 80-tych wskaźnik ten wzrósł do 50%, z wyjątkiem mniej uprzemysłowionych obszarów Kirgizji i Kazachstanu (nieco ponad 10%). Z powodu braku szkół niemieckojęzycznych, życia wśród innych narodowości oraz coraz silniejszej asymilacji – radykalnie pogorszyła się wśród nich znajomość języka, kultury i tradycji niemieckiej. Obecnie niemal wyłącznie tylko najstarsze osoby znają jako taki język swoich przodków, który w swym rdzeniu stanowi pozostałość dziwnie brzmiącego dla współczesnych Niemców dialektu wymieszanego z rusycyzmami. I do wyjątków należą przedstawiciele średniej i młodszej generacji, posługujący się bez problemów współczesnym językiem niemieckim.

Już w roku 1955 przedstawiciele narodowości niemieck-

kiej podejmowali tak liczne jak i bezskuteczne próby odtworzenia Autonomicznej Republiki nad Wołgą. Jedynym pozytywnym efektem ich działań była powolna liberalizacja np. w zakresie udzielania zezwoleń na naukę języka niemieckiego w szkołach sowieckich, tworzenia niemieckich ośrodków kulturalnych czy późniejszego zakładania gmin kościelnych. Polepszające się stale stosunki między RFN a ZSSR ośmielały przy tym coraz większą liczbę osób, powołujących się na swe niemieckie pochodzenie, do składania wniosków na wyjazd do Niemiec Zachodnich. Starania te spotykały się też z coraz mocniejszym poparciem rządu zachodnoniemieckiego. Polityka *pierestrojki* Gorbaczowa oraz nowe układy niemiecko-rosyjskie po zjednoczeniu Niemiec stworzyły polityczne warunki do dyskusji zarówno na temat odtworzenia Republiki Nadwołżańskiej jak też masowych wyjazdów do Niemiec. I tylko w latach 1990-1993 do Republiki Federalnej wyjechało 700.000 wnioskodawców. Natomiast dyskusje i deklaracje, a później nawet konkretne przyrzeczenia i podpisane protokoły niemiecko-rosyjskie na temat odtworzenia Republiki Nadwołżańskiej nie przyniosły do dziś żadnych widocznych efektów. Konkretnych kształtów nie zyskały też deklaracje byłego prezydenta Krawczuka, który zaofiarował przed dwoma laty osiedlenie Niemców rosyjskich na Ukrainie, jak też władz Kazachstanu, oferujących utworzenie tam dla nich obszaru zamieszkania.

Warto tu choćby w paru zdaniach wspomnieć o dyskutowanej co jakiś czas w Polsce kwestii planów osiedlenia Niemców rosyjskich w rejonie Królewca. Otóż wydaje mi się, że przynajmniej obecnie możliwość ta jest mało prawdopodobna już choćby z powodu ogromnych oporów istniejących wśród sporej części rosyjskiej generalicji i kręgów rządowych. Aktualnie przesiedliło się tam zaledwie od kilku do kilkunastu tysięcy Niemców rosyjskich (nie ma oficjalnych danych na ten temat). Przy tym ponad 90% ogółu mniejszości niemieckiej wyraża zdecydowanie chęć wyjazdu do Niemiec. Również polski Konsul Generalny w Królewcu, Jerzy Bahr, z którym rozmawiałem w ubiegłym roku na ten temat w Berlinie, wyraził się bardzo wstrzemięźliwie w tej sprawie. Natomiast sędzę, że kwestia ta może być niekiedy wykorzystywana czy też nadużywana jako swego rodzaju opcja polityczna.

Nie zrealizowane przyrzeczenia i deklaracje decydentów z terenu wspomnianych państw WNP oraz wzrastające tenden-

cje nacjonalistyczne szczególnie w Kazachstanie jeszcze bardziej upewniły Niemców rosyjskich w decyzji wyjazdu do Republiki Federalnej. Także rosnący odpływ Rosjan przyczynił się do poczucia osamotnienia w obcym kulturowo i językowo otoczeniu. Odczuli to również mieszkający tam Polacy. Na marginesie warto dodać, że ukazujące się w Niemczech publikacje na temat żyjącej na tamtych terenach ludności europejskiej wspominają niekiedy o dobrosąsiedzkich stosunkach między mniejszością Niemców rosyjskich i Polakami. Zachętą do podjęcia decyzji wyjazdu do Niemiec i złożenia odnośnych wniosków były też i są nadal euforyczne listy i opowieści członków rodzin, przyjaciół i sąsiadów, którzy już wyjechali i nie szczędzą słów zachwytu na temat rzeczywistości życia w Republice Federalnej. Tego rodzaju zachęty połączone z obawami przed możliwym zamknięciem się drzwi do Niemiec spowodowały gwałtowny wzrost fali wyjazdów do Republiki Federalnej. I jeśli w roku 88 do Niemiec przybyło 14.488 Niemców rosyjskich, to w roku 89 już 47.572, a w latach 90-93 ich liczba osiągnęła 700 000.

Masowy napływ przesiedleńców z Rosji głównie od końca lat 80-tych postawił władze landów niemieckich przed ogromnymi problemami zapewnienia im mieszkań, opłacenia kursów językowych i zawodowych, jak też wydatkami na pomoc socjalną. Dodatkowe koszty odczuły też kasy chorych i urzędy pracy, już i tak obciążone wydatkami na setki tysięcy osób ubiegających się w Niemczech o azyl polityczny, jak też na przesiedleńców z Polski i Rumunii. Ze względu na brak mieszkań, przesiedleńców umieszczano w koszarach, kwaterach zbiorczych, halach gimnastycznych mieszczących niekiedy do 250 osób w piętrowych łózkach, czy też w najlepszym przypadku w pensjonatach, hotelach i wioskach kontenerowych. Osobnym problemem finansowym były przysługujące przesiedleńcom odszkodowania za utracone mienie czy też za czas spędzony w więzieniach z powodów politycznych, etnicznych lub staranie się o wyjazd. Konieczne były również miliardowe zastrzyki finansowe na budowę nowych mieszkań socjalnych, a następnie dotacje i zapomogi na nabycie podstawowych sprzętów i mebli, jako że dobytek przesiedleńców prawie bez wyjątku mieścił się w kilku walizkach.

Okazało się przy tym, że oświadczenia i deklaracje polityków głównie chadeckich, domagających się przyjęcia jak największej liczby przesiedleńców z Rosji, napotkały także

przeszkody natury psychologicznej w postaci złego nastawienia do przesiedleńców ze strony ludności miejscowej, zatroskanej o swe miejsca pracy i mieszkania. Nie jest przypadkiem fakt podpalen nie tylko kwater dla „azylantów”, ale również kwater i domów zamieszkiwanych przez przesiedleńców, obojętnie czy z Polski czy z Rosji. Wywołana strachem o stan posiadania i zazdrością o przywileje finansowe niechęć do przybyszów z Rosji potęgowana była dodatkowo przez ich nieznamość języka niemieckiego, jak też zauważalne często różnice w ubiorze i zachowaniu. Poruszające się po ulicach miast i miejscowości niemieckich, gdzie znajdowały się punkty przyjęć, rozmawiające po rosyjsku „babuszki” z chustami na głowach, czy też trzymające się początkowo wyłącznie w swych własnych grupach i rozmawiające po rosyjsku dzieci przybyszów odczuwane były jako obcy element. Również w urzędach socjalnych i pracy przesiedleńcy spotykali się z często nieukrywana niechęcią i epitetami w rodzaju „Ruski”.

Także na najwyższym szczeblu politycznym doszło do publicznych dyskusji na temat przesiedleńców. Politycy chadeccy domagali się ich dalszego nieograniczonego napływu, a kanclerz Kohl ogłosił w roku 1988 integrację przesiedleńców „narodowym zadaniem” i zaapelował do obywateli RFN o „wspólne podjęcie wszelkich wysiłków w zakresie pomocy w szybkim zadowoleniu się przybywających do nas rodaków”. „Jednak patos polityków nie odpowiada nastrojowi w kraju” – napisano wówczas w poczytnym tygodniku *Der Spiegel* (nr 34, 1988 r.), dodając: „W twarze rodaków z Karpāt i Kazachstanu uderza odczuwalna fala nieufności, zniechęcenia i braku zrozumienia ze strony ludności miejscowej”. Natomiast radykalnego ograniczenia napływu przesiedleńców domagała się duża część czołowych socjaldemokratów jak np. Oskar Lafontaine.

Coraz bardziej napięta sytuacja landów i gmin zmusiła w końcu rząd niemiecki do podjęcia decyzji o sterowaniu falami napływu przesiedleńców z Rosji. By nie wywoływać paniki, nie wydano oficjalnie żadnej jednoznacznej decyzji. Niemniej jednak przy pomocy zmiany procedury przyjmowania i załatwiania wniosków o przesiedlenie, na których rozpatrzenie wnioskodawcy musieli czekać do końca w miejscu zamieszkania, uzyskano względnie ustabilizowany napływ w ilości około 150.000 przesiedleńców z Rosji rocznie.

Osobnym problemem była skomplikowana niekiedy

kwestia samego uznania pochodzenia niemieckiego i związanego z tym prawa do przesiedlenia. Jednym z warunków w tym względzie jest np. posiadanie dokumentów zaświadcujących o pochodzeniu przodków przedostatniej generacji. Z powodu częstych przypadków braku odpowiednich i wiarygodnych dokumentów musiano uciekać się do dokumentów zastępczych, zeznań świadków i znajomych. Zdobycie pełnej jasności trudne też było w przypadkach małżeństw mieszanych, z których dzieci lub wnuki także ubiegały się o wyjazd do Niemiec. Z tego powodu konieczne stało się wprowadzenie liczącego 54 strony formularza urzędowego, którego dokładne wypełnienie i zaakceptowanie przez urzędników niemieckich decyduje o prawie „powrotu do ojczyzny”. Jedno z pytań uzupełniających dotyczy np. „pielęgnowania niemieckości” i „faktu przyznawania się do niemieckości przez przynależność do zespołów muzycznych i folklorystycznych”. Dla niektórych stanowi to ułatwienie w uzyskaniu zezwolenia, dla innych brzmi to jak urąganie na tle faktu, iż przez dziesięciolecia pozbawieni byli możliwości nauki i używania języka, uczestnictwa i pielęgnowania kultury niemieckiej.

Trzeba tutaj jednak podkreślić jedną bardzo ważną kwestię, odnoszącą się zresztą nie tylko do uznawania pochodzenia Niemców rosyjskich. Chodzi mianowicie o kryterium uznawania pochodzenia niemieckiego na „zasadzie krwi”. W praktyce okazuje się bowiem, iż kryterium to jest bardzo nieostre, np. ze względu na skomplikowane niekiedy koligacje rodzinne, i już choćby dlatego bardzo niekonsekwentnie też stosowane. Znane są np. przypadki, kiedy w różnych landach niemieckich niektórym członkom tej samej rodziny uznano ich niemieckie pochodzenie i wydano paszporty, zaś pozostałym, ubiegającym się o to w innym kraju związkowym, nie uznano.

Sądzę jednak, że krytykowane zarówno w Niemczech jak i za granicą paragrafy niemieckie w zakresie uznawania pochodzenia niemieckiego są tylko pozornie kuriozalne. I jestem skłonny bronić swej tezy, iż w rzeczywistości stosowanie tak nieostrego kryterium jest bardzo wygodnym instrumentem, który pozwala na sterowanie napływem do Niemiec wybranych na zasadzie przydatności grup imigrantów. W przypadku Niemców rosyjskich ich atutem jest np. fakt wielodzietności, co przy ujemnym wskaźniku urodzin w Niemczech jest sprawą niebagatelną. Z drugiej strony tak

nieostre kryteria uznawania pochodzenia i w konsekwencji przyznawania obywatelstwa niemieckiego zezwalają na duży margines swobody w ustalaniu liczebności np. mniejszości niemieckiej w poszczególnych krajach. Jest to jednak temat rozległy, wymagający osobnego omówienia.

Podsumowując akcję „repatriacji” Niemców rosyjskich do Republiki Federalnej trzeba podkreślić, iż mimo okresowych trudności logistycznych i objawów niechęci wśród ludności miejscowej, nadzwyczajnego obciążenia finansowego gmin i kontrowersji politycznych, jej znakomita organizacja i realizacja zasługuje na najwyższe słowa uznania. Z jednej strony przyczynił się do tego zapewne fakt, że jeszcze w czasie ostatniego okresu a następnie po zakończeniu II wojny światowej Niemcy Zachodnie przyjęły miliony uciekinierów i wypędzonych, co z pewnością zezwoliło na zdobycie ważnych doświadczeń. Z drugiej strony można założyć, że sprostanie napływowi milionowych rzesz przesiedleńców po wojnie, a szczególnie w ostatnich latach, możliwe było także dzięki wyasygnowaniu miliardowych sum na ich przyjęcie, a następnie budowę mieszkań, świadczenia socjalne, czy też kursy językowe i zawodowe.

Jednak nawet rząd bogatych Niemiec odczuwa coraz bardziej związane z tym obciążenia budżetu i granice akceptacji ze strony społeczeństwa. Stąd też władze niemieckie mocno podkreślają swe zainteresowanie pozostaniem Niemców rosyjskich na terenie Rosji. W tym celu próbują nakłonić władze rosyjskie do spełnienia przyrzeczeń i utworzenia dla nich regionów autonomicznych, oraz zwiększają środki finansowe na pomoc dla Niemców rosyjskich żyjących na terenie państw WNP. W listopadzie 1994 r. również Rada Europejska zażądała od Rosji i innych krajów WNP zagwarantowania Niemcom rosyjskim możliwości korzystania z wszelkich praw przysługujących mniejszościom narodowym. Przewidziano także wsparcie finansowe z funduszu Unii Europejskiej dla konkretnych projektów mniejszości niemieckiej na tamtym terenie. Wątpliwe jest jednak, czy zdoła ich to odwieść od decyzji powrotu do ojczyzny ich przodków.

Andrzej STACH

Kraj

Czerwoni, czarni i Wałęsa

1.

Warszawski światek dziennikarski przywykł traktować politykę jako mecz bokserski. Ostatnio boksował się głównie prezydent z koalicją. Teraz, kiedy spotkanie zakończyło się nagle duserami wzajemnymi Wałęsa z Oleksym, komentatorzy są zdezorientowani. Zwykli szukać prostych odpowiedzi na proste pytania: kto wygra, kto wygrał? Okazuje się, że nie ma żadnych prostych odpowiedzi, wszystko jest jakieś niewyraźne. Może więc pytania wcale nie były proste?

Boks jest grą o sumie zerowej. Polityka zaś bywa taką grą tylko w sytuacjach ekstremalnych, w wyobrażeniach krzyżowców, kiedy Dobro walczy ze Złem... W bardziej pospolitych sytuacjach jej suma nie musi i nie powinna być zerowa, a nadwyżka to nic innego, jak zmiana, jaka dzięki przeprowadzonej rozgrywce nastąpiła w warunkach gry. Inaczej mówiąc, następne starcie na polskiej planszy politycznej będzie już odmiennie uwarunkowane.

Pisałem poprzednim razem (*Kultura* 3/1995), że podczas gdy Wałęsa grał o jedną stawkę, ponowną prezydenturę, wszyscy inni prowadzili naraz podwójne i potrójne gry... Taką właśnie złożoną rozgrywkę przeprowadziło kierownictwo SLD i trzeba przyznać, że osiągnęło w bardzo dużej mierze swoje cele: przejęło ster rządu z rąk PSL i zawarło rozejm z prezydentem. W rezultacie ową zmianą w warunkach gry jest, najpierw, że tylko kandydat z nadania SLD może być wiarygodnym kandydatem prezydenckim obozu koalicji oraz że jego szanse zależeć będą w bardzo dużej mierze od powodzenia nowego gabinetu. Niezależnie od tego, kto będzie tym kandydatem, Kwaśniewski, Oleksy czy ktoś

trzeci, „ponadpartyjny” (jest teraz moda na takich kandydatów) – zwycięstwo mógłby on odnieść jedynie w razie wyraźnej poprawy notowań rządu. Nie może zaś mieć dobrego wizerunku rząd, który nie przekona obywateli, że jest stanowczy ale nie awanturniczy, energiczny ale praworządny, skuteczny ale zdolny do kompromisów i dotrzymywania porozumień, i nade wszystko – że nie zgarnia wszystkiego pod siebie, lecz skłonny jest przyznawać udział w rządzeniu możliwie hojną ręką. Decentralizować, skończyć z kluczem partyjnym, nie dzielić łupów itd.

Dużo tych wymagań, zapewne za dużo. Nikt na przykład nie wierzy, by skończyło się dzielenie łupów, chociaż Marek Borowski w URM ma jako szef administracji opinię nieporównanie lepszą niż Michał Strąk, jego poprzednik z PSL. §32 „Porozumienia koalicyjnego PSL-SD 1995” wzburzył całą opozycję jako powrót do zasady nomenklatury. Kwaśniewski daremnie usiłował wyjaśnić, że §32 jest zapisany w sekcji o „Zasadach wewnętrznego działania koalicji” i że chodzi w nim tylko o regulację wzajemnych stosunków i ograniczenie zatargów z koalicjantem. Potem działacze SD z Oleksym przyznawali każdemu, kto chciał słuchać, że popełnili „niezręczność”. Przy czym nawet z §32 zatargów nie zabraknie.

Tak czy inaczej, sprawdzenie, jaką politykę kadrową prowadzić będzie teraz koalicja, wymaga czasu. Nawet przy Pawlaku, z całą przysłowiową już łapczywością PSL, wymagało to ponad pół roku, nim naprawdę podniósł się krzyk. A za pół roku mają już być rozpisane wybory prezydenckie.

Swoje sukcesy SD opłacił upokorzeniem sojusznika i ustępstwami wobec prezydenta. Z rządu został wyeliminowany nie tylko Waldemar Pawlak, lecz cała grupa jego najbliższych współpracowników (Strąk, Młeczko, Podkański, Śmiekanko), awansowali natomiast „chłodno-neutralni” wobec prezesa PSL Józef Zych, którego pozycja jako marszałka Sejmu będzie w nadchodzących miesiącach ważna, oraz Roman Jagieliński, nowy wicepremier i minister rolnictwa, od dawna rywal Pawlaka. Nastroje dotychczasowej większości w klubie parlamentarnym PSL są fatalne, w terenie wśród kadr z PSL żywy jest niepokój o stołki, choć na ogół nie wiadomo jeszcze, jak będzie ich można skutecznie bronić – trzymając się mocno prezesa, czy raczej przemykając ku nowo awan-

sowanym. Gdyby PSL miał dokąd wyruszyć, może by i pod wodzą Pawlaka wyruszył, ale nie ma dokąd. Wałęsa jest teraz ich najgorszym wrogiem, a prawica ciągle się składa, składa i złożyć nie może, tyle dobrego, że się ZChN na swoim zjeździe nie rozleciał... Tymczasem koalicja z SD zapewnia nadal profity z władzy, choć zapewne Eldorado się skończyło. PSL będzie więc musiało poczekać na swą pomstę na sojusznikach. Ale w nieco dalszej perspektywie rozpad tego sojuszu będzie nieuchronny, ponieważ rząd Oleksego nie będzie mógł i nie będzie chciał konserwować interesów drobnego chłopstwa, głównego wyborcy PSL. Nie będzie ich chronił w dotychczasowym trybie, podtrzymując, lepiej czy gorzej, nieefektywną produkcję i nie potrafi, najpewniej z braku sił finansowych i woli politycznej, chronić wsi poprzez wspomaganie masowej głębokiej przebudowy strukturalnej, to byłby zresztą program na dziesięciolecie. Można się obawiać, że PSL pokuma się w końcu z partyjkami prawicy, które głoszą hasła ochrony polskiego skansenu i że obie strony będą sobie wzajem podbijać bębny. Znosi się zatem na wsi na pogłębienie tragicznego, dobrze znanego w polskiej historii efektu: modernizm (modernizacja) przeciw szaremu człowiekowi, nowoczesność przeciw ludowi.

Wałęsie SD zapłacił zaskakująco dużo i zdumiewająco prędko. Uznano po raz kolejny prezydenckie pretensje do decydowania o obsadzie resortów obrony i spraw zagranicznych. Jedynie formalnie było to współdecydowanie, bo każda ze stron zgłosiła po trzech kandydatów, ale Wałęsa odrzucił po prostu propozycje Oleksego, a premier wybierał spośród proponowanych przez Wałęsę. Zbigniew Okoński został ministrem obrony, choć uprzednio koalicja zaklinała się, że „po naszym trupie”. Prawda i to, że zaklinał się głównie PSL; przed rokiem Okoński rozstał się był z wiceministrowaniem u Podkańskiego, w resorcie współpracy gospodarczej z zagranicą, gdzie zajmował się handlem bronią. Jest bliskim kumplem Mieczysława Wachowskiego, a twierdzi się wśród dobrze zorientowanych, że z transakcji eksportowych przemysłu zbrojeniowego (każda wymaga licencji) zasilany jest fundusz wyborczy kancelarii prezydenta. Zapytany przeze mnie bezpośrednio po zgłoszeniu składu rządu: czemu tak nagle i tak łatwo zgodził się na Okońskiego, premier Oleksy

odpowiedział, że drugim kandydatem prezydenta był Wachowski. Na kolejne pytanie, czy wobec tego wybrał mniejsze zło, nic już nie odpowiedział, tylko się rozbrajająco uśmiechnął; Oleksy jako premier zachował w repertuarze gesty młodego, nieśmiałego kleryka. Okoński ledwo objąwszy urządowanie zapowiedział zgłoszenie nowego projektu statutu MON, gdzie sprawa podległości szefa sztabu (prezydentowi czy ministrowi) będzie ponoć uregulowana „kompromisowo”. Prezydent już poparł „ogólnie” idee swego ministra...

W przeciwieństwie do Okońskiego Władysław Bartoszewski w MSZ nie jest niczym człowiekiem. On sam i jego przyjaciele z Unii Wolności twierdzą, że zgłoszenie go na ministra przez prezydenta było skutkiem „nagłej intuicji” Wałęsy. Wobec nie najszcześniejszych efektów obchodów 50-lecia wyzwolenia Oświęcimia, do Wiednia, do ambasadora Bartoszewskiego przyjechali wysłannicy prezydenta z pomysłem, by pierwszy polski Sprawiedliwy wśród Narodów udał się z misją wyjaśniająco-pojednawczą do rozmaitych ośrodków żydowskich. Nieco zdziwiony ambasador zażądał widzenia z prezydentem, przyleciał do Warszawy, został przyjęty z atencjami i zamiast szczegółów misji zaproponowano mu szefostwo resortu. Przyjaciele z Unii Wolności (ci „ze styropianu”), Geremek i inni, gorąco zalecali zaakceptowanie propozycji Wałęsy. Zresztą nazajutrz z podobnym entuzjazmem potraktował tę wiadomość premier Oleksy, a *Trybuna* od wielu lat o nikim nie pisała z taką rewerencją. Bartoszewski jest najwyraźniej szczęśliwym znaleziskiem dla wszystkich zainteresowanych. Wałęsa dowiódł zgłaszając tę kandydaturę, że wbrew oskarżeniom nie zawsze chce obsadzać resorty prezydenckie swoimi kreaturami; przy okazji odparł też, i to lepiej niż jakimikolwiek misjami, posądzenia o antysemityzm. Oleksy i jego partia mają ministra, przy którym nikt ich nie będzie mógł oskarżać o nieszczerłość wobec integracji z Zachodem. Nawet Unia Wolności jest szczęśliwa, ponieważ ma przyjaciela w rządzie czerwonych i zielonych, a jednak nikt nie może jej z tego powodu oskarżać o kon-szachty z SLD.

Pierwszym krokiem nowego ministra było zgłoszenie kandydata na ambasadę przy Watykanie, nie obsadzoną od roku. Drugim miało być dobranie sobie na pierwszego

zastępcę wiceministra Ananicza, którego Wałęsa zgłaszał był uprzednio na szefa resortu i którego koalicja nie chciała: nie ma jasności w Warszawie, czy dlatego że Ananicz jest solidarnościowy, czy dlatego, że słaby z niego fachowiec, czy też jedno i drugie.

Tak skompletowany rząd został uroczystie i bez zgrzytów zatwierdzony, a nawet w „atmosferze życzliwej powagi” zaprzysiężony i otrzymał akty nominacyjne.

Na tym nie koniec transakcji Wałęsy z Oleksym. Na prośbę premiera prezydent wycofał z Trybunału Konstytucyjnego zaskarżenie budżetu i podpisał go 7 marca. Ustępstwo z pozoru nieznaczące, ponieważ Trybunał miał wydać werdykt 16 marca i było oczywiste, że skargę odrzuci. W istocie jednak Wałęsa uznał swym gestem milcząco, że przedtem posługiwał się skargami zgłaszanymi do Trybunału w sposób prawniczo nieodpowiedzialny*.

Grzeczność za grzeczność. Z kolei Wałęsa poprosił marszałka Zycha, żeby jakoś sprawił, by Sejm nie odrzucił veta prezydenckiego do ustawy konstytucyjnej przewidującej, iż rozwiązany parlament funkcjonuje aż do zebrania się nowego (szczególnie boli prezydenta, że rozwiązane izby mogłyby w tym czasie postawić prezydenta w stan oskarżenia). Ustawę zgłosiła Unia Pracy i poparł ją cały niemal Sejm. Robiono zakłady, czy teraz koalicja wycofa się chyłkiem z tego poparcia.

Mógłbym kontynuować w tym trybie, gdyż tematów starcza (np. korekta ustawy o radiofonii i telewizji) a czas duserów jeszcze trwa. Ale lepiej poszukajmy głębszego sensu tych strategii. Najlepiej – w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, której przewodniczy Aleksander Kwaśniewski, szef SLD.

2.

Jeszcze na jesieni 1994 wyglądało na to, że Kwaśniewski postanowił po dłuższym śnie pogonić swoją komisję dążącą do

* Proszę zauważyć, jak o czasie zniknął z Kancelarii Falandysz, o którym jeden z dworzan, adiutant Wachowskiego, Kozakiewicz oznajmia teraz, że stał się niepotrzebny.

przeprowadzenia referendum nad nową konstytucją tuż przed wakacjami 1995. To by oznaczało, że kandydaci na prezydenta (wybory, w myśl prawa, winny być rozpisane między 22 sierpnia i 22 września) wiedzieliby już o jaką ubiegają się prezydenturę.

Tak więc prace w komisji ruszyły w wartkim tempie. W tym samym czasie narastał jednak konflikt pomiędzy prezydentem a koalicją, który w jednym przynajmniej punkcie, a mianowicie kompetencji prezydenta, łączył się bezpośrednio z treścią dyskusji konstytucyjnej. Zarazem NSZZ Solidarność, powołując się na uzbierane dzięki pomocy parafii 1,5 mln podpisów pod swoim projektem ustawy zasadniczej, groziła coraz głośniejszą kampanią o odrzucenie w referendum czegokolwiek, co opracuje większość komisji Zgromadzenia. Hasło to upowszechniało się szybko: podchwyciły je liczne partie prawicowe, aż na koniec podjął je również Tadeusz Mazowiecki, który walcząc w komisji o odrzucenie oddzielenia Kościoła od państwa posłużył się argumentem: „jeśli nas przegłosujecie, wówczas przeniesiemy sprawę na referendum”. Był to (już w lutym br.) wyraźny sygnał, że także Kościół szykuje się do batalii w referendum. W chwili obecnej, kiedy daleko jeszcze do końca prac, większość obywateli, wg. sondażu CBOS z początku lutego, nie wybiera się głosować w referendum, połowa pozostałych zamierza głosować „tak” a jedna czwarta „nie”, nic jeszcze o tekście nie wiedząc! To wskazuje, że przynajmniej dziś referendum konstytucyjne byłoby głosowaniem za i przeciw rządzącej koalicji, z bardzo niepewnym wynikiem. Z chwilą gdy pojawiło się hasło przedterminowego rozwiązania parlamentu, rzucone przez Wałęsę a podjęte przez część prawicy i NSZZ Solidarność, upolitycznienie przyszłego referendum zatwierdzającego konstytucję stało się kompletne: jeśliby większość głosujących odrzuciła projekt, wówczas samorozwiązanie parlamentu stałoby się politycznie (choć nie prawnie) nieuniknione. Ponieważ zaś w referendum wystarcza zwykła większość i nie ma żadnego warunku co do frekwencji, rezultat byłby nie do przewidzenia.

Punktów politycznie zapalnych w układanej konstytucji nie ma wcale tak wiele, stąd rozsądna, jak się zdaje, była decyzja wyjściowa, by Komisja opracowała dla Zgromadzenia

jeden projekt z wariantami w punktach spornych. Przewodniczący Kwaśniewski nieustannie nalegał, że konstytucja powinna być zaakceptowana przez znaczną większość i uznana przez ogół obywateli, jeśli ma przetrwać. Stąd apele o koncyliacyjną postawę i kompromis. Dawno nie słyszałem polityka, który by tak często mówił o kompromisie, jak Kwaśniewski w komisji konstytucyjnej.

Tutaj nawias, dość jednak istotny. Utarło się dziś w Polsce wychwalanie kompromisu i consensusu („konsensu”) jako wręcz synonimu demokracji. Myślę, że przyczynia się to w niemałej mierze do rozmazywania obrazu, rozmywania problemów i generalnej kupy (Gombrowicz) w życiu publicznym. Strategia Kwaśniewskiego zmierza w istocie do oparcia akceptacji i trwałości nowej konstytucji na doraźnej politycznej transakcji kilku różnych sił – rządzącej koalicji i Kościoła przede wszystkim, liberałów z Unii Wolności i nawet części opozycji pozaparlamentarnej. Wtedy Wałęsa również, przymuszony taką większością, przyłączyłby się do „jedności narodowej”. Uważam taką koncepcję za w najlepszym razie nierealną, w gorszym zaś za szkodliwą. Trwałość konstytucji sprawdza się niezależnie od ich politycznego pochodzenia i stopnia wyjściowej akceptacji, w praktyce – w sprawnym funkcjonowaniu państwa prawa i dobrym współżyciu państwa ze społeczeństwem obywatelskim. Konstytucje przyjmowane przez aklamacje są na ogół zlepkim ogólnikowych frazesów i formuł bez precyzji i bez konsekwencji.

Na szczęście koncepcja Kwaśniewskiego chyba nie będzie szkodliwa: okazuje się coraz wyraźniej nierealna, główni kontrahenci nie kwapią się do transakcji.

Pierwszy istotny punkt sporny, preambułę (z inwokacją, czy bez inwokacji do Boga) udało się wyminąć metodą sowieckiego cenzora: dla *bolszoj jasnosti wyczerknut*’. Preambuły nie będzie.

Zapewne uda się również uporać z prawami socjalnymi obywateli, ponieważ liberałowie z Unii Wolności, którzy gorąco przeciw umieszczaniu tych praw w konstytucji protestują, są osamotnieni. Kwaśniewski i jego przyjaciele w SLD, którzy są dokładnie tego samego zdania co liberałowie, nie mogą się do tego przyznać. Wystarczy im jednak zły wia-

ry na takie sformułowanie, by z praw socjalnych w konstytucji nikomu się nic nie należało w życiu praktycznym.

Prawdziwe rafa, to stosunki Kościoła i państwa oraz struktura naczelnych organów władzy. Pierwsza z tych spraw (z aneksami w postaci np. nauczania religii w szkołach) jest właśnie teraz przedmiotem rozstrzygnięć w komisji. W pewnym momencie wydawało się nawet, że znaleziono osławiony kompromis. Kluczowy art 15 § 3 miałby brzmienie: „Kościoły i związki wyznaniowe są oddzielone od Państwa oraz korzystają z autonomii i niezależności w wykonywaniu swych zadań”. Była już zgoda w podkomisji zajmującej się tym artykułem, nawet ks. prof. Józef Krukowski, ekspert kościelny był gotów akceptować, aliści paru posłów SLD z Włodzimierzem Cimoszewiczem zaczęło się zastanawiać na głos, czy aby nie należało sprecyzować owych „zadań” (np.: religijnych, charytatywnych itd). Ks. prof. Krukowski, poinformowany tymczasem, że na Żytniej, gdzie miała się rozpocząć konferencja biskupów ordynariuszy, bp Pieronek, sekretarz episkopatu piorunuje przeciw „rozdzielaniu” Kościoła od państwa, skorzystał z pretekstu i wycofał zgodę. Kwaśniewski nazajutrz zarządził kolejny dwutygodniowy namysł. Po namyśle sam Kwaśniewski opowiada się ponoć za sugestią Wiktora Osiatyńskiego, jeszcze innego eksperta, który sądzi, że można by Kościół oddzielić nie od państwa w ogóle lecz od „władz publicznych”, co z kolei inni eksperci otwarcie uważają za bzdurną formułę, bo przecież „władzą publiczną” jest nawet sołtys lub komendant straży miejskiej. Tymczasem jednak prymas Glemp wystąpił z ostrym atakiem na nowy rząd i nowy układ sił w koalicji deklarując (10 marca), że nie ma potrzeby bać się PRL-bis, ponieważ „PRL po prostu trwa”, co ma się m.in. wyrażać „niechęcią a nawet nienawiścią do Kościoła”. Najbardziej zaś namacalnym przejawem owej nienawiści jest obstawanie przy jakiejś formie rozdziału. Warto tu może na marginesie wskazać, że głównym argumentem kościelnym w tej kwestii jest, jakoby za Bieruta i Gomułki władze używały formuły o rozdziale, aby ingerować w sprawy Kościoła; było, oczywiście, odwrotnie, ponieważ władze gwałciły zasadę rozdziału, jako że cechą inherentną systemu była wszechobecność państwa. W istocie wspomnieniem, które prześladowa ludzi Kościoła, gdy w

dzisiejszej liberalnej Polsce oponują tak stanowczo przeciw rozdziałowi, nie jest wcale państwo komunistyczne lecz francuska Trzecia Republika. Oczywiście nijak byłoby straszyc współczesnego Polaka Trzecią Republiką znad Sekwany.

Niezależnie od tego, jak daleko gotów jest posunąć się Kwaśniewski (czy, w innych sprawach, premier Oleksy), aby zaspokoić pretensje episkopatu, konsensus nie zostanie osiągnięty. Po lewej stronie, nie pójdzie na to Unia Pracy i w ślad za nią część SLD, która obawia się utraty wyborców przywiązanych do laickiej wersji państwa. Ale wiele wskazuje, że kompromisem nie jest też zainteresowany episkopat. I można to zrozumieć. Ustępliwość i miękkość Kwaśniewskiego i jego grupy przywódczej w SLD odczytywana jest jako chęć zneutralizowania Kościoła jeszcze przed bitwą. Przecież podpisując się pod konsensusem konstytucyjnym Kościół zobowiązywałby się do poparcia lub przynajmniej niezwalczania tych rozwiązań w referendum i tym samym zabierał amunicję prezydenckiemu kandydatowi prawicy oraz NSZZ Solidarność.

Mutatis mutandis to samo dotyczyć będzie obozu prezydenckiego i samego Wałęsy, kiedy komisja konstytucyjna dotrze do artykułów o strukturze władz. Kwaśniewski znowuż będzie „otwarty na kompromis”, tym chętniej, że więcej władzy dla prezydenta niż w pierwotnych projektach SLD oraz PSL-UP może mu całkiem odpowiadać. I Wałęsa także nie będzie mógł zainkasować tego ustępstwa, jak teraz nie może episkopat: cóż mu bowiem przyjdzie z tego, że będzie mógł „zawalczyć” o mocniejszą prezydenturę, jeśli przez to straci trochę z argumentów, jakimi jeszcze może w ogóle walczyć. To są diabelskie dukaty, te koncesje Kwaśniewskiego.

Jeśli jednak, jak tutaj przewiduję, koncesje nie zostaną przyjęte i Zgromadzenie Narodowe nie zdoła dopracować się takiej konstytucyjnej zgody narodowej, żeby można było śpiewać *Te Deum* – to konstytucja długo jeszcze nie będzie gotowa. Koalicja, a zwłaszcza SLD, nie zechce przecież głosować tekstu, który by zawierał wszystkie koncesje i „ani jednego pokwitowania odbioru”.

Wniosek z tego w ogólności całkiem nie odkrywczy: niepodobna sensownie konstruować konsensusu konstytucyjnego

w czasie, kiedy wszyscy zbierają amunicję na wyborczą batalię. Konstytucja zaczeka.

Na przykładzie prac w komisji konstytucyjnej starałem się wyjaśnić strategię użytą przez SLD przy konstruowaniu rządu Oleksego. Przy założeniu, że Wałęsa wybory przegra, są to w ogóle koncesje na pół roku, a takie założenie koalicja, oczywiście, przyjmuje. Z tego samego względu wydaje się nieuchronne, że Wałęsa musi coś z uzyskanymi koncesjami zrobić, i to szybko. Czy będzie to wznowienie walki, na przykład pod pretekstem wspomnianych zmian konstytucyjnych lub ustawy o radiofonii i telewizji? Bardzo wiele na to wskazuje. Ale zarazem jeszcze więcej zdaje się wskazywać, że w ten sposób Wałęsa pograży się do reszty. 63% Polaków spodziewa się, że Oleksy będzie dobrym premierem, SLD zaś utrzymuje niezmiennie od grudnia poziom nigdy przedtem nie osiągnięty 25% preferencji wyborczych (podczas gdy PSL spadło do 13%). Równocześnie, wszystkie wysiłki Wałęsy, by ukazać się prawicy i obozowi postsolidarnościowemu jako jedyny skuteczny bojownik z komuną, nie przynoszą spodziewanych owoców. Prawicowe partyjki nadal kleją kandydaturę Adama Strzembosza lub czekają na wyniki kwietniowego zjazdu Unii Wolności. Jacek Kuroń wyszedł wprawdzie na pierwsze miejsce w rankingu kandydatów na kandydata tej partii aż w czterech piątach organizacji wojewódzkich, ale zjazd może go jednak „wykosić”, bo frakcja chadecka Mazowieckiego i liberalna Tuska połączywszy siły zapewniły sobie większość delegatów. Kandydatem Unii Wolności zostałaby w takim razie Hanna Suchocka, chyba że instynkt samozachowawczy każe jednak prawicy unijnej wybrać Janusza Onyszkiewicza. Tadeusz Mazowiecki, który stara się wszelkimi sposobami zapobiec wyborowi Kuronia popiera... oboje kontrkandydatów w nadziei zresztą, że przyłączy się do nich przynajmniej część sierotek po zjednoczonej prawicy. Dla Wałęsy groźnym konkurentem, groźniejszym nawet od Kuronia, byłby ewentualnie Onyszkiewicz, zwłaszcza jeśli wesprą go... Amerykanie.

W NSZZ Solidarność Marian Krzaklewski coraz wyżej podnosi brodę, aby ukryć rosnący drugi podbródek, i też przymierza się do roli męża stanu; Wałęsy on również nie poprze.

Czy obecnego prezydenta RP stać na całkowitą zmianę frontu, wejście w układ z obecną koalicją i „oparcie się na lewej nodze”? Byłaby to oszałamiająca wolta. Ale niewykluczony jest jej wariant mniej cyrkowy, w którym Wałęsa wcieli się w Ojca Ojczyzny, pełnego umiaru i troski o sprawy kraju, gotowego wesprzeć dobrą robotę niezależnie od tego, kto ją wykonuje. Już tylko z obowiązku sprawozdawcy odnotuję, że w połowie marca pojawiły się w paru ambasadach zachodnich w Warszawie spekulacje, iż mogłoby dojść do wycofania się Wałęsy z walki o reelekcję. Tak mu przynajmniej radzą pewni dyplomaci amerykańscy i jeśli Unia Wolności postawi na Janusza Onyszkiewicza, sugestie mogą snadnie przekształcić się w nacisk.

Warszawa, 12 marca 1995

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Przed laty ujrzałem na murze napis „Wałęsa kawał mięsa”. Nie wydawał mi się wtedy życzliwy ani nieżyczliwy. Mięso kojarzy nam się z czymś surowym, dosyć brutalnym, ale pożytecznym. Mięso jest w swojej istocie okropne, ale może być dobrze przyrządzone. Potrafi się też psuć. Dzisiaj po nowych aferach z Wałęsą, ten rymowany napis nie pachnie ładnie, ale przecież wokół zapachy nie lepsze.

Lech Falandysz był prawną opoką Prezydenta, poszerzył jego uprawnienia niezwykle zręcznie interpretując nasze dziurawe prawo. Falandysz gardzi tym złym prawem i uważa, że należy z tych dziur korzystać. To on stworzył prezydencką koncepcję poruszania się na granicy prawa. To co mu się przydarzyło z Wałęsą zalicza do przygód „najpiękniejszych w swoim życiu”. Kiedy go słucham mam wrażenie, że ten inteligentny i zręczny prawnik nie mówi ustami a czułym nosem. Zawsze siedzi nieruchomo jakby się obawiał, że

cynizm, którym wypełniony jest po brzegi, wyleje się z naczynia jego głowy. Połączenie prawa i cynizmu nie nobilituje cynizmu a kompromituje prawo.

I oto owa prawna opoka Wałęsy chce odejść. Czemu to na Boga? Okazuje się, że z Mietkiem Wachowskim nikt nie może wytrzymać oprócz Prezydenta i obstawy. Doradca do spraw mediów Jan Purzycki, który też nie wydaje mi się zbiornicą wszelkich cnót, odchodząc od Prezydenta mówił o „cieniu wszechwładnego krety”. Falandysz bardziej elegancko mówi, że nie jest już w stanie „podporządkować się metodom i stylowi pracy Mieczysława Wachowskiego”. Jego współpracownicy nie chcą zdradzić szczegółów, mówią tylko, że „to takie brudy, że nie wypada ich wywlekać na światło dzienne”.

Gorzko w Polsce gdy patrzy się do góry, mętnie, gdy patrzy się do dołu.

Niechęć i pogarda wzajemna wewnątrz koalicji okazała się większa niż niechęć opozycji do niej. Kurczą się ze strachu gdy Wałęsa tupie, pozbawieni są charakteru i kręgosłupa, a bardzo chcą władzy, w końcu mieli niebываły trening konformizmu.

Premier Pawlak z wielką melancholią oddaje premierostwo, a rząd tworzy Józef Oleksy. Już wiadomo, że Prezydent będzie nadal kołysał tą łódką tak, by płynęła na granicy zatonięcia. Wałęsa jest doprawdy mistrzem destrukcji czasami w dobrej sprawie, częściej jednak tylko w swojej własnej. I oto mamy nowy-stary rząd, może ciut bardziej efektywny, ale czy nie bardziej postkomunistyczny? Coraz jednak mniej jest ludzi, dla których żywe są nasze dawne symbole. Koło naszej historycznej pamięci zamyka się z ironicznym zgrzytem. Kiedy jednak słucha się pożegnalnego bredzenia Premiera i jego ludzi, gdy rozczulają się nad własnymi zasługami, to doprawdy widzę jak w postaci Oleksego wpływa na wierzch mniejsze zło. Do ręki tego nie wezmę, ale jest mniejsze, to fakt.

Kiedy oglądamy kompletnie pijanego Prezydenta Rosji, jak się publicznie zatacza, robi wariackie miny, bełkoce – to mam wrażenie, że oto pokazano nareszcie kawałek prawdy, nie tylko na temat Rosji. Świat był i jest w rękach dewiantów, alkoholików, szaleńców, rzadko tylko można oglądać ich

prawdziwą twarz. O wiele częściej polityczne zapaści i wojny.

Główny Urząd Statystyczny ujawnia nowe dane, z których wynika, że Polacy w ostatnich latach niezwykle obrosli w dobra trwałe. W roku 1990 tylko 33,8% rodzin posiadało samochody, w roku 1994 już 46%. Pralki miało 63,5%, a w roku 1994 pierze nowoczesnie 74,2% rodzin. Kolorowe telewizory ma niemal 100% Polaków, zdumiewające, bo przecież istnieją obszary biedy całkiem u nas szerokie, a nawet one są kolorowe. Magnetowidy posiada aż 65,5% rodzin (co czwarta chłopska rodzina!). Zaś 11,6% polskich rodzin zakupiło minikomputery, nie tak wiele gdy się porówna z Zachodem, ale i nie tak mało jeśli się popatrzy gdzie byliśmy.

A biadolenia u nas tyle, jakbyśmy stracili jeśli nie wszystko, to połowę z tego co posiadaliśmy przed laty.

Pajęczyna przepisów, pajęczyna niemożności. Kiedyś był telefon bez tarczy, on mógł przeskoczyć wszystkie przepisy. To było okropne, ale czasami służyło skutecznie dobrej sprawie. Dzisiaj nawet na załatwienie świętej sprawy nie ma żadnej siły.

W Polsce wszyscy uwikłani w załatwianie spraw z administracją, w budowę czegokolwiek, w jakiś biznes, opowiadają o gehennie... I tu jest gdzieś pogrzebany nasz pies, nasza szansa na duży skok do przodu. Dlatego bredzenia Korwina-Mikke, skrajnego liberała, mogą znaleźć posłuch, bo on odrzuca wszystko co jest gorsetem. Inna sprawa, że za jego rządów wszyscy byśmy biegali goli jak nas Pan Bóg stworzył. Ale rozumiem, że można stracić rozum od pajęczyny biurokratycznej w RP, gdzie stare nadal się miesza z nowym tworząc niebываły koktajl.

Kiedy się leci samolotem nad Polską i nad Szwecją, nawet z tej wielkiej wysokości w układzie osiedli, w organizacji krajobrazu, widać brak wyraźnych reguł gry u nas (z elementami jakichś reguł w dawnym pruskim zaborze). Gdy w Szwecji z lotu ptaka widać jak na dłoni 300 lat silnego państwa i sprawnej administracji. U nas były tylko pozory centralizacji, gdy naprawdę scentralizowane było tylko gnojenie ludzi.

...A dzisiaj, mimo wszystko, naturalne mechanizmy uru-

chomione przez wolność okazują się mocniejsze. Niby tkwimy w niemocy, a jednak wszystko się jakoś porusza.

Jestem w jury „Dea award” młodego, ale już corocznego konkursu gdzie wręcza się polskie „oskary” za reklamę. Patrzę z szeroko otwartymi oczami na ilość amatorstwa i brzydactwa, ale też na początki profesjonalizmu, na młodzież, która wstępuje do biznesu, na dziwne pomieszanie wszystkiego. I jak się wykuwa ten nasz kapitalizm. Na żałość i chłód tej naszej cywilizacji, w którą gramoliliśmy się namiętnie i gorliwie. Wszystko jest u nas jakby od połowy: podczas części artystycznej nawet nasze profesjonalne zespoły taneczne tańczą nie do końca równo. Miss świata Aneta Kręglicka, która prowadzi imprezę, potyka się zbyt często, ale świetnie mówi po angielsku, a kiedy się myli potrafi z wdziękiem i dowcipnie za to przeprosić. Jakiś element prywaty przeplata się zawsze i wszędzie, i pewnego niedorobienia. Wszystko i wszyscy są jakoś mniej więcej, lecz jednak mimo wszystko do przodu. „Mimo wszystko” popycha do przodu „mniej więcej”.

J. ma lat 22, skarży się – „co za czasy, wszyscy znajomi mówią tylko i wyłącznie o tym jak się ustawić. A ja po prostu chciałabym znaleźć dla siebie miejsce. Chyba jestem nienormalna”.

Pamiętam jak w PRLu tak zwani porządni ludzie szukali dla siebie jakiegoś miejsca lub niszy, a teraz ja sam czuję, że raczej się ustawiam.

Ileż spotykam studentów z wyższych lat, okazuje się, że pracują. Potrzeba zarabiania pieniędzy nie zawsze jest jednak pierwszą przyczyną, mówią – są w panice, że nie zdążą, więc chcą szybko się „na coś załapać”. Czują na plecach szybki oddech tych o kilka lat młodszych. „Ci to mają napęd, ci to mają ciąg do przodu, chcą mieć, mieć, mieć... Więc nie możemy czekać, aż nas zjedzą”.

Kiedy z nimi rozmawiam, muszę dokonywać przekładu wielu swoich myśli na ich język, lub omijać pewne tematy, bo są im zupełnie obce, są ze świata, którego nie znają. Dlatego tyle ważnych nazwisk z dziedziny kultury umarło, zapadły się do Hadesu tak ważne dla nas pojęcia i zdarzenia. Mgła w ich młodych oczach, gdy się o tym mówi. Ale to naturalny obrót wielkiej sceny świata, dzisiaj ona tylko się

nico szybciej obraca.

Gdy rozmawiam z młodzieżą, opowiadam im o czasach kiedy głównym tematem rozmów nie były pieniądze, kto się jak urządził, ile zarabia, jak dorabia, jak urządza mieszkanie, co gdzie i za ile można kupić. Słuchają tego jak baśni o dawnych dziwnych czasach.

– No, ale poza tym było okropnie i beznadziejnie – mówię. Widzę, że próbują sobie to wyobrazić. Praktyczne mięso codziennych polskich rozmów też ich męczy i gorszy, ale jedzą je codziennie.

Pomyślałem, że nawet jeśli ta praktyczna mania nas gorszy, to namiętność dorabiania się jest wielką szansą dla Polski. Jak wiadomo każda mania ma w sobie ogromną energię. Ta energia musi wyrwać nasz ociężały tułów z ruin socjalizmu i pchnąć go w stronę nowej cywilizacji.

Polska zawiera w sobie napięcie i pewną męczliwość wewnętrzną, bo jest maniakalno-depresyjna. Manię posiada połowa społeczności, a reszta, na ogół ci starsi, pogrąża się w bezradności i rozpacz.

Kim będziemy gdy, daj Panie Boże, tej maniakalnej części uda się przesunąć nasz kraj w stronę życia na wyższym poziomie? Czy nasze wewnętrzne wypatroszenie z duchowego życia uda się nam wypełnić na powrót czymś bardziej czułym niż kacze nadzienie?

Niemal wszystkie małe dzieci, gdy pytam kim chcą być, mówią – „chcę być adwokatem, bankierem, biznesmenem”. Dobór profesji jest staranny i z reguły trafiony pod kątem finansowym. Za moich czasów dzieci chciały być kominiażkami, lekarzami, nauczycielami, zdarzało się, że nawet któreś chciało być artystą. Mój przyjaciel, malarz K., chciał być w dzieciństwie malarzem i właścicielem samochodu. I spełnił te oba życzenia. Czy jest jednak szczęśliwy? Czyta teraz zapewne te moje słowa jak zwykle chyłkiem w księgarni, bo twierdzi, że nie stać go na kupowanie *Kultury*, więc czyta stojąc na jednej nodze i zerkając czy ktoś go nie pogoni. Czy to dowód na jego szczególną oszczędność, czy raczej do czego doprowadzono w RP artystów?

Ja w dzieciństwie chciałem być sportowcem lub prezydentem. Nie zazdroścę jednak nic a nic Kuroniowi, który

szykuje się do startu na fotel prezydencki. Gdyby dziś były wybory, pewnie by je wygrał, ale nikt nie potrafi przewidzieć jego szansy za rok.

Kiedy podczas wielkiej urodzinowej uroczystości na cześć Kuronia, na górnych piętrach Pałacu Staszica patrzę sołnizantowi w oczy, widzę w nich bezgraniczny smutek. A pamiętam radość balów, gdy nas gnębiła policja. Kuroń przypomina mi dzisiaj raketę kosmiczną, tuż przed startem, której serce i naczynia krwionośne są tak zużyte, że wszystko jest na granicy awarii.

Setki ludzi. Wielu z dawnych heroicznych czasów nie ma, bo krążą po innych, czasami wrogich orbitach... Wielu osób nie widziałem od lat, mam więc wrażenie, że jestem na balu maskowym gdzie autorem przebrań jest czas. Jednych wzduło, innych wysuszyło, wszystkich gdzieś przesunęło i pomarszczyło. Wpadam na C., to jego krzyk z balkonu wyrzucił mnie grudniowej nocy z domu, a wróciłem po roku. Jest też K., to w jego mieszkaniu zakończyłem odyseję tej wariackiej nocy, gdy wydawało się, że diabeł wyjada miasto od środka. Nawet trochę o tym rozmawiamy, ale krótko i z zażenowaniem. Jakoś nie wypada, a jeśli już to na wesoło. Nasza martyrologia przypomina dzisiaj stracha na wróble, w polu niezupełnie szczerym.

K. mieszka teraz w Paryżu. C. jest politycznie aktywny i ma dzisiaj pomysł na koalicję z postkomunistami, bo nie widzi innego wyjścia, inaczej zje nas populizm i prawica. Patrzę na nich jak na początek i koniec tamtej mojej podróży. I myślę, że teraz być może kończy się podróż następna – czemu tu nie ma generała Jaruzelskiego, pewnie przyjęto by go ze zrozumieniem?

B., który wiele lat siedział – mówi do mnie – „wiesz, więzienie to było pięć, gdzie pięć! dziesięć! razy mniej okrutne i trudne doświadczenie, niż jest teraz dla nas doświadczenie władzy, czy walki o władzę. To była idylla...” rozmarzył się.

Spotkałem tak wiele osób, wszyscy wielce zaangażowani w politykę, ale z nikim nie rozmawiam o polityce. Chyba już wszyscy mamy jej serdecznie dosyć.

Czytam dzienniki Pani Almy Curtin, żony tłumacza Sienkiewicza. Przyjeżdżali do Polski kilka razy na przełomie

wieku. Pani Curtin jest niezbyt mądra, raczej mało spostrzegawcza, pisze średnio. A jednak notując robi jakby czarno-białe zdjęcia Polsce z przełomu wieku, co bywa ciekawsze od wysiłków pisarzy, którzy próbują malować barwne obrazy, a ich artystyczny wysiłek zadusza prawdę.

W tamtej Polsce najbardziej mnie porusza, że była tak podobna do PRLu. Zostawmy na boku brud, to już wiadomo szokował w Polsce od wieków. Zostawmy też chłopów i wieś naszą, ona tak samo szokowała – tylko na marginesie uwaga – PSL ma tak wielkie obciążenia dziedziczne, że pewne umysłowe niedowład tej partii wydają się w pełni zrozumiałe.

Zatrzymajmy się na pakiecie zdziwień restauracyjnych. Pani Curtin skarży się: „W kawiarni musieliśmy trzymać nasze talerze, bo kelner chciał je zabrać, zanim zjedliśmy połowę dania. Nigdzie indziej oprócz Polski nie zetknęliśmy się z takim dziwactwem”. Gdzie indziej, żali się: „Kelnerzy w kawiarniach nie mają żadnych manier, zachowują się, jakby to była łaska z ich strony obsłużyć klienta”. Gdzie indziej: „Jedzenie jest niedobre, hotel źle utrzymany, człowiek w białej kamizelce sprząta pokój i wyrzuca śmiecie, każdy uważa się za kogoś lepszego i obsługuje jakby to było z łaski...”

Zanotujmy jeszcze jedną skargę Amerykanki jakby żywcem wyjętą z naszych ust z lat 70-tych. O służących w hotelu napisze „wszyscy jednakowi, tacy jakby rozminęli się ze swoim powołaniem”.

Cytowałem w poprzednim tekście poetę Macieja Sarbiewskiego, który pisał o Polakach w wieku XVII. „Chcieliby zawsze być czymś więcej, niż są, nigdy nie są z siebie zadowoleni”.

I pomyśleć – w naszej ojczyźnie od stuleci nikt nie był z siebie zadowolony, każdy cierpiał, że nie jest na swoim miejscu. Nic dziwnego, skoro cały ten kraj nie był na swoim miejscu, poharatany i rozdarty. Są więc u nas pokłady niezadowolenia grube na stulecia, można by w nich wydrążyć niejedną kopalnię.

Ciekawe czy dzisiaj wchodzimy w swoje miejsca? Mam wrażenie, że trwa gorączkowa szamotanina i gorączkowe gramolenie się.

W ogrodzie codziennego gadania nasza Amerykanka nie zrywa kwiatów, a chwasty. I dobrze, bo one bywają od kwiatów trwalsze.

Sienkiewicz nie jest punktualny, nie jest też zbyt słowny, co naszych Amerykanów doprowadza do rozpacz. Pani Curtin, obawiam się słusznie, sugeruje, że to niemal cecha narodowa: „Trudno coś załatwić z tymi Polakami”. Narzeka, że wszystko w tym kraju tak się wlecze. „Polacy są powolni, mogą minąć tygodnie, zanim...”

Kiedy odsłaniany jest pomnik Mickiewicza, w atmosferze podobnej jak składane pod nim kwiaty w marcu 1968 roku, Pani Curtin westdycha: „Biedni ludzie, nie mają wolności słowa”. A jej westchnienie pokrywa się z westchnieniami, które szły przez Europę od stulecia... „ci biedni Polacy”. To westchnienie kładzie głowę na poduszce naszej wolności. Przyglądam mu się i doprawdy nie wiem czy ma żalowaną czy ironiczną minę, śpi czy jest martwy?

Wariackie przemówienie Gomułka z roku 68 oglądałem w telewizji z ojcem. Nigdy przedtem ani potem nie dane było mi oglądać takiego politycznego kabaretu. Pamiętam, że tarzaliśmy się ze śmiechu po dywanie, by zastygać w geście przerażenia, lecz po chwili wracał śmiech. A przecież widzieliśmy, że w sali Kongresowej nie puszcza się gołębi, że wypuszczane są z klatek wszystkie upiory, które mieszkają w tym kraju. Nazwisko ojca padało na dodatek w tym przemówieniu jako jednego z wrednych pisarzy, co knują. Ciągnęło więc trochę od okna grozą. Pamiętam, że potem ważne rozmowy prowadzono w moim domu w toalecie spuszczając wodę, podobnie rozmawiano w innych podpadniętych domach – okropne, żalowane czasy, gdy nawet odwaga miała smak toaletowego papieru.

Przemawiając Gomułka sprawiał wrażenie kapitana asenizacyjnego statku, nad którym tracił panowanie. Najbardziej rozczulające momenty, gdy w pocie czoła oddzielał syjonizm od antysemityzmu, albo kiedy ujawniał swą wiarę, że Mickiewicz byłby po jego stronie. Ten bęczał rzeczywiście w to uwierzył.

Robimy program telewizyjny, który pójdzie 8 marca. Z odmetów zapomnienia reżyser wyjmuje Szpotańskiego, którego Gomułka nazwał, czy raczej wyślnił „człowiekiem o mentalności alfonsa”. Nikt już nie pamięta wagonów towarowych ze sloganami tamtego czasu, a owe zdanie pamięta

każdy. Jakie zdumiewające śmieci zostają z przeszłości.

Szpotański upowszechnił pojęcie „komucha”, stworzył „towarzysza szmaciaka”, i „gnoma”. Pomyśleć, Gomułka jest dzisiaj martwy, martwy jest komunizm, a słowo „komuch” nadal żywe.

Nagrywamy program późnym wieczorem, wśród pajęczyny pustych telewizyjnych korytarzy. W środku miasta stoi ta wielka fabryka, która wyprodukowała tyle kłamstw, tyle upiorów, a teraz jest kością niezgody naszej demokracji. Ten budynek jest jak wieża ciśnień, która tłoczy do domów milionów ludzi pocięte i wypreparowane obrazy, ale zwykłe oko nie dostrzeże, iż były wcześniej na stole chirurgicznym. Asystując teraz przy montażu wielu telewizyjnych programów, z przerażeniem widzę jakie są niebывałe możliwości manipulacji.

Po nagraniu chodzimy korytarzami – może raczej łazimy, bo Szpot bardziej łązi niż chodzi – po linoleum które pamięta stopy konformizmu tamtego czasu. Szpotański mówi, że dzisiaj czuje się za stary by pisać o Wałęsie. I kto by chciał tego słuchać?

W następnych dniach Gomułka jest preparowany, cięty, komputerowo sklepany, aby wypadł na jeszcze większego durnia niż był nim w rzeczywistości. A wszystko na śmiech. Gdyby Gomułka stojąc na tej trybunie roku 68 mógł zobaczyć co będzie z nim robić reżyser – zobaczyłby piekło i siebie maltretowanego przez diabły. Staram się jednak o tym nie myśleć w kategorii rewanzu i kary, a jednak czuję sadystyczne dreszcze podczas tej żalowanej sekcji.

Kiedy podchodzi do mnie jakiś nieznaną osobnik płci męskiej i przedstawia się – „dzień dobry, jestem nikiem” – to jest oczywiste, że wynurza on się z kraju, gdzie każdy musi być kimś.

Unia Wolności, jedyna partia, która mogłaby mi być bliska, okazuje się beznadziejnie chora. Ma dwa różne skrzydła, które poruszając się niezgodnie uniemożliwiają jej lot. Drażni też Unię choroba, która dotyczy wszystkich naszych politycznych bytów, a prawicę załatwia na amen. Każdy z nazwiskiem chce być na szczycie. To nie program, polityczne cele, dobro kraju jest na pierwszym miejscu a Ja.

Nie co, ale kto kogo kim i czym. W Unii to wszystko jest wyscielone intelektualną watą, na dodatek posypaną cukrem i okruszkami czekolady. Nie czyni to jednak z tego widowiska bynajmniej smacznego tortu.

Są znaki, że to wszystko skończy się rozłamem partii a jej tułów zepnie się z SLD. Coraz bliżej chwili gdy sojusz z postkomunistami dla socjaldemokratów, liberałów i liberalnych konserwatystów, dla sporej części Unii, stanie się opcją rozsądną. Może mało przyjemną, ale trzeba to będzie zrobić dla dobra kraju, dla reform zagrożonych przez chłopów i populistów.

Dawno nie jechałem taksówką. Każda taka jazda sporo kosztuje, ale w zamian wiadomo, że taksówkarz sprzedaje jakąś złotą myśl. Na razie dowiaduję się, że pracuje bardzo ciężko, zarabia jednak dobrze i nie narzeka. Nareszcie ktoś kto nie narzeka. Nie potrafi jednak nie rozmarzyć się, jak to wspaniale się żyje w Niemczech gdzie niedawno pracował. Ma około 30 lat. Uważa, że jego pokolenie jest już zainfekowane przez komunizm. Pewnie dlatego obrusza się gdy zapinam pasy, co obowiązuje teraz w taksówce. „Co Pan przecież jest ciemno, nie widać”.

Kto u nas nie ma takich „pasów”, których się nie zapina bo nie widać?

Kiedy rozmawiamy o taksówkarskiej mafii, a ten temat ma tak długą brodę, że już jej nie widać, taksówkarz tłumaczy zjawisko układami na górze. I nagle mówi – „dzisiaj takie czasy, że tylko ryba nie bierze” – mówi to z takim przekonaniem, że widzę jak wielki palec pisze te słowa nad zachmurzonym niebem co zwisa nad brwiami Warszawy. Boję się, że po pięciu latach wolności, gdybyśmy robili plebiscyt na najkrótszą recenzję tego czasu, to właśnie owe hasło ścigałoby się o pierwsze miejsce.

A ja bym to hasło rozmnożył - dzisiaj takie czasy, że nawet ryby mają głos. I takie, że są już u nas restauracje, które potrafią przyrządzić rybę. A w naszym brudnym akwarium coraz więcej pływa złotych rybek, czasami jednak wystarczy włożyć rękę, by się przekonać, że to złota pirania.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

1.

Gdy na początku bieżącego roku w audycji telewizyjnej postawiono pytanie: „Czy gdyby konflikt między prezydentem, koalicją a rządem nasilał się, grozi nam wojna domowa?” – nie tylko widzowie przed telewizorami, ale i zebrani w studio politycy wzruszyli ramionami i zaśmiali się gromko: grozi nam co najwyżej nie żadna wojna, ale jeszcze jedna śmieszność. Rzeczywiście pośmiać się można, ale żeby palcem ruszyć za którąś z wadzących się stron?! Komu by się chciało? Tak zwaną, klasę polityczną dawno przecież „naród” ma w nosie. Za to śmiech jest tu jak najbardziej na miejscu i niesie się zewsząd – z kuluarów władzy, z ulicy, z gazet.

W jednej z nich czytam rozbijające zwierzenie posła z PSL-u, że jego stronnictwo musi się „ładnie rozproszyc” co oznacza sprawne wniknięcie do różnych agend, zdobycie stanowisk i założenie własnych firm. Dalej poseł stwierdza, że polityk musi mieć zaplecze, a zaplecze najlepiej zapewniają „fanty” czyli państwowe zlecenia dla znajomych. Cóż więc dziwnego, że gdy się to słyszy, to i prasa dołącza prześmiewczo do tej tonacji, do tego języka i stylu, donosząc, na przykład, o pewnym ministrze, który po pijaku rozwalil płot, że otrzymał on „grant” na badania pod hasłem: „Wytrzymałość ogrodzenia na zderzenia samochodowe w zależności od stanu kierowcy”. Charakterystyczne, że w odniesieniu do polityki i polityków po gazetach zapanowało słownictwo z repertuaru cyrkowego: „kuglarstwo”, „kuglarz”, a nawet wyklął się neologizm „kuglować”.

O naszej demokracji nagłówki mówią wprost „taka młoda, a taka brzydka; gnijąca, niepotrzebni jej wrogowie, sama szczyźnie”.

Notowania polityków skaczą na tabelach pomiarowych socjologów, raz ktoś wyżej, raz niżej, ale nie odzwierciedlają one bynajmniej szacunku dla danej osoby, lecz jedynie uznanie dla celnej zagrywki. Tu prym wiedzie Wałęsa, jest właściwie jedynym rozgrywającym na placu i jeżeli zdobędzie

powtórnią prezydenturę, to dzięki tym swoim kuglarskim walorom. Ludzie wiedzą, że się nie nadaje, ale chociaż umie każdego wykiwać i to się podoba.

Trudno jednak nazwać ten stan opinią publiczną. Są to raczej doraźne poglądy, zaprawione gorzką emocją, na izolowane fakty, nie tworzące spójnego spojrzenia na całość. Według socjologów jest to zresztą typowa sytuacja dla wszystkich krajów transformujących się.

2.

Na zorganizowanym przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Forum na temat: „Kto w Polsce liczy się z opinią publiczną” panowało wielkie pojęcie pomieszanie. Ustalono, że klasa polityczna nie czuje się odpowiedzialna przed opinią. Niechybnie natomiast liczy się z nią Jacek Kuroń, zmieniając dotychczasowy dzinsowy strój na garnitur bardziej pasujący kandydatowi na prezydenta. Albo też sędzia Strzembosz, który zrobił porządek ze swoim uzębieniem. Na ogół, z opinią liczą się politycy w momencie wyborów i wtedy też jest czas na wywleczenie im na światło dzienne wszelkich rozgrzebanych a nie zakończonych afer. W tym sensie można rzec, że opinia bywa nierychliwa ale sprawiedliwa.

Jeden z dyskutantów Forum dowodził, że jako zbiorowość zatraciliśmy poczucie dobra i zła, jako przykład podając fakt pewnego miasta, gdzie ulicę „Hanki Sawickiej” zamieniono na „Józefa Piłsudskiego”, by ją z kolei przywrócić ostatnio z powrotem do „Hanki Sawickiej”.

Wszyscy zgodnie wyrażali tęsknotę za staroświecką opinią, kiedy to przynajmniej środki przekazu potrafiły wznieść się ponad własne uprzedzenia. Tego, niestety, teraz nie ma. Postawiono więc pytanie, czy nasze media mogłyby jakoś pomóc ludziom, żeby ich poglądy nie opierały się jedynie na resentymentach. Odpowiedź była negatywna. Media nie potrafią wywołać publicznej debaty na takie podstawowe problemy jak struktura zatrudnienia, zapaść edukacyjna, czy też położenie Polski między Rosją a Europą. Nasze środki przekazu, w ślad za politykami, zajmują się wyłącznie chwilą bieżącą i rozgrywkami personalnymi.

3.

Charakterystyczne, że podczas Forum nie padło słowo „autorytet”. Jakby go wymiotło z naszego języka. Nie tylko tam, zresztą. Nikt go w Polsce nie słyszy, nikt go nie wymienia. Co nie oznacza, że nie ma nań zapotrzebowania. Przeciwnie, wydawałoby się, że im trudniejsze czasy, tym autorytet potrzebniejszy.

Posłużę się przykładem. „Autobiografia” Jerzego Giedroycia cieszy się w Polsce niesłabnącym powodzeniem. Książka solenna, bynajmniej nie z gatunku rozrywkowych, jest rozchwytywana. Nie jest to też w najmniejszej mierze żadna autolaudacja, raczej dokładne sprawozdanie z dokonanych życiowych autora. Ludzie zadają sobie pytanie, dlaczego więc stała się bestsellerem. Trudno inaczej na nie odpowiedzieć, iż dzieje się tak dlatego, że książka odpowiada na głód autorytetu u ludzi. Udowadnia, że i w polityce można być ideowym, uczciwym i sprawy Polski traktować ponad własnym interesem.

Niestety, w naszych opłotkach nikogo takiego nie widać. Panuje prywatna i – bodajże od niej gorsza – martwota przy ciągłym harmiderze pozornej aktywności. Zmieniają się marionetki, ale straszy wciąż ta sama niezniszczalna biurokracja zamknięta w dawnych gmaszyskach. Straszy w centrum miasta wielki budynek Ministerstwa Budownictwa, z olbrzymią obsadą ludzką, a przecież wszystkim wiadomo, że jeśli się coś u nas buduje, to raczej prywatnie; obok, socrealistyczne w stylu Ministerstwo Rolnictwa; na Miodowej, w pałacu-zamczysku, Ministerstwo Zdrowia, bezskuteczne do niemożliwości, ciągle nie zreformowane. Jeżeli już muszą istnieć te agendy, to czy aż w tak wyolbrzymionych formach?

4.

Nie wykryto u nas jeszcze, że małe jest piękne. A przecież jeżeli gdzieś szukać u nas czegoś, co cieszy się prawdziwym poważaniem i autorytetem, to w małych oddolnych instytucjach i działaniach.

Tu przychodzi mi na myśl warszawski Klub Inteligencji Katolickiej, tzw. KIK; owa landara mieszkaniowa w czynszowej kamienicy na rogu Kopernika.

Polskie KIK-i powstawały spontanicznie na fali rozluź-

nienia popaździernikowego i od razu tętniło w nich autentyczne życie. Z pasją wprowadzały ducha posoborowego, ekumenizm, personalizm w niedużych, ale znaczących akcjach, jak na przykład, jedna z pierwszych, uporządkowanie warszawskiego kirkutu. Nie czas tu i miejsce na szersze omówienia.

Wspomnę tylko jesień 1980 roku, bo byłam tam wtedy „pomagierką”. Tłum wylewający się na schody KIK-u, sterty pokrajanego chleba, smarowane przez nas taśmowo margaryną i podawane delegatom – tak się o nich mówiło. Wałęsa zadający szyku w białej studenckiej czapce Uniwersytetu Warszawskiego, ofiarowanej mu spontanicznie przez studentów, wzajemne poznawanie się, powszechny entuzjazm. Delegaci z całej Polski odbywali tu spotkania przed rejestracją Solidarności, tu układali jej statut, obmyślali taktykę postępowania z władzami.

Jeszcze wcześniej, bo w sierpniu '80, tu urodzili się pierwsi doradcy Solidarności, stąd wyruszyli do Gdańska. Przez całą dekadę lat osiemdziesiątych nie zawieszony przez władze KIK był siedliskiem życia opozycji, praca szła sprawnie ale bez reklamy i ostentacji, toteż nic dziwnego, że gdy pod koniec dekady PZPR chciała nawiązać kontakt z opozycją, poszukała go właśnie poprzez działaczy KIK-u.

Teraz warszawski KIK jakby przybladł. Prelegenci, którzy przychodzą tu na odczyty, zastają wokół na krzesłach wianek starszych pań jako publiczność. Ale za paniami w zakamarkach, co nie rzuca się w oczy, czai się „kawalerka”, młodzi wychowankowie kilku kikowskich pokoleń. Działają nadal bez hałasu, tak na zewnątrz jak w różnych żywotnych sekcjach, że wymienię choćby sekcję ekologiczną, ekonomiczną czy sekcję polsko-niemiecką.

KIK wycofał się z bezpośredniej polityki, stanął jakby z boku wydarzeń, co nie znaczy, że zamarł, i jak powiadam, jest to jedno z niewielu miejsc w Polsce wiarygodnych i cieszących się autorytetem. Pluralistyczny w poglądach, wytrzymały w trwaniu, czujny i gotowy w razie czego. Parafrazując Czepca z „Wesela” można by powiedzieć: „my się rwiemy ino do jakiej bijacki...” Ale do „bijacki” raczej nie na noże, ale na budowanie.

5.

W chwili gdy piszę te słowa w „pubie” (przepraszam, nazwa weszła już do polszczyzny) na Placu Zamkowym za oknem gromadzą się tysiące delegatów na zjazd PSL-u. Las zielonych sztandarów w rękach drobnych rolników, w większości takich, których gospodarka nasza powinna się czym prędzej pozbyć, ale co tam, chłop potęgą jest... Po mszy w katedrze pójdą pochodem przez miasto. Pawłaka, który ogłosił na Zjeździe, że jego rząd upadł z powodu nadmiaru sukcesu (poważnie!), przyjęto stojącą owacją (dziwy, dziwy...)

W tym czasie Wałęsa w kanarkowym krawacie penetruje uroki plaży w Copacabana, a Lech Falandysz podał się do dymisji z powodu chamstwa Wachowskiego, na co wesółka Warszawka ukuła natychmiast pytanie kiedy to Wałęsa poda się do dymisji z powodu tegoż Wachowskiego.

Józef Oleksy tworzy nowy rząd złożony z tych samych osób w innych przetasowaniach, podkreślając rozbijając, że podjął się tego zadania dla dobra sprawy, opuszczając altruistycznie dobrze wymoszczone, wygodne i ciepłe gniazdko marszałka Sejmu, a Leszek Balcerowicz przystąpił właśnie z biciem w bębny do Unii Wolności, żeby przejąć jej kierownictwo od Tadeusza Mazowieckiego, który wszakże ustępować nie myśli. Nawiasem mówiąc sądziłam, że Balcerowicz po opuszczeniu rządu pójdzie ścieżką naukową, okazało się, że „ukąszenie polityczne” było silniejsze.

Gdy czytelnik weźmie ten tekst do ręki, wszystko to, co się tu teraz gotuje, będzie już wystygłe i zblakłe. Wyrośnie przed nami góra nowych spraw z nie mniejszymi atrakcjami. Bo skażona strefa ma swoje nieustające kino. Można się wiecznie bawić nie wychodząc z domu.

Luty 1995

Ewa BERBERYUSZ

O Białorusinach w Polsce

Po rocznych niemal zapowiedziach ukazała się nareszcie książka Wiesława Chorużyego pt. „Białoruski drugi obieg w Polsce 1981–1990”*. Jest to kolejna pozycja sygnowana przez powstałe niecałe dwa lata temu Białoruskie Towarzystwo Historyczne z Białegostoku. Zewnętrznie książka prezentuje się skromnie (niecałe 150 stron druku), jednak zawiera sporą dawkę informacji tak o niezależnych wydawnictwach białoruskich jak i (co ciekawsze) o życiu samych Białorusinów w Polsce powojennej. Albowiem rozdziały traktujące o wydawnictwach niezależnych poprzedzone są ogólną informacją o Białorusinach w Polsce w latach 1945–1990. Siłą rzeczy rozdział ten jest, swego rodzaju, rozliczeniem całego powojennego pięćdziesięcioletniego życia społeczno-politycznego Białorusinów, ich organizacji, działaczy. Jest też rejestrem niespełnienia: niespełnienia inicjatyw społecznych, kulturalnych i politycznych.

Głównym bohaterem wstępnych dywagacji autora jest Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne powstałe w 1956 roku. Towarzystwo to początkowo było płaszczyzną integrującą społeczność białoruską, pomimo że od powstania było naznaczone grzechem pierworodnym tzn. zależnością od władz partyjnych i administracyjnych. „Bezpośredni nadzór nad nim sprawowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, ono bowiem finansowało jego działalność. Na szczeblu wojewódzkim kontrolę nad organizacją miał Urząd Spraw Wewnętrznych oraz KW PZPR, a w powiatach wydziały spraw wewnętrznych prezydiów rad narodowych. Żaden zjazd czy plenarne posiedzenie Zarządu Głównego BTSK nie mogło się odbyć bez obecności pracowników MSW” (s. 15). Na pytanie dlaczego ta niezbyt duża organizacja otoczona była tak wszechstronną opieką odpowiedź wydaje się prosta. Mianowicie „jedną z istotniejszych przyczyn zezwolenia władz na powołanie organizacji białoruskiej była chęć stymulowania i nadzorowania procesów zachodzących wewnątrz tej społeczności. Istotnym było także stworzenie warunków dla propa-

* W. Choruży, „Białoruski drugi obieg w Polsce 1981–1990”, Białoruskie Towarzystwo Historyczne, Białystok 1994.

gandy socjalistycznych idei w języku narodowym. Ułatwiało to popularyzację polityki partii wśród Białorusinów” (s. 15).

Towarzystwo niewątpliwie realizując politykę partii, szczególnie w pierwszym swoim okresie, robiło jednak sporo dla rozwoju kultury białoruskiej. Dzięki ludziom, którzy byli autentycznie przejęci losem swojej społeczności, Białoruskiemu Towarzystwu Społeczno-Kulturalnemu udało się stworzyć własne pismo (tygodnik *Niwa*), corocznie wydawać kalendarz oraz jedną lub dwie pozycje książkowe. Zorganizowano radiową audycję w języku białoruskim. Powstawały teatry ludowe, chóry, a symbolem białoruskiego ruchu artystycznego stał się założony w końcu lat 60-tych zespół „Lawonicha”. Bujnie rozwijał się białoruski ruch literacki. Wielkim osiągnięciem Towarzystwa było otwarcie 12 marca 1966 roku Regionalnego Białoruskiego Muzeum Etnograficznego w Białowieży. Również na lata 60-te przypada rozkwit szkolnictwa białoruskojęzycznego, z którego korzystało wtedy 10–12 tysięcy uczniów. Dobrze funkcjonowała, utrzymująca częściowo BTSK, spółdzielnia pracy „Beteska”.

Niemniej po tych wstępnych sukcesach, gdzieś w latach siedemdziesiątych, jak się wydaje, Białoruskiemu Towarzystwu Społeczno-Kulturalnemu przetrącono kręgosłup, bądź też (niestety nie wynika to jasno z tekstu) miejsce autentycznych działaczy zajęli, w pełni posłuszni zwierzchnikom partyjnym i administracyjnym, konformiści. Na efekty tej zmiany nie trzeba było długo czekać.

Na początku 1971 roku nastąpiła pełna likwidacja szkolnictwa z językiem białoruskim jako wykładowym, wnioskowało o nią ówczesne kierownictwo Towarzystwa. Pismo w tej sprawie do Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego podpisali ówczesny przewodniczący i sekretarz Zarządu Głównego BTKS (!). Od tamtej pory języka białoruskiego w szkołach Białostocczyzny nauczano jako języka dodatkowego. Pierwszym następstwem tych decyzji był radykalny spadek ilości dzieci uczących się języka białoruskiego z 11 do 4 tysięcy. W 1972 roku zlikwidowano dumę Białorusinów, zespół „Lawonicha”. Wkrótce potem BTKS zostało pozbawione spółdzielni pracy „Beteska”, a w 1973 roku zlikwidowano muzeum w Białowieży. Przy czym w sprawie likwidacji Muzeum również czarną rolę odegrało BTKS: kierownictwo Towarzystwa już na początku 1970 roku przyjęło wniosek o przekazaniu eksponatów, celem konserwacji, do Muzeum Okręgowego w Białymstoku. Decyzja

ta była początkiem końca tej instytucji.

Działaniom tym towarzyszyły bardzo niekorzystne zjawiska tak w skali województwa jak i całej Polski. Tak więc sytuacji gierkowskiej *prosperity* towarzyszyło wyludnianie się wschodniej części województwa białostockiego (właśnie tam znajdowało się zaplecze ruchu białoruskiego); niektóre wsie niemal w całości przestawały istnieć. Zaś w dalekiej Warszawie plenum KC PZPR 20 lutego 1976 roku przyjęło uchwałę „O pogłębianie patriotycznej jedności narodu, o umacnianie państwa i rozwoju demokracji socjalistycznej”, która *de facto* sformułowała zasadę jednorodnej etnicznie państwowości polskiej.

Reakcją na systematycznie wprowadzane ograniczenia w życiu narodowym były próby tworzenia czegoś na kształt frondy w samym Białoruskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym w czasach ożywienia społeczno-politycznego w Polsce (tu na podkreślenie zasługują: list Zarządu Głównego BTSK do I sekretarza KC PZPR Stanisława Kani z listopada 1980 roku czy działalność koła miejskiego BTSK w Białymstoku). W momencie kiedy tego typu inicjatywy spęzły na niczym niezależni działacze białoruscy podjęli działania na rzecz tworzenia niezależnych od BTSK organizacji, takich jak Białoruskie Zrzeszenie Studentów czy Stowarzyszenie Opieki nad Zabytkami i Rozwojem Białoruskiej Kultury Materialnej w Polsce. Próby te, w owym czasie (początek lat 80-tych), musiały zakończyć się niepowodzeniem.

Niezgoda na coś na kształt „śmierci klinicznej” życia społeczno-kulturalnego doprowadziła część działaczy białoruskich do stworzenia pozacenzuralnego białoruskiego obiegu wydawniczego. Poprzez wolne słowo aktywiści białoruscy chcieli dać wyraz swojej ocenie rzeczywistości.

Do najciekawszych zjawisk białoruskiego drugiego obiegu należą: *Bielaruskija Dokumenty*, *Archiuny ssytak*, *Kontakt* czy pismo religijne *Fos*. Oprócz tych seryjnych wydawnictw ukazała się w drugim obiegu cała masa broszur i druków ulotnych sygnowanych przez Białoruskie Niezależne Wydawnictwo. Wśród tych ostatnich do najważniejszych pozycji należą broszury: „Cerkiew prawosławna w Białostockim Kraju a język białoruski”, „Rozważania o autonomii” oraz „List do przyjaciela” autorstwa Sokrata Janowicza i „Dziwięć wierszy” Łarysy Henjusz.

W 1988 roku powstało wydawnictwo „Berah” („Brzeg”), które zdążyło wydać tomiki poezji Janki Kupały i Aleha Bembela. W tym samym czasie pojawiło się wydawnictwo im.

U. Ihnatouskaha. Również w 1988 roku światło dzienne ujrzała praca Jarosława Janowicza pt. „Zmiany białoruskich nazw miejscowych Białostoczczyzny w dwudziestowiecznej konwencji ich zapisu”.

Lata 80-te to również czas uaktywnienia się białoruskiego środowiska studenckiego. Oprócz legalnie, pod patronatem SZSP, wydawanych *Sustreczy* ukazują się niezależne *Bieżące Wiadomości BZS* oraz okazjonalnie wydawane śpiewniki.

Publikacje te, w większości, skupiały się na sytuacji Białorusinów w Polsce. Jedynym wyjątkiem od tej zasady było pismo *Kontakt*, które zajmowało się również sytuacją społeczno-polityczną na Białorusi Sowieckiej.

We wszystkich tych publikacjach, których pokazną bibliografię znajdujemy również w pracy Chorużego, widzimy świadectwo rozpaczliwej sytuacji, wobec której znaleźli się polscy Białorusini w latach osiemdziesiątych. Rozpacz przebija również z dokumentów, które zostały dołączone do książki. Dokumenty te mają zresztą wartość samą w sobie. Są opowieścią o konformizmie i niezgodzie na zapaść postaw obywatelskich. Ale są również ciekawe dlatego, że, jakby przy okazji, pokazują stosunek Białorusinów do nas – Polaków. Otóż dokumenty te skierowane są albo do własnej społeczności albo do władz partyjnych czy państwowych. Nie ma wśród nich materiałów, które skierowane byłyby do przeciwnego Polaka i informowały go o pulsie białoruskiego życia. Tak jakby społeczność polska była nieistotnym tłem w teatrze, gdzie głównymi aktorami są partyjni biurokrata i bezradny inteligent białoruski.

Wśród dokumentów jest też tekst Sokrata Janowicza „Co to jest strach białoruski”, w którym autor tłumaczy dlaczego Białorusini boją się Polaków, polskiego papieża, „Solidarności”. Jednakże jak wielki jest to strach, czytelnik przekonuje się dopiero, kiedy próbuje wyczytać z książki, któż to z białoruskiej społeczności tworzył ten drugi obieg. Otóż okazuje się, że oprócz często powtarzanego nazwiska Sokrata Janowicza, spotykamy nazwisko jego syna Jarosława i raz, bodajże, nazwisko historyka Jerzego Turonka. Po lekturze czytelnik ma wrażenie, że animatorzy białoruskiego ruchu wydawniczego ciągle jeszcze nie wyszli z podziemia.

Ogólnie książka Chorużego jest ciekawym wprowadzeniem w meandry białoruskiego życia w Polsce.

Warszawa 1 marca 1995 r.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

O religii bez namaszczenia

Dwa pokłady polskiego chrześcijaństwa

Marek Żuławski opowiadał mi kiedyś o swej rozmowie ze spotkanym w Polsce działaczem zagranicznego towarzystwa biblijnego, szerzącego znajomość Pisma św. w świecie. Na pytanie, jak mu robota idzie, zagranicznik, oczywiście protestant, odpowiedział: „Wie Pan, Polaków bardzo trudno nawrócić na chrześcijaństwo, bo Polacy są katolikami”. Wygląda to na złośliwy dowcip, ale nie wątpię, że poczciwy biblista powiedział po prostu to, co myślał. I jest w tym ziarno prawdy, które tylko ktoś jako tako obeznany z wielowyznaniowym zachodnim chrześcijaństwem potrafi docenić. Katolicyzm, będąc rdzeniem historycznego chrześcijaństwa, jednak ma w sobie coś, co go od całej reszty chrześcijaństwa oddziela. Słowo „katolicki” pojawiło się w świecie chrześcijańskim gdzieś na początku IV wieku, w reakcji na jego wewnętrzne doktrynalne zróżnicowanie, na określenie panującego od tej pory wyznania, to jest Kościoła mającego swe centrum w cesarskim Rzymie; wszystkie inne wersje doktryn zostały określone jako niedozwolone jej „odmiany” czyli herezje. Paradoksalnie, choć „katolicki” znaczy „powszechny”, w ciągu wieków, zwłaszcza od czasów Reformacji, i to słowo nabrało znaczenia odmiany, jednego z wielu chrześcijańskich wyznań, jakkolwiek najliczniejszego i o wielkiej historycznej doniosłości. Tymczasem w łonie katolicyzmu, w kolejnej reakcji na dokonaną w ten sposób dewaluację pojęcia „katolicki”, znaczenie tego słowa zostało praktycznie zrównane ze znaczeniem słowa „chrześcijański”. Dla katolików katolicyzm stał się chrześcijaństwem i chrześcijaństwo zostało ograniczone do katolicyzmu. Częściowe odstępstwo od tej postawy stanowił tylko nieco

bardziej zróżnicowany stosunek do niektórych odmian wschodniego chrześcijaństwa, zwłaszcza bizantyjskiego i rosyjskiego prawosławia. Poza tym to stanowisko przetrwało w zasadniczo nie zmienionej formie do II Soboru Watykańskiego. Sobór, jak wiadomo, zapoczątkował oficjalnie politykę stopniowego dążenia do zjednoczenia chrześcijaństwa i dzięki temu pojęcie chrześcijaństwa wróciło poniekąd do swego pierwotnego uniwersalnego znaczenia, a katolicyzm, nie rezygnując z aspiracji do powszechności, został zredukowany do roli nazwy jednego tylko wyznania, czy może ściślej (ze względu na ujawnione, również w wyniku Soboru, wewnętrzne zróżnicowanie samego katolicyzmu), do nazwy jednej z kilku wielkich struktur kościelnych. Ale zadekretowanie zmiany stanowiska nieprędko przenika w głąb społeczności i odpowiednia zmiana świadomości zbiorowej wymaga czasu. Po dziś dzień, w trzydzieści lat po soborze, w odczuciu większości zaangażowanych katolików, i chyba także większości katolickiej hierarchii, chrześcijański znaczy katolicki i na odwrót.

Tak jest w całym świecie katolickim, i tak jest nade wszystko w Polsce. Debatuje się wiele, często wprost obsesyjnie, na temat stanu i przyszłości polskiego katolicyzmu, bardzo mało na temat polskiego chrześcijaństwa. Jest to o tyle zrozumiałe, że inne wyznania chrześcijańskie stanowią w Polsce tak nieznaczną mniejszość. I przyznać trzeba, że stosunki z innymi wyznaniem od czasu załamania się komunizmu poprawiły się znacznie. Znikła nade wszystko obawa, zapewne nie bezpodstawna, że inne wyznania mogą być wyzyskane przez władze komunistyczne w walce z Kościołem katolickim, a nikt nie może zaprzeczyć, że Kościół katolicki odegrał kluczową rolę w walce społeczeństwa polskiego z komunizmem. Także stosunki z prawosławiem, po paru latach zadrażnień wywołanych nagłą ofensywą triumfującego katolicyzmu na dawne kresy wschodnie i na Rosję, ulegają ostatnio poprawie. Nagły zapał do nawracania Rosji został rozsądnie stonowany i jest nadzieja, że także rosyjska cerkiew, jak i konkurencyjne cerkwie ukraińskie uznają w polskim chrześcijaństwie raczej sprzymierzeńca niż konkurenta w długoplanowym dziele rechrystianizacji ziem dawnego Związku Sowieckiego.

Szczególna rola Kościoła katolickiego w czasach komunistycznego zniewolenia polegała na tym, że stanowił on alternatywny ośrodek społecznej lojalności, będący w opozycji do partii komunistycznej. Była to opozycja również polityczna

i w tym kontekście ważny był instytucjonalny aspekt katolicyzmu, fakt, że posiada on zwartą strukturę organizacyjną. W dodatku instytucjonalne związanie z Watykanem i resztą katolickiego świata stanowiło cenny dla społeczeństwa polskiego element łączności ze światem niekomunistycznym. Z chwilą upadku komunizmu ta rola Kościoła katolickiego jako *quasi*-politycznego podmiotu wróciła do rąk właściwych organów niepodległego już państwa polskiego. Ale Kościół katolicki ze swą zwartą i zdyscyplinowaną strukturą organizacyjną zawsze był i jest niezależnym politycznym podmiotem, który jest w stanie negocjować i zawierać porozumienia z państwem, nieraz bardzo formalne jak np. konkordat. Historycznie ta instytucjonalna podmiotowość Kościoła katolickiego miała swoje uzasadnienie w tym, że gwarantowała ona możliwość swobodnego realizowania jego chrześcijańskiej misji. Ale sama w sobie ta podmiotowość nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem. Co więcej, jeżeli bywała użyteczna w stosunkach ze świeckim światem, to była to użyteczność obosieczna, przynosząc chrześcijaństwu jako całości przynajmniej tyle samo szkód co korzyści. Jeśli umożliwiała niezależność od świeckich presji, to umożliwiała również wojny religijne, zarówno zewnętrzne, jak krucjaty, jak i wojny wewnętrznochrześcijańskie. Także w sprawach wewnątrzkatolickich dyscyplina organizacyjna bywała instrumentem zniewalania sumień i wprost zbrodni, jak inkwizycja. W Polsce nigdy do tak straszliwych nadużyć władzy kościelnej nie doszło i o tyle w Polsce Kościół katolicki był bardziej chrześcijański niż w wielu innych krajach.

Ale negatywna rola Kościoła jako *quasi*-politycznej instytucji (w odróżnieniu od Kościoła jako wspólnoty wiernych, także wspólnoty misyjnej) nie skończyła się z przezwyciężeniem inkwizycji i wojen religijnych. Niedawne studium katolickiego historyka Ernsta W. Böckenförde odsłoniło przyczyny zdumiewającego zafascynowania prawie całego niemieckiego Kościoła katolickiego ideologią hitlerowską, bezpośrednio po dojściu Hitlera do władzy w r. 1933. Nie zmienia tego fakt, że w kilka lat później hierarchia niemiecka oprzytomniała, ale wtedy już było za późno: katolicyzm niemiecki był już moralnie złamany. Obszerne omówienie studiów Ernsta Böckenförde dał w swoim czasie ks. Józef Tischner na łamach *Tygodnika Powszechnego*¹.

1. Ks. Józef Tischner: „Prawda i godność. Kościół wobec demokracji: lekcja niemiecka”. *Tygodnik Powszechny*, 17 kwietnia 1994.

Jest to wstrząsająca lektura. Katolicy niemieccy byli przez swój własny Kościół psychologicznie przygotowani na zaakceptowanie ojczyźnianej frazeologii Hitlera i uwielbienia narodowego autorytetu. Ten Kościół sam uwielbiał hierarchiczny autorytet i nigdy całkowicie nie zapomniał wielkich tradycji świętego cesarstwa narodu niemieckiego. Jego wrogość do demokracji i społeczeństwa obywatelskiego miała jeszcze głębsze korzenie w odrzuceniu, wraz z papieskim Rzymem, ideałów Oświecenia i postoświeceniowego liberalizmu. Konkordat z Hitlerem w 1933 roku był dziełem ówczesnego nuncjusza w Berlinie, kard. Pacelli, późniejszego Piusa XII.

Ks. Tischner zakończył swój sprawozdawczy artykuł uwagą, że *„teksty Böckenförde'a trafiają dziś w sedno naszych potrzeb”*. I odważnie postawił kropkę nad i, pisząc: *„wiele... wskazuje na to, że stajemy przed podobnymi kłopotami, przed jakimi stali kiedyś katolicy niemieccy, gdy demokracja ukazywała im swe wady, zanim jeszcze zdążyła odstąpić zalety. Jakże w tej sytuacji jest zadanie Kościoła? Jakże zadania katolików?”*

Istotnie, problemy, przed jakimi stoi polski Kościół i polscy katolicy, mogą być podobne, ale na pierwszy rzut oka bardziej uderzające są różnice. W odróżnieniu od niemieckich hierarchów, jak kard. Bertram i kard. Faulhaber, Kościół polski wyszedł moralnie bardzo dobrze ze śmiertelnych konfrontacji z totalitaryzmem, najpierw hitlerowskim, potem komunistycznym. W pierwszej pokusa paktowania z diabłem w ogóle nie zaistniała i Kościół mógł tylko stawiać moralny opór i cierpieć, jak cały naród. W drugiej konfrontacji pokusa mogła zaistnieć, jak zaistniała np. na Węgrzech czy w Czechosłowacji (rozmaici „księża patrioci”), ale w Polsce, nawet uwzględniając dwuznaczną rolę Paxu, nigdy nie stanowiła poważnego zagrożenia. Wprost przeciwnie, tu *quasi*-polityczna tożsamość struktury kościelnej odegrała nadzwyczaj pozytywną rolę stanowiąc, jak już wspomnieliśmy, alternatywny w stosunku do wszechwładnej partii ośrodek lojalności, moralnie tak atrakcyjny, że przyciągał wszystkie co najlepsze siły w społeczeństwie, nie wyłączając ludzi pod wielu względami dalekich od katolicyzmu. Tym co najbardziej przyciągało było niewątpliwie rzetelne, autentyczne chrześcijaństwo.

Problem stosunku instytucji kościelnej do demokracji pojawił się dopiero z pojawieniem się prawdziwej demokracji, to jest po odzyskaniu przez kraj niepodległości. Teraz doszła

znowu do głosu stara katolicko-konstantyńska tradycja. Na dobrą sprawę, nawet w ciągu komunistycznego półwiecza Kościół polski, według znakomitego określenia Bohdana Cywińskiego, uważał się za Kościół „juliański”, to jest czasowo tylko pozbawiony konstantyńskich przywilejów. Gdy tylko minęła komunistyczna z мора (jak w starożytnym Rzymie zadekretowany przez Juliana Apostatę nawrót do pogaństwa), biskupi zaczęli się domagać wszystkich przywilejów, jakie były udziałem polskiego Kościoła przed wojną – nie zawsze z poszanowaniem wymogów i procedury demokracji (jak w przypadku wprowadzenia powszechnej nauki religii w szkołach). Nie zawsze z poszanowaniem woli większości; w obawie, że większość społeczeństwa mogłaby się opowiedzieć za dopuszczalnością aborcji, choćby w ograniczonej mierze, episkopat sprzeciwił się idei ogólnonarodowego referendum. Tu bardzo jasno wystąpił fakt, że Kościół ma inne kryteria słuszności społeczno-politycznych rozwiązań niż te, które normalnie przyjmuje się w demokracji. Na tej podstawie hierarchia zawsze czuje się uprawniona do ingerowania w sprawy demokratycznej procedury, wpływania na nią, nawet do odrzucania jej wyników i narzucania swoich rozwiązań, zwykle w oparciu o kościelną interpretację prawa naturalnego. Dlatego *jakis* zaangażowanie polityczne Kościoła – przynajmniej w niektórych sprawach, większe czy mniejsze – jest właściwie nieuniknione; z jednej strony Kościołowi nawet nie wypada deklarować jakas rzekomą pryncypialną apolityczność, a z drugiej strony społeczeństwo nie ma podstaw, by się od Kościoła takiej apolityczności spodziewać. Otwarte przyznanie tego faktu pozwoliłoby uniknąć wielu nieporozumień i dwuznaczności w stosunku między państwem a Kościołem. I taka z grubsza miałaby być funkcja konkordatu.

A zatem, jeśli nawet istnieje problem Kościół a demokracja, to nie ten problem jest na osi Kościół–państwo najważniejszy. I lekcja niemiecka, którą nam ks. Tischner za prof. Böckenfördem zaprezentował, też nie na tym polega. Katolicyzm niemiecki lat trzydziestych zawiódł nie dlatego, że był za mało demokratyczny (ostatecznie Hitler doszedł do władzy drogą demokratycznych wyborów), ale dlatego, że miał swoiste polityczne ambicje i był w tym za mało chrześcijański. W ideologii Trzeciej Rzeszy biskupi, najpierw bawarscy, potem całych Niemiec, dostrzegli „*wolę duchowej, moralnej i gospodarczej odnowy narodu*”, a gdy w konkordacie Hitler

obiecał wprowadzenie obowiązkowej nauki religii w szkołach, walkę z bezbożnictwem i obronę praw Kościoła do wypełniania jego misji, biskupi nakazali wszystkim wiernym entuzjastyczne włączenie się do tej odnowy. A przecież jeszcze na krótko przed dojściem Hitlera do władzy piętnowali nazistowskie pogaństwo i członkom NSDAP grozili ekskomuniką; wiedzieli więc dobrze, z kim mają do czynienia. Niepodobna uniknąć konkluzji, że biskupom chodziło o uzyskanie za wszelką cenę udziału w nowej władzy.

Jest to bodaj najjaskrawszy w nowszej historii przykład, jak niebezpieczne może być przedkładanie interesu instytucji kościelnej ponad wymogi chrześcijańskiej misji, której Kościół ma służyć. Dla następnych pokoleń ważna jest również nauka, jak mylna może się okazać decyzja hierarchii kościelnej, oparta jedynie na własnej interpretacji prawa Bożego czy prawa naturalnego, bez udziału szerszej katolickiej czy jeszcze szerzej, chrześcijańskiej opinii. Element pewnej demokratyczności w procesie podejmowania decyzji zawsze stanowi jakies zabezpieczenie przed większą pomyłką, nawet w rządach Kościołem. Choć nie jest to nigdy pełne zabezpieczenie. Jak wiadomo, wśród wszystkich wadliwych ustrojów demokracja wyróżnia się tylko tym, że jest najmniej wadliwa. A jednak w dzisiejszym Kościele polskim, jak i w innych krajach katolickiego świata, ten pogląd z wielką trudnością toruje sobie drogę, mimo że przemawiają za nim niezwykle jasne i autorytatywne sformułowania dokumentów soboru watykańskiego, w tym zwłaszcza konstytucja *Lumen Gentium* (koncepcja Kościoła jako Ludu Bożego), konstytucja *Gaudium et Spes* (potrzeba wsłuchiwanie się w pojawiające się w świeckim świecie „znaki czasu”) i deklaracja o wolności religijnej *Dignitatis Humanae* (prymat indywidualnego sumienia i potrzeba poszanowania innych przekonań). Ciekawa rzecz, jak niewielką rolę te dokumenty odgrywają w toczących się na łamach prasy debatach na temat kształtu i potrzeb polskiego chrześcijaństwa, nawet w wypowiedziach rzeczników bardziej otwartego Kościoła nie bojących się posądzeń o bezbożny liberalizm. A są z drugiej strony rzecznicy tzw. katolickiego integryzmu, którzy pojąc nie mogą, że takie czy inne tradycyjne sformułowanie chrześcijańskiej prawdy może podlegać twórczej interpretacji i że odmienne zdania mają prawo do istnienia i nie są koniecznym dowodem złej woli zakamuflowanych wrogów Kościoła.

Przyczyną tego stanu rzeczy jest silniejsze poczucie lojalności wobec Kościoła jako instytucji, i to instytucji zasadniczo nieomyślnej, niż wobec Kościoła jako pielgrzymującego Ludu Bożego, który wraz z innymi ludźmi wciąż szuka i nieskory jest twierdzić, że już wszystko wie i więcej szukać nie potrzebuje. I tu znów warto wrócić do tragicznych doświadczeń niemieckiego katolicyzmu lat trzydziestych i lat wojny. Oczywiście Kościół niemiecki nie był takim monolitem, jakim się chciał widzieć w czasie zawierania konkordatu z Hitlerem. Bardzo szybko dało o sobie znać odmienne zdanie bohaterskiego biskupa Berlina von Preysinga i protesty biskupa Münsteru von Galena. Obok katolików (i niekatolików), którzy gotowi byli służyć w Auschwitz czy w Gestapo, byli w tym Kościele bohaterscy księża i świeccy, jak ten chłop Franz Jaegerstetter, który wołał dać sobie głowę uciąć byle nie włożyć diabelskiego hitlerowskiego munduru. Ale nie tylko katolicy byli prawdziwymi chrześcijanami, by tylko wspomnieć wielkiego luterńskiego pastora Dietricha Bonhoeffera, zamordowanego w koncentraku dosłownie na kilka dni przed końcem wojny. Linia podziału między wiernymi a niewiernymi chrześcijanami przebiegała inaczej niż linia podziału między katolicyzmem a protestantyzmem. I z tego ani Kościół niemiecki ani Kościół polski do tej pory nie wyciąga żadnych praktycznych konsekwencji (poza jakimś dorocznym ekumenicznym nabożeństwem z okazji styczniowej oktawy modlitw o jedność chrześcijaństwa). I tak po dawnemu Kościół katolicki czci tylko swoich własnych świętych, bo kanonizacja jest procedurą, która z zasady ignoruje wszelką świętość, jaka się objawia poza ramami jego struktury organizacyjnej. I Kościół nie ma żadnego innego sposobu wyrażenia takiej świętości swej czci. Mógł więc kanonizować Maksymiliana Kolbe i beatyfikować Edytę Stein, ale już nie Dietricha Bonhoeffera, bo ten był protestantem. W Polsce dostaliśmy paru na ogół mało znanych nowych świętych i możemy się spodziewać kanonizacji ks. Jerzego Popiełuszki, ale nie mamy w Kościele żadnej możliwości uznania oczywistej świętości doktora Janusza Korczaka. Co więcej, nie ma szans na kanonizację katolicki męczennik Franz Jaegerstetter, który nie usłuchał polecenia swego biskupa, by jednak włożyć hitlerowski mundur i walczył za niemiecką ojczyznę. Tym bardziej nie ma mowy o uznaniu męczeństwa prof. Mariana Batki, człowieka o nieokreślonej lojalności wyznaniowej, który jednak w Oświęcimiu, podobnie

jak O. Kolbe ale na trzy miesiące przed nim, oddał swoje życie za życie innego więźnia².

Wygląda na to, że ziemską instytucję kościelną, Kościół rzymskokatolicki, jest tak potężna, że decyduje o tym, kto w niebie po prawicy Syna Człowieczego zasiada, a kto nie zasiada. Albo też znaczy to, że instytucji nie bardzo zależy na tym, co Pan Bóg o tym wszystkim myśli. Jedna i druga alternatywa jest głęboko gorsząca, zwłaszcza w naszej ekumenicznej epoce, i obie są dalekie od wszystkiego, co w chrześcijaństwie może mieć swoją moc przekonującą dla świeckiego świata.

Wydaje mi się, że ta lekcja jest równie istotna dla przyszłości katolicyzmu i chrześcijaństwa jak lekcja niemiecka prof. Böckenförde i ks. prof. Tischnera, która tyle miejsca zajęła w moich rozważaniach. Nie chcę być źle zrozumiany, więc jeszcze raz powtarzam zasadniczą tezę, od której zacząłem ten artykuł. Kościół katolicki jest historycznym rdzeniem chrześcijaństwa, ale nie jest całym chrześcijaństwem. Ponadto jest dziś w równej mierze instytucją polityczną, mającą swoje instytucjonalne interesy, co nosicielem wiecznego przekazu Ewangelii. Między jedną a drugą funkcją istnieje tylko luźny i kontrowersyjny związek, bo inne chrześcijańskie organizacje kościelne pełnią tę samą funkcję nosicieli chrześcijaństwa. Co więcej, Bóg nie jest zależny od żadnej instytucji i jest natchnieniem autentycznie chrześcijańskich wartości, miłości Boga i bliźniego, które kielkują stale i żyją poza wszelką chrześcijańską instytucją.

Wszystko to stanowi potężny napęd do tego, co nazywamy zjednoczeniem chrześcijaństwa. Ale w obecnym stadium tego ruchu nikt nie jest w stanie powiedzieć, w jakiej mierze, w jakiej formie i czy w ogóle miałyby to być zjednoczenie instytucji, czy też możliwe jest jakieś zjednoczenie poza- czy ponadinstytucjonalne. Sądzę, że tę drugą możliwość należy wziąć poważnie pod uwagę, choćby z tego względu, że granice międzyinstytucjonalne, jak widzieliśmy, wcale się nie pokrywają z zasięgiem całego autentycznego chrześcijaństwa. Na

2. Prawda, że sprawa Mariana Batki jest słabiej udokumentowana niż męczeństwo Kolbego. Ale sam fakt męczeństwa Batki nie ulega wątpliwości. Próbowiałem zainteresować tą sprawą śp. biskupa Bednorza w Katowicach, jako że Batko był przed wojną nauczycielem fizyki w Chorzowie, ale bez skutku. Chyba dlatego, że nie wiadomo czy Batko był człowiekiem wierzącym. Jedynym duchownym, o którym wiem, że próbował w tej sprawie coś zrobić jest ks. Michał Czajkowski. Zainteresowanym służę informacjami.

razie do wszelkiego „widzialnego” zjednoczenia chrześcijaństwa zdaje się być jeszcze dość daleko, ale w tej sytuacji ani nie ma potrzeby ani nie wolno pozostawać bezczynnym.

I to mnie znowu doprowadza do sytuacji w Polsce. Obejmujący większość polskich chrześcijan Kościół katolicki jest równocześnie w dużej mierze polityczną, czy przynajmniej *quasi*-polityczną instytucją. Doświadczenia ostatnich lat niedwuznacznie wskazują, że im bardziej intensywne jest to *quasi*-polityczne zaangażowanie Kościoła (poczynając od najbardziej globalnej w tym względzie sprawy konkordatu), tym bardziej jego wpływy, liczebność i lojalność organizacyjna członków Kościoła maleją. Wykazują to wyraźnie kolejne badania opinii publicznej. A więc chyba nie tędy droga. Równocześnie, według tychże badań, poważne odsetki respondentów, porównywalne z tymi, które krytykują nadmierne zaangażowanie polityczne Kościoła, oceniają pozytywnie nauczanie przez Kościół moralnego postępowania, głoszenie chrześcijańskich wartości, także nabożeństwa i kościelną działalność charytatywną. To z kolei chyba wskazuje kędy droga. Istotne jest, że o ile większość respondentów stanowią zapewne katolicy, przynajmniej nominalni katolicy, to pokazała ich część muszą stanowić respondenci stojący mniej lub więcej daleko od oficjalnego katolicyzmu, i zapewne też chrześcijaństwa. Ważne jest, by zdać sobie sprawę, że to są właśnie ludzie stanowiący obszar ewentualnej ewangelizacji. Nie ci, którzy i tak zwyczajowo do kościoła chodzą, ani ci, którzy twierdzą, że liberałów i ateistów trzymających się z dala od Kościoła należy piętnować zamiast zaszczycać ich rozmową.

W latach komuny Kościół polski, choć wcale nie nastawiony na łowienie dusz spoza rzesz swoich tradycyjnych wiernych, jednak przyciągał masy tak zwanych niewierzących. Myślę, że przyciągała ich raczej jego chrześcijańskość niż katolickość. Ciekawe, że zagraniczny rozmówca Marka Żuławskiego tego nie zauważył. Czyżby instytucjonalna powłoka tego chrześcijaństwa była aż tak nieprzejrzysta?

Antoni POSPIESZALSKI

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Różnie ludzie odczuwają upływ czasu, dlatego trudno powiedzieć, czy dziesięć lat to dużo, czy mało. Równie dziesięć lat temu, 11 marca 1985, generalnym sekretarzem KP ZSSR został Michaił Gorbaczow. Przez wiele lat pisałem o nim – jako o człowieku i jako o działaczu. Wydarzenia, które nastąpiły po końcu jego kariery politycznej, ani na jotę nie zmieniły mojego zdania o nim. Nadal uważam, że był człowiekiem mało zdolnym, ograniczonym i żądnym władzy i że robił co mógł, aby ulepszyć ustrój komunistyczny, aż go doprowadził do zguby. Niektórzy uważają, że należałoby mu za to dziękować. Wydaje mi się, że wystarczy stwierdzić fakt.

Związek Sowiecki przestał istnieć. Partia komunistyczna (nie komuniści!) straciła władzę. Na gruzach imperium Rosja szuka wyjścia z nowej „Smuty”. Nie ulega już wątpliwości, że większość jej mieszkańców – zarówno elita polityczna jak ludność – szuka go w ustroju autorytarnym. Tylko silna władza – uważa większość – pozwoli podźwignąć się z upadku, zaprowadzić porządek, zapewnić obywatelom bezpieczeństwo. Zabójstwo 1 marca najpopularniejszego dziennikarza telewizyjnego, Władysława Listiewa, stało się kolejnym argumentem na rzecz władzy silnej ręki. Borys Jelcyn przyjechał do gmachu telewizji, pokłonił się zmarłemu, obiecał, że wzmocze walkę z bandytyzmem i pochwalił władze Uzbekistanu za rozstrzelanie sześciu przestępców, których złapała policja.

Problem silnej władzy jest bardziej skomplikowany niżby się na pierwszy rzut oka zdawało, bo władza silnej ręki wymaga przede wszystkim – silnej ręki. Czyli wodza.

Kandydatów jest mrowie. Jednak, że pozwolę sobie na truizm, niechęć szczerza robi z człowieka oficera. Kariera Gorbaczowa jest tylko kolejnym dowodem banalnej prawdy, że nie wystarczy chcieć; trzeba jeszcze umieć, trzeba mieć odpowiedni charakter. Pytanie tylko, jaki. Rosyjscy politolodzy i dziennikarze szukają wzorca, do którego można by przymierzyć obecnych pretendentów do władzy. Ukazuje się wiele książek o Leninie, Stalinie, Trockim. Zainteresowanie wzbudza Beria. Książkę „Mój ojciec Ławrentij Beria” pióra Siergieja Berii wydano w nakładzie 125 tys. egzemplarzy. Beria junior uważa wieloletniego szefa „organów”, którego Stalin czule nazywał „naszym Himmlerem”, za człowieka odważnego (nie bał się przeciwstawiać Stalinowi), uczciwego (nie to, co obecna chuliganeria), mądrego (wszystko przewidywał) i oddanego idei państwa, człowieka, któremu przyświecała reforma systemu sowieckiego.

Syn, jak synowi przysłało, kreśli portret wodza idealnego i ryczałtem obala wszystkie oskarżenia pod adresem Berii. Podkreśla między innymi, że na posiedzeniu Biura Politycznego, na którym decydowały się losy uwięzionych polskich oficerów, Beria był przeciwny ich rozstrzelaniu, kiedy wszyscy pozostali członkowie Biura – Stalin, Woroszyłow, Mołotow, Mikojan, Kaganowicz, Żdanow – głosowali za. Autor podaje liczbę zabitych – 20.857 – która dotychczas nie pojawiła się w oficjalnych dokumentach sowieckich. Garstka, która się uchowała – uchowała się dzięki Berii. Tak twierdzi syn. „Kilkoro ludzi – pisze – właśnie mój ojciec wyciągnął z obozu”. W gromadce tej znalazł się generał Anders, który przez jakiś czas mieszkał w willi Berii w Moskwie. Za wiedzą Stalina, rzecz jasna, ale w willi Berii. „Z Andersem, nawiasem mówiąc – pisze dalej syn – mój ojciec utrzymywał stosunki także później, kiedy jego armia została przerzucona na Bliski Wschód i znalazła się pod dowództwem brytyjskim”. Polityczna mądrość Berii polegała na tym – analizuje syn – że rozumiał konieczność stworzenia polskiej armii, sojusznika Rosji w walce z Niemcami. Stalin – tłumaczy dalej – rozstrzelał polskich oficerów „w imię imperialnych interesów Rosji”. Stalin mówił: „Z tego właśnie oficerstwa wyjdą ludzie władzy, a to będzie już nie ta Polska, która nam jest potrzebna”. Krótko mówiąc: Beria był znacznie lepszy niż

Stalin, a ponadto był wielkim mistrzem w szpiegowskim fachu, wszyscy dla niego pracowali.

Modelu wodza szuka się i w przeszłości Rosji: Lenin, Stalin, Piotr I. Sporo mówi się o generale Pinochet. Niedawno w gazecie *Russkije Wiesti* (28.1.95), która ma placet prezydenta Rosji, ukazał się obszerny portret polityka, który najwyraźniej może być modelem wodza dzisiejszej Rosji. Artykuł podpisany jest nazwiskiem Jurij Iwanow, co wygląda na pseudonim, zaś tytuł brzmi: „Józef Piłsudski – uzdrowiciel państwa”. Autor na wstępie wyjaśnia sens i cel artykułu: „W dziejach każdego państwa zdarzają się przełomowe chwile, które decydują o dalszych losach narodu”. Wtedy „wyjątkowo ważna rola przypada politycznemu przywódcy państwa, jego umiejętności formułowania i konsekwentnego egzekwowania koniecznych dla wyjścia ze skomplikowanej sytuacji decyzji i zespolenia wszystkich obywateli do ich wcielenia w życie”. Niestety, przyznaje autor, nie zawsze „pojawia się w odpowiedniej chwili działacz tego kalibru i wtedy kraj grzęźnie na długie lata w kryzysie i nawet się cofa. Jeśli jednak na czele państwa staje przywódca na miarę wyzwania historii, to naród takiego państwa bez wątpienia ma szczęście”.

Polska i naród polski – pisze Jurij Iwanow – miały szczęście, bo kiedy w 1918 roku kraj znalazł się w potrzebie, pojawiła się „wybitna jednostka” – Józef Piłsudski.

Autor streszcza pokrótce biografię Naczelnika wskrzeszonego państwa polskiego, a następnie podkreśla jego bezgraniczną rusofobię i antyrosyjski, a później antysowiecki kurs jego polityki. Właśnie to – dodaje – zdecydowało o stosunku do Piłsudskiego i obelgach politycznych i ideologicznych, jakimi go obrzucano. Jurij Iwanow patrzy na wpływowego przywódcę przedwojennej Polski inaczej, ponieważ stał się dziś niezwykle aktualny: „Piłsudski działał w warunkach skrajnych: trzeba było błyskawicznie stworzyć jednolite i silne państwo. Podobne zadanie stoi przed dzisiejszą Rosją”.

Jakimi cechami odznaczał się Józef Piłsudski, „uzdrowiciel państwa”? Które z nich mogłyby się przydać przywódcy obecnej Rosji? Oto pytania, na które odpowiada Jurij Iwanow. Wiele zdań jego artykułu odnosi się wprost do dzisiejszej polityki rosyjskiej. Autor podkreśla: „J. Piłsudski po 1918

roku nie wstąpił do żadnej z istniejących wówczas w Polsce partii i sprzeciwił się stworzeniu własnej, opierając się głównie na ludziach myślących tak jak on". To głos w dyskusji, która toczy się w Moskwie od dawna: czy mianowicie Borys Jelcyń powinien stworzyć własną partię, czy lepiej, żeby pozostawał ponad partiami? Jurij Iwanow cytuje Marszałka: „Nigdy nie chciałem należeć ani do prawych, ani do lewych... i nigdy nie pochwalałem władzy partii nad Polską”.

W grudniu 1995 roku mają się w Rosji odbyć wybory do Dumy. Antysejnowe wypowiedzi Piłsudskiego brzmią więc wyjątkowo aktualnie. „Zabójstwo prezydenta Narutowicza w 1922 roku ostatecznie przekonało Piłsudskiego: różnice zdań i egoistyczne interesy rozmaitych partii zagrażają podstawom państwa”. Jurij Iwanow doskonale rozumie umysł Józefa Piłsudskiego: „Uważał, że przed Polakami stoi wielkie zadanie – stworzenie zdolnych do działania struktur państwowych i nowoczesnej gospodarki”. Dlatego też był „za zaprzestaniem sporów międzypartyjnych w parlamencie i w ogóle w państwie, za stworzeniem rządu jedności narodowej, który potrafiłby spożytkować energię społeczeństwa w interesie państwa”.

Dalsze słowa brzmią wprost jak rada dla rosyjskiego czytelnika: „Piłsudski zachował przez całe życie specjalny stosunek do wojska, silnego, zbrojnego i godnego zaufania instrumentu rozwiązywania ważnych problemów państwowych... Właśnie w wojsku, a nie w Sejmie albo partiach, zawsze szukał oparcia”. Także „sanacja” znajduje uznanie w oczach Iwanowa: uzdrowienie państwa było konieczne i „nie ma podstaw, by nazywać ‘sanację’ kursem na faszyzację kraju, jak w swoim czasie uchwalono na Kremlu”. Wreszcie ostatnia rada: „Legenda Piłsudskiego zaczęła się tworzyć bardzo wcześniej, tym bardziej, że podstaw do niej było aż nadto... Jednak tylko częściowo powstawała spontanicznie. Generalnie był to zaplanowany rezultat ogromnej pracy ogromnego, jak to się mówi, aparatu propagandowego: skoro potrzebny był wódz, trzeba było go stworzyć. Spośród najbliższych Piłsudskiemu ludzi wyłoniono dla kontaktów z inteligencją twórczą specjalnego osobnika, pułkownika Wieniawę-Długoszowskiego. Działał on wcale skutecznie”.

Przez trzy ćwierci wieku powtarzano: Bez Lenina leninowską drogą. Dziś Jurij Iwanow każe w gazecie bliskiej Jel-

cynowi: Bez Lenina drogą Piłsudskiego. W spuściznie „uzdrowiciela państwa” (w tytule nie zaznaczono: „uzdrowiciela państwa *polskiego*”) dzisiejszego rosyjskiego publicystę szczególnie urzeka fakt, że „za Piłsudskiego o żadnych wolnościach demokratycznych w naszym rozumieniu tego słowa mowy być nie mogło!”

Centralne miejsce w długim artykule o Piłsudskim zajmuje idea rządu jedności narodowej. W tym kierunku prowadzą dziś jawne i tajne rozgrywki polityczne w Moskwie. W związku z tym należy zwrócić uwagę na zdarzenie, które – jak pisze Iwanow – przekonało Piłsudskiego, że czas skończyć z partyjniactwem: mianowicie zabójstwo prezydenta Narutowicza. Zabójstwo Władysława Listiewa wstrząsnęło całą Rosją. Między innymi dlatego, że nigdy nie zajmował „partyjnych” pozycji: nie był ani na prawicy, ani na lewicy, ani demokratą, ani antydemokratą. Zabójstwo tłumaczono – jeszcze zanim wszczęto śledztwo – pieniędzmi, mafią. Niewykluczone, mogło i tak być. Jednak mord dziennikarza należy przede wszystkim rozpatrywać jako akt polityczny, jako strzał w rozpoczynającej się kampanii wyborczej.

Obserwatorzy, którzy znają kulisy moskiewskiego życia politycznego, twierdzą, że istnieje plan kampanii wyborczej, oparty na tajnej umowie między partią Żyrynowskiego i otoczeniem prezydenta Rosji. Porozumienie to – mówią wtaємniczeni – przewiduje, że wybory do Dumy odbędą się w przewidzianym terminie. Z niejaką pomocą służb prezydenckich (które na przykład przyznają Żyrynowskiemu niezbędny czas na wystąpienia w telewizji) Partia Liberalno-Demokratyczna uzyska w wyborach 35-40% głosów i stanie się najsilniejszą frakcją w Dumie. Stworzy więc rząd. Następnie Żyrynowski odmówi kandydowania na stanowisko prezydenta i zgodzi się na przedłużenie mandatu Jelcyna. W ten sposób Rosja będzie miała prawicowy (czy też należy raczej mówić: lewicowy?) rząd i prezydenta demokratę. Zakłada się, że jedynym poważnym przeciwnikiem partii Żyrynowskiego będą w nadchodzących wyborach komuniści. W głównych kwestiach obie partie są zgodne.

Dokumentów świadczących o tajnych umowach na razie nie ma, ale niektóre fakty na to wskazują. 25 lutego ukazała się

na pierwszej stronie *Izwestii* dziwna wiadomość pod tytułem: „Niech reformatorzy wiedzą: gdyby wybory odbyły się jutro, zwyciężyliby komuniści i ich sojusznicy”. Następnego dnia rzeczywiście odbyły się wybory. W obwodzie orłowskim, do miejscowej izby ustawodawczej. W dziesięciu okręgach wyborczych na jedenaście zwyciężyli komuniści. Obserwatorzy uspokajają, tłumaczą, że w orłowskim obwodzie komuniści nigdy władzy nie utracili. Były pierwszy sekretarz obkomu został przy władzy po rozwiązaniu KPZS. Mimo to zwycięstwo komunistów w całym obwodzie każe się zadumać. Jednocześnie, w obwodzie krasnodarskim wybory do miejscowej izby ustawodawczej bezapelacyjnie wygrali kandydaci Żyrynowskiego.

Polacy, którzy mają dziś byłego komunistę za premiera, mogą mówić: zmienili się, to nie są ci sami ludzie. Jeśli chodzi o polskich komunistów, nie podejmuję się oceny. Natomiast rosyjscy komuniści wcale nie chcą się zmieniać. Nie mam na myśli byłych komunistów, którzy wyszli z partii i zerwali z nią. Mówię o tych, którzy pozostali wierni dawnym ideałom, to znaczy pozostali komunistami.

W Rosji istnieje dziś wiele partii komunistycznych. Największa z nich nazywa się Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej – KPFR – i liczy zdaniem jej przywódców ok. 600 tysięcy członków. Jej główny wódz, Giennadij Ziuganow, przewodniczący (już nie generalny sekretarz) Centralnego Komitetu Wykonawczego, zwany przez swych zwolenników „komunistą numer jeden”, wydał niedawno z okazji wyborów nową książkę pod tytułem „Za horyzontem”. Książka ta dowodzi, że komuniści niczego się nie nauczyli ani niczego nie zapomnieli. Ziuganow twierdzi jak zawsze: „Oparty na metodologii K. Marksa i W.I. Lenina” ustrój sowiecki był najlepszy, ale „zaborcza i przewrotna cywilizacja zachodnia” oraz „żydowska diaspora” zatarasowały mu drogę. Dajcie nam władzę – prosi Ziuganow – a poprowadzimy Rosję „za horyzont”. Ziuganowowi też marzy się – jak wielu innym – że zostanie uzdrowicielem. Możliwe, że i on czytał artykuł o Piłsudskim jak podręcznik, szukając recepty, jak zostać wodzem.

11.3.1995

Adam KRUCZEK

Ukraina między Wschodem i Zachodem

Ongiś mówiono, że na „Rusi musi – a w Polsce jak kto chce”. Dzisiaj wszystko jest na opak i zdaje się, że dawna sentencja o powszechnej swawoli i anarchii w Rzeczypospolitej najbardziej pasuje do współczesnej Ukrainy. Tu każdy gwizdże na dekrety prezydenta, nikt nie wie jakie ustawy obowiązują aktualnie, wszyscy jeżdżą na gapę w kijowskich trolejbusach i telefonują bezpłatnie, bo nie ma żetonów. A z drugiej strony władza nie strzela do parlamentu jak w Rosji, a mafia jak dotąd nie likwiduje niewygodnych jej ludzi według moskiewskiego wzorca. I gdyby jeszcze ukraiński karbowaniec był coś warty, hotele i obsługa na poziomie, to Kijów przy swym położeniu mógłby się stać czarującą metropolią na wschodzie Europy.

Ale do tego daleko. Coś niecoś się dzieje. Odnowiono i zmodernizowano hotel „Dnipro” przy wylocie Chreszczatyka niedaleko od Wzgórza Świętego Włodzimierza. Świecą jasnymi kolorami fasady kamienic w górnej części tego bulwaru o szerokości Pól Elizejskich, z szeroką aleją drzew. Tu i ówdzie powstają prywatne restauracje, rzadziej kawiarnie. Coraz więcej „nuworyszów” paraduje po Chreszczatyku w najdroższych samochodach. Elegancko ubrane dziewczyny kręcą kształtnymi tyłkami w nadziei na walutowych klientów.

Ale w większości hoteli wciąż jeszcze stara prosowiecka niewydolność, zatęchła biurokracja, w restauracjach przeraźliwy jazgot orkiestr pomieszany z charakterystyczną mieszaniną zapachów wódki i tanich perfum. Dawniej trzeba się było ubiegać o miejsce. Teraz przy galopującej inflacji i braku pieniędzy, sale restauracyjne świecą pustkami. Tabuny znudzonych kelnerów czekają godzinami na klientów, przeważnie na próżno.

Jeden z najstarszych i najwygodniejszych hoteli „Ukrainę” remontują firmy polskie. Stare wygodne hotele sprzed pierwszej wojny światowej jak „Francuski” i „Europa” dawno

już zburzono, a na budowę nowych nie ma pieniędzy. Podobno z należącego do jakiegoś przedrewolucyjnego kupca dziwnego pałacyku w stylu Tudorów, nazywanego „Py-szardem”, przy Andrzejowskim zaułku, łączącym górny Kijów z dolnym, czyli Podołem, ma powstać wyszukany hotel.

Walka na górze

Pod jednym względem Ukraina przypomina jednak inne państwa postkomunistyczne. Tak jak wszędzie w owym regionie, tak i nad Dnieprem, toczy się walka na górze. Nie tak jak w Rosji a nawet inaczej niż w sąsiedniej Polsce. Nie jest to pojedynek między władzą prezydencką i egzekutywą, lecz walka pomiędzy głową państwa a parlamentem, konkretniej pomiędzy Leonidem Kuczmą i Ołeksandrem Morozem. Prezydent jest prekursorem radykalnych reform w gospodarce i polityce a rzecznik Najwyższej Rady obrońcą „socjalizmu”.

Kuczma, obrany zeszłego lata głosami elektoratu złożonego z lewicy i na pół zrusyfikowanych ziomków ze wschodnich regionów państwa, dokonał po zwycięstwie zwrotu na prawo i ma dziś najwięcej zwolenników na zachodzie, który podczas wyborów popierał Leonida Krawczuka. Dziś lewica komunistyczno-socjalistyczna przy poparciu agrariuszy z rolnictwa kolektywnego odwraca się od Kuczmy i sabotuje jego program reform gdzie tylko może. Prymitywni posłowie komunistyczni i socjalistyczni prowadzą tę walkę w parlamencie bez żadnych osłon i uników. Inaczej postępuje przewodniczący Najwyższej Rady. Ołeksander Moroz, będący jednocześnie szefem partii lewicowych socjalistów wyznających wciąż jeszcze marksizm-leninizm, jest nieprzeciętnym graczem politycznym. Łączy chytrą i przebiegłość z formalistyczną drobiazgowością, a socjalistyczny dogmatyzm z zaściankowym patriotyzmem. Jest fanatycznym zwolennikiem przepisów i regulaminów i grając na tym instrumencie blokuje reformy obozu prezydenta.

Zaraz po wyborach przy końcu lata ubiegłego roku wyglądało tak, że państwem będzie rządził triumwirat, złożony z prezydenta Kuczmy, przewodniczącego Morozą i premiera

Masoła. Podpisali w sierpniu 1994 roku nawet umowę na piśmie ślubując sobie nawzajem wierność i lojalność. Autorem tego pomysłu był „marszałek” parlamentu Moroz, który marzył o powstaniu wspólnego frontu z gabinetem przeciwko prezydentowi. Stało się inaczej. Witalij Masoł był od początku generałem bez armii. Premierem zrobił go w przededniu wyborów prezydenckich Krawczuk licząc, że w ten sposób pozyska zbuntowany elektorat postkomunistyczny, a w wypadku niepowodzenia utrudni życie swemu rywalowi Kuczmie. Ale i on się przeliczył, bo premier z nieprawdziwego zdarzenia znalazł się pomiędzy frontami. Nie posiadając własnego zaplecza, nie mógł wiele zdziałać, a że unikał opowiedzenia się po jednej lub drugiej stronie, stał się wnet nikomu niepotrzebny, wreszcie zupełnie sfrustrowany podał się na początku marca do dymisji. A eks-prezydent Krawczuk uważa, że Kuczma powinien stanąć na czele rządu. On, Krawczuk, nie mógł tego uczynić, bo się nie znał na gospodarce, a prezydent Kuczma „jest przedstawicielem ekonomicznego systemu, autorem reform, powinien więc nie tylko ogłaszać programy, ale je też realizować”.

Strach przed izolacją

W Kijowie z niepokojem śledzą dyplomatyczną grę Zachodu w sprawie rozszerzenia sojuszu NATO na kraje Grupy Wyszehradzkiej. Akcja ta wywołuje wśród polityków ukraińskich obawy, że w ten sposób może dojść do izolacji Ukrainy. Dyplomacja i prasa ukraińska rejestrują z rosnącym rozczarowaniem dążenia sąsiadów, przede wszystkim Polski i Węgier, którzy dotychczas byli osią regionalnych planów, Kijowa, że kraje te koncentrują się wyłącznie na wejściu do Paktu Północnoatlantyckiego, ograniczając dotychczasowe kontakty z Ukrainą do minimum.

Przyspieszenie pędu do NATO i do innych struktur zachodnich odbywa się przy jednoczesnym ignorowaniu wszelkich znaków ostrzegawczych wysyłanych ze stolicy ukraińskiej. Milczenie panuje też, z małymi wyjątkami, w publicystyce krajów Grupy Wyszehradzkiej, gdzie zresztą stopień znajomości spraw ukraińskich jest bardzo słaby. Partie

polityczne w tych krajach nie posiadają odpowiedniej bazy analitycznej jeśli chodzi o systematyczne śledzenie rozwoju sytuacji na Ukrainie. Stąd też stała oscylacja pomiędzy katastrofizmem lub zbytnim optymizmem. Często wrogiej propagandzie udaje się bądź drogą inspiracji lansowanych wśród korespondentów skoncentrowanych nadal w Moskwie bądź innymi kanałami podważać zaufanie do egzystencji państwa ukraińskiego, a tym samym krzyżować lub osłabiać działania dyplomacji ukraińskiej.

W ciągu trzech lat od początku niepodległości nie udało się utworzyć między Ukrainą i jej zachodnimi i południowymi sąsiadami podwalin pod ścisłą współpracę pogłębiającą wzajemne bezpieczeństwo. Dyplomacja ukraińska nie potrafiła przeforsować koncepcji tzw. Planu Krawczuka w Warszawie i Budapeszcie. Przy ówczesnych układach politycznych w rządach i parlamentach można było dojść do pomyślnego rozwiązania, tym bardziej, że Moskwa reprezentowała jeszcze prozachodni i umiarkowany kurs w polityce zagranicznej, wolny od późniejszych tendencji neoimperialistycznych. Obecnie nawrót do tej koncepcji jest już niemożliwy.

Na osłabienie współpracy regionalnej z Kijowem wpłynęły też długie okresy walk wyborczych, w ślad za tym zmiana w dotychczasowych elitach politycznych. Wzmocnienie struktur pochodzenia komunistycznego odbiło się negatywnie na gotowości byłych krajów satelickich do ścisłej kooperacji z Ukrainą, co było bardzo wyraźne za czasów premierostwa Pawlaka w Polsce, ale występuje też – w mniej oczywisty sposób – u nowego premiera Węgier. Zresztą odejście Leonida Krawczuka a wraz z nim wielu polityków zaangażowanych właśnie na polu współpracy z zachodnimi sąsiadami Ukrainy też się przyczyniło do obecnego impasu.

Zniechęcona niepowodzeniami na odcinku wyszehradzkim ale też w zachodniej Europie, polityka ukraińska skoncentrowała się na staraniach o pomoc ze strony Kanady i Stanów Zjednoczonych. Krawczukowi chodziło o osłabienie wpływów Rosji i o uzyskanie amerykańskich gwarancji. Podstawą do tego miało być wyrzeczenie się broni nuklearnej i przystąpienie do układu o nierozprzestrzenianiu tych środków masowej zagłady. Z prezydentem Bushem widoki na

poważne postępy były mizerne, ale z nowym szefem administracji w Białym Domu, Clintonem, po początkowych trudnościach, Krawczukowi udało się pod koniec 1993 roku uzyskać pierwszy sukces. Wkrótce po tym, bo w styczniu 1994 roku doszło do podpisania trójstronnej deklaracji amerykańsko-rosyjsko-ukraińskiej w sprawie usunięcia pocisków nuklearnych z terytorium ukraińskiego przy jednoczesnej gwarancji niezawisłości i integralności Ukrainy przez USA i Rosję. Miało to zapewnić Krawczukowi zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Ale sukcesy w polityce zagranicznej dotychczasowego prezydenta nie zdołały zrównoważyć niepowodzenia w dziedzinie gospodarczej, a jego zwycięski rywal, Leonid Kuczma poddał dotychczasową politykę zagraniczną Kijowa jasnej i druzgocącej krytyce.

Nowy prezydent udzielił wnet dymisji dotychczasowemu kierownikowi ukraińskiego MSZ, Anatolemu Złence, a na jego następcę mianował dotychczasowego ambasadora Ukrainy w Warszawie, Hennadija Udowenkę. Przedstawiając swoje cele w tej dziedzinie Kuczma wspominał o doniosłości regionu „eurazjatyckiego” jako bazy surowcowej, zwłaszcza w energetyce i jako podstawowego rynku zbytu. Przestraszyło to wielu zwolenników „zachodniego kursu” Leonida Krawczuka. Jednak obawy były przedwczesne. Kuczma wprowadził jedynie korekturę. Przyspieszył rokowania z Moskwą o podpisanie wszechstronnego układu międzypaństwowego, aby wypełnić niebezpieczne *vacuum* wobec dezaktualizacji dawnych umów, a jednocześnie rozwinął akcję w sprawie rozbudowy bilateralnych stosunków z krajami Azji Centralnej, zwłaszcza Kazachstanem, Uzbekistanem i Turkmenistanem, tradycyjnymi dostawcami surowców i odbiorcami towarów ukraińskich. Ale główne wysiłki dyplomacji ukraińskiej skoncentrowały się na nadaniu nowej rangi stosunkom z Waszyngtonem i w zamian za broń nuklearną uzyskaniu gwarancji bezpieczeństwa od wszystkich państw nuklearnych. Upoważniony do przygotowania gruntu pod te układy znakomity dyplomata, wiceminister Borys Tarasiuk, wykonał swą misję celująco. W ten sposób doszło w drugiej połowie listopada 1994 do oficjalnej wizyty prezydenta Ukrainy w Stanach Zjednoczonych i podpisania nowych porozumień politycznych i gospodarczych. Przyczynił się do tego również

od dwóch lat działający Komitet Doradczy Amerykańsko-Ukraiński pod kierownictwem Zbigniewa Brzezińskiego i Henry Kissingera i będący niejako namiastką nie istniejącego lobby ukraińskiego w Waszyngtonie. Na przełom w stosunkach amerykańsko-ukraińskich wpłynęły też dwa wydarzenia, poprzedzające wizytę Kuczmy: wybory do amerykańskiego Kongresu, które przyniosły zwycięstwo Partii Republikańskiej, nastawionej bardziej krytycznie do Rosji niż demokracji i uchwała parlamentu ukraińskiego zatwierdzająca przystąpienie Ukrainy do międzynarodowego układu antynuklearnego. Pośród umów podpisanych przez Clintona i Kuczmę 22 listopada 1994 najważniejszym dokumentem jest „Karta o amerykańsko-ukraińskim partnerstwie, przyjaźni i współpracy”, stwierdzająca m.in., że „niepodległość, suwerenność i terytorialna integralność Ukrainy posiada dla Stanów Zjednoczonych fundamentalne znaczenie”. A na początku grudnia podczas spotkania na szczycie w Budapeszcie w ramach konferencji KBWE nastąpiło podpisanie deklaracji Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Rosji gwarantujących Ukrainie nietykalność. Tego samego dnia, 5 grudnia 1994 nastąpiły oddzielne gwarancje Francji i Chin.

Między Moskwą i Czeczenią

Mimo to Kijów nie ma powodów, by zbyt ufać Moskwie. Widmo izolacji rzuca swój cień na wszelkie dyskusje i refleksje dotyczące nowych prądów w stosunkach Wschód-Zachód, a w szybko zmieniającej się atmosferze międzynarodowej sukcesy osiągnięte w Waszyngtonie i Budapeszcie nie straciły wprawdzie swej zasadniczej wagi, ale udział Ukrainy w lansowanych wersjach bezpieczeństwa europejskiego zostaje coraz wyraźniej spychany na margines. A tymczasem na Kremlu zwycięża doktryna odbudowy imperiaizmu wielkoruskiego. Rosja ociąga się przed podpisaniem uzgodnionego już poprzednio traktatu normalizującego całości kształt stosunków z Ukrainą, a Borys Jelcyn ulega coraz częściej szowinistycznym podszeptom swych doradców, aby warunkiem niejednokrotnie już odwoływanej podróży do Kijowa, celem oficjalnego uznania wspomnianego układu,

były ustępstwa Kijowa w kwestii wspólnej „obrony”, podwójnego obywatelstwa dla mniejszości rosyjskiej i zmiany postanowień wobec Krymu.

Początkowo zdawało się, że rosnąca krytyka agresji rosyjskiej w Czeczenii ze strony Zachodu wpłynie uśmierzająco na imperialistyczne apetyty Moskwy. Ale okazało się, że dyplomacja rosyjska przejrzała gołostowność zachodnich pogroźek i brak jedności w postawach Zachodu. Pozycję Kijowa osłabiła kapitulacja Kazachstanu i Białorusi wobec neoimperialnych planów Rosji. Dla wielu Ukraińców nieprzyjemnym zaskoczeniem były niedawne wynurzenia poety i w poprzednim parlamencie przewodniczącego komisji spraw zagranicznych, Dmytra Pawłyuczki o tym, jak Borys Jelcyn w przededniu referendum grudniowego w 1991 roku zareagował na prośbę Krawczuka, aby się zwrócił z apelem do Rosjan zamieszkujących Ukrainę o poparcie idei niepodległości. W odpowiedzi ze słuchawki telefonicznej rozległ się szyderczy śmiech i słowa: „Nigdy w życiu. Jaka tam Ukraina, Toż to bzdura!” Od tego czasu Jelcyn wiele razy zmieniał zdanie na temat układu stosunków z południowym sąsiadem. Dzisiaj w otoczeniu wielkorządcy nie ma już tych doradców, którzy jak profesor etnologii Czistow lub Galina Starowojtowa namawiali prezydenta do umiaru. Obecni eksperci w rodzaju Karaganowa lub Migroniana o niezbyt czystym pochodzeniu rosyjskim, ale za to stuprocentowym szowinizmem neofitów, nawołują stale swego szefa do odnowienia ekspansji.

Wojna przeciwko Czeczenii zbulwersowała opinię publiczną i skomplikowała politykę rządową. Przypomnę, że Kaukaz zajmuje od dawna w mentalności Ukraińców szczególną pozycję. Nasz wieszcz narodowy Taras Szewczenko napisał podczas pierwszej wojny kaukaskiej ku czci poległego tam przyjaciela wstrząsający poemat „Kaukaz” z gorącym poparciem dla Czeczeńców i ich bojowników o wolność: „Sława Wam rycerze swobody, wyście woje z Bożej Łaski. Walczcie dalej. Zwycięzycie. Bóg wam dopomoże!”

I później sprawa ludów kaukaskich była stale tematem literackim i przedmiotem wielu więzi wzajemnej sympatii. Do Czeczenii w czasach wielkiego głodu w 30-tych latach uciekło dużo rodzin chłopskich i znalazło tam opiekę i pracę.

Dzisiejszy przywódca walki przeciwko kolonizatorom Jelcyna, generał Dżochar Dudajew zaczynał swą karierę wojskową jako dowódca eskadry bombowców strategicznych w bazie lotniczej w Winnicy. Z tych czasów łączy go przyjaźń z Ukraincami. Po agresji rosyjskiej Dudajew pragnął, aby Ukraina wzięła na siebie misję pośrednictwa, ale władze w Kijowie zlekły się, uważając, że to mogłoby zaszkodzić w rokowaniach z Jelcynem o nowy traktat rosyjsko-ukraiński. Część opinii publicznej, zwłaszcza pośród intelektualistów, podniosła protest przeciwko oficjalnemu tchórzostwu. Na początku stycznia powstał w Kijowie Komitet pomocy Czeczenii, na którego czele stoi znany fizyk z Akademii Nauk, profesor Sytenko. Jego zastępcą jest poeta Pawłyczko. Komitet posiada trzy grupy robocze, jedna zbiera pomoc materialną, druga gromadzi materiały o zbrodniach wojsk rosyjskich a trzecia zajmuje się szerzeniem informacji wśród społeczeństwa i za granicą. Komitet utrzymuje kontakty z przedstawicielem Czeczenii-Iczkerii Wachą Ajubowym na Ukrainie. Większość gazet ukraińskich analizuje stale eskalację ludobójstwa w drugiej kaukaskiej wojnie rosyjskiej, a wspomniany Dmytro Pawłyczko napisał cały cykl płomiennych poezji, piętnujących nie tylko Rosję, ale i Zachód. W jednym z tych wierszy poeta nazywa Europę „starą zdzirą, która znowu okrywa zdradziecką twarz woalką podłości”. W innym wyśmiewa zachodnich mężów stanu, którzy wbrew głoszonym niegdyś moralnym zasadom, uspokajają swe nieczyste sumienie, że rzeź w Czeczenii to „wewnętrzna sprawa Rosji”. A kiedy na Ukrainę przyszły pierwsze trumny cynkowe ze zwęglonymi zwłokami ukraińskich oficerów, którzy służyli w armii rosyjskiej, Pawłyczko napisał: „Płaczcie matki, płaczcie! Wykopujcie jamy i krzyże stawiajcie nad waszymi synami, co poszli na służbę pijanego wandalą. I módlcie się o to, aby nasza ziemia w noc burzliwej zgrozy, nie wyrzuciła ich z siebie”. W tragedii czeczeńskiej walczą trzy grupy Ukraińców. Po stronie rosyjskiej ci, którzy ze względu na pieniądze i mieszkania pozostali w wojskach Federacji, a po stronie Dudajewa Ukraińcy, których przodkowie osiedlili się w Czeczenii i ochotnicy z paramilitarnej organizacji nacjonalistycznej UNSO (Ukraińska Organizacja Samoobrony). „Unsowcy” walczyli już przed kilku laty w Transnistrii a potem w

Abchazji po stronie Gruzinów. Byli to przeważnie ochotnicy ze Lwowa. Obecnie większość w ukraińskich oddziałach ochotniczych tworzą podobno młodzi robotnicy z Zagłębia Donieckiego we wschodniej Ukrainie. Ich udział wywołuje czasami gwałtowne ataki ze strony generała Graczowa, który pokazuje zdobyte rzekomo przez Rosjan odznaki na czapkach, ze znakiem Trójzęba czyli herbu Ukrainy.

13.03.1995

Bohdan OSADCZUK

Impresje litewskie (1)

Luty tego roku na Litwie kapryśny: na początku miesiąca w Wilnie pada deszcz, potem temperatura spada i sypie śnieg, który nazajutrz zamienia się w błoto. W ogóle stolica Litwy w porównaniu z Warszawą wygląda jak bardzo zaniedbane prowincjonalne miasteczko: ulice brudne, domy obłupane z tynku i odrapane, w trolejbusach okropny tłok, a taksówkami ludzie nie jeżdżą, bo są drogie. O zmierzchu miasto tonie w ciemności, a późnym wieczorem ulice są zupełnie puste. Tylko gdzieś gdzieś spóźniony przechodzień chyłkiem przebiegnie ulicę i jak najszybciej ucieknie do domu, aby się nie spotkać z jakimś niebezpiecznym osobnikiem. Gazety codzienne podają w kronice wypadków o napadach. Przecież jeszcze w końcu lat osiemdziesiątych stolica ówczesnej Litwy sowieckiej była miastem zadbanym, czystym, gościnnym. Wprawdzie były kolejki do restauracji i kawiarni, ale w restauracjach było ciepło, zimą można było się ogrzać, i gości było wiele. Teraz restauracje i kawiarnie nawet w porze obiadowej są puste i co najgorsze – jest w nich zimno, podobnie jak w wileńskich hotelach i bibliotekach.

Główna ulica Wilna – aleja Giedymina (d. Mickiewicza) – jest bardziej oświetlona, wiele tu nowych witryn, szyldów, neonów i różnego rodzaju reklam. Ulice Pilies (d. Zamkowa)

i Didžioji (d. Wielka) są również nowoczesne, weselsze, więcej tu przechodniów i różnych sprzedawców. W pobliżu kościoła św. Jana uliczni handlarze sprzedają wyroby z bursztynu i srebra i jakieś ludowe wyroby ze skóry, słomy i materiału, nawet są tu obrazy miejscowych artystów malarzy. Przy cerkwi św. Paraskiewy (Piatnickiej) plastycy sprzedają swoje bardzo różnorodne dzieła – obrazy. Są one rozwieszone na ogrodzeniu cerkwi i na ścianie dawnego pałacu Chodkiewiczów. Ta swoista wystawa-sprzedaż ożywia nieco brudną ulicę. Dalej plac przed budynkiem Muzeum Sztuki (d. Ratusz) pusty, a można by przecież jakoś tę przestrzeń zagospodarować. Przy tej dawniej, przed wojną, ruchliwej i eleganckiej ulicy miejscowi przedsiębiorcy, zwani tu biznesrami, zaczynają już otwierać sklepy, kawiarnie, bary. Jest niemiecka apteka, w której można kupić różne europejskie i amerykańskie leki. Nie widać w aptece kupujących, bo leki tu są bardzo drogie, oczywiście, jak na kieszeń przeciętnego Litwina. Ładnie prezentuje się salon z dziełami sztuki. W ogóle w Wilnie jest wiele salonów z dziełami sztuki, powstają też sklepy typu polskiej Desy, które tutaj nazywają się antykwariatami. „Astoria” – jeden z elegantszych hoteli w Wilnie – w remoncie. Budynki pojezuickie, obok kościoła św. Kazimierza, również są remontowane. Główny ciąg komunikacyjny od katedry do Ostrej Bramy ogólnie prezentuje się nieźle, widoczny jest postęp. Może za lat dziesięć te ulice znowu nabiorą przedwojennego blasku? Wystarczy jednak zboczyć na ulicę Savičiaus (d. Sawicz) lub na Bokšto (d. Bakszta), a zobaczymy ruiny i brud, śmiecie na podwórkach.

Stare Miasto w Wilnie zasiedlone było przeważnie przez przybyszów ze Wschodu, którzy nie poczuwali się do obowiązku dbania o stan starych kamieniczek wileńskich. Pół wieku to szmat czasu. Zabytki miasta niszczej, a władze municypalne nie mają pieniędzy na konieczny remont. Piękna wileńska starówka nie ma szczęścia.

Tylko Ostra Brama z obrazem Madonny jest wciąż taka sama: skromna, ciasna, cicha i dostojna. W malutkiej kaplicy jak zawsze żarliwie modlą się wierni. Kim są? Polakami, Litwinami, Białorusinami? Nieważne kim są. Paniątka Ostrobramska przyjmuje wszystkich. W Bramie handlarze rozłożyli na stołach dewocjonalia. Teraz już można wszystko sprzedawać. A jeszcze przed sześciu laty nie było tu żadnych książek do nabożeństwa, ani różańców, medalików czy

szkaplerzy. Przed wejściem do kaplicy stoi lub siedzi rząd żebraków, ubogich i jałmużników. „Pan, da na chleb” – prosi jakaś staruszka. Przykry to widok. A kiedyś przecież żebrzących ludzi nie było. Stoją, czekają na drobny grosz w deszcz i zameć, w mróz i słotę. To też obraz dzisiejszej Litwy. Ale w mieście widać wiele zagranicznych, drogich aut. Jeżdżą nimi przeważnie młodzi ludzie. To nowobogacy, biznesmeni lub zwyczajni kombinatorzy, prowadzący jakieś, nie zawsze czyste interesy, chociaż jest już wiele legalnych, dobrze prosperujących spółek i przedsiębiorstw. Cóż, Litwa zmienia oblicze, państwo to powoli kroczy ku normalności. W sklepach praktycznie można kupić wszystko, ale żywność droższa niż w Polsce. Tańsze tylko alkohole i papierosy, toteż te artykuły jeszcze są przemycane przez granicę w Ogrodnikach.

Ludzie nie są zadowoleni, oczekiwali bowiem lepszego życia, łatwiejszego, większych zarobków. A wyszło inaczej, drożej czynsze, rosną opłaty za ogrzewanie mieszkań, ciepłą wodę, energię elektryczną. Po prostu nie starcza im na skromne utrzymanie. Wiele fabryk i zakładów wytwórczych nie pracuje, toteż bezrobocie wzrasta. A emeryci, którzy otrzymują minimalne renty, nie płacą za mieszkania i energię ciepłą i elektryczną.

Wilno dzisiejsze jest miastem wielonarodowościowym: na ulicy, w autobusie słychać język litewski, rosyjski i coraz częściej polski. Dawniej Polacy na ulicy rozmawiali raczej po rosyjsku. Język polski jest zresztą powszechnie znany. Podczas mego dziesięciodniowego tu pobytu nie spotkałem się z niechęcią, gdy w sklepach, restauracjach, kawiarniach, księgarniach i przy kioskach mówiłem po polsku. Odpowiadano mi również po polsku lub po rosyjsku. Nie stwierdziłem jakichś odruchów nieprzyjaznych. Jeżeli przejawy litewskiego nacjonalizmu można było zauważyć w latach 1989-1991, to one już dawno wyparowały. Litwini, moim zdaniem, są dziś normalnym, europejskim narodem.

Przy rządzie litewskim działa Departament Problemów Regionalnych i Mniejszości Narodowych. Zadaniem tej instytucji jest dbanie o rozwój różnych narodowości, które mieszkają na Litwie. Wydaje się, że najgorzej powodzi się Cyganom, którzy mieszkają w zwartych skupiskach na obrzeżach Wilna. O ich egzystencji już nieraz pisał *Kurier Wileński*, alarmując, iż trzeba pomóc tym ludziom.

Ostatnio zrzeszyli się mieszkający tu od wieków Tatarzy.

Przy pomocy ambasady tureckiej niedawno wybudowali nowy meczet w Niemieżu pod Wilnem. Meczet na Łukiszkach zniszczyli komuniści, na razie nie słychać, by go władze odbudowały. Tatarzy wydają własną gazetę, młodzi naukowcy, np. Tamara Bajraszewska, rozpoczęli badania nad historią Tatarów na Litwie. Przed wojną w Wilnie było muzeum tatarskie, wychodziły pisma naukowe i religijne. Społeczność tatarska na ówczesnej Wileńszczyźnie była dobrze widziana. Władza sowiecka wszystko doszczętnie zniszczyła. Teraz więc przy pomocy państwa świadomi Tatarzy chcą odbudować swoją odrębną kulturę, powrócić do religii przodków.

Uaktywnili się też Karaimi, których pozostało już niewielu. Mieszkają w Trokach (Trakai) i w Wilnie. „Tarybu Lietuvos enciklopedija” (t. II, 1986) podaje, że w 1979 roku żyło ich na Litwie aż czy tylko 352 osoby. Karaimi – to naród turecki, wywodzący się z jednego z najstarszych plemion tureckich – Kipczaków. Sprowadził ich na Litwę Wielki Książę Litewski Witold (Vytautas). Osadził w Trokach. Później zamieszkiwali w innych miejscowościach litewskich prze-ważnie w Birżach (Biržai), Poniewiezu (Panėvėžys), Poswołu (Pasvalys) i w Wilnie. Zachował się ich stary język, który należy do kipczackiej gałęzi języków tureckich. Dr Halina Kobeckaitė, ambasador Litwy w Estonii, Karaimka, niedawno opublikowała w *Znad Wilii* artykuł o literaturze karaimskiej. Píše, iż „najstarszy zabytek piśmiennictwa karaimskiego – to tłumaczenie hymnu, wydrukowane w Wenecji w roku 1528. Późniejsza twórczość poetów karaimskich zachowała się w rękopisach. W większej części stanowią ją hymny religijne, pieśni obrzędowe, uroczyste ody. Szczególne miejsce zajmują pieśni-lamenty i elegie. Świecka poezja karaimska jest dość prosta, bezpretensjonalna. Zazwyczaj jest to liryka miłosna, opisy bytu karaimskiego, historii i piękna Trok, wiersze dydaktyczne”. Karaimi zajmowali się ogrodnictwem i drobnym rzemiosłem. Spośród Karaimów było wielu ludzi nauki, np. znany orientalista Ananiasz Zajączkowski. Dziś Karaimi skupiają się wokół świątyni-kenesy w Wilnie na Zwierzynku, którą odnowiono i oddano do użytku gminie karaimskiej.

W Wilnie, w Nowej Wilejce, Podbrodziu i Solecznikach mieszka wielu Białorusinów. Mają oni gimnazjum białoruskie w Wilnie, Dom Kultury Białoruskiej w Solecznikach. Na

Uniwersytecie Pedagogicznym działa Katedra Filologii Białoruskiej. W Wilnie działa kilka różnych organizacji białoruskich. Do bardziej znanych działaczy należą Chwiedar Niuńka, Lawon Łuckiewicz, Waliancin Stech i inni. Mieszka tu znany poeta i tłumacz poezji polskiej na język białoruski Aleh Minkin, działają zdolni plastycy Leszak Abłażej, Krystyna Bałachowicz-Abłażej, Andrejka Bałachowicz i inni. Białorusini wydają pismo *Nasza Niwa* (redaktor Siarhiey Dubawiec), mają codziennie audycję radiową i raz w tygodniu telewizyjną. W polskojęzycznym *Kurjerze Wileńskim* udostępniono Białorusinom stronę *Bielarus Wileńšczy-ny*, którą redaguje raz w tygodniu Lawon Łuckiewicz. Artykuły drukowane są czcionką łacińską i przeznaczone są dla Białorusinów-katolików. Rosyjskojęzyczna gazeta *Stowo* przeznacza raz w tygodniu stronę białoruską, drukowaną cyrylicą. Społeczność białoruska ma się dobrze na Litwie, chociaż niektórzy narzekają, że władze wprowadziły wizy do Białorusi i trudno jest jeździć do krewnych w okolicy Oszmiany, Lidy, Wilejki czy Naroczy albo Brasławia, bo stamtąd najwięcej Białorusinów mieszka w Wilnie. 6 lutego odwiedził Wilno prezydent Republiki Białorusi Aleksander Łukaszenka, który wspólnie z prezydentem Litwy Algirdasem Brazauskasem podpisał traktat o dobrosąsiedzkich stosunkach i współpracy. Zawarto też porozumienie o granicy i w sprawie wykorzystania poszczególnych obiektów białoruskich na terenie Litwy i litewskich na terenie Białorusi. Dotychczas trwał spór o granicę przy stacji kolejowej Hoduciszki (Adutiškis) i nie było porozumień odnośnie korzystania przez Białorusinów z sanatorium „Biełaruś” w Druskiennikach. Wizyta prezydenta Łukaszenki na Litwie była pomyślna i służyła zbliżeniu tych postsowieckich państw. Rokuje to dobrze dla dalszego rozwoju narodowości białoruskiej na Litwie. Przyjemnie było słyszeć, że Polacy z Wileńszczyzny utrzymują dobre stosunki z Białorusinami.

W Wilnie mieszka sporo Ukraińców, jednakże są oni mniej widoczni. Mają swoją szkołkę niedzielną, którą prowadzi dr Nadija Neporożnia, niestrudzona działaczka ukraińska. Ukraińcy skupieni są wokół cerkwi św. Trójcy, dawniej bazylikańskiej. Niedawno przyjechało do Wilna ze Lwowa kilku ojców bazylianów, którzy w zrujnowanej cerkwi urządzili kaplicę i odprawiają nabożeństwa w obrządku ukraińskokatolickim. Prawosławni Ukraińcy uczęszczają do pobliskiej

cerkwi św. Ducha. Bazylianie wileńscy odzyskali mury pobazylikańskie, ogrodzili teren i rozpoczęli remont cerkwi św. Trójcy. W budynkach dawnego klasztoru mieszczą się obecnie wydziały Wileńskiego Uniwersytetu Technicznego, jest tu też słynna Cela Konrada, w której odbywają się reaktywowane Środy Literackie. W marcu jedna z takich Śród poświęcona była pamięci Tarasa Szewczenki, który jako kozaczek P. Engelhardta przebywał w Wilnie w latach 1829-1831, uczył się tu malarstwa u Jana Rustema. Ukraińcy wileńscy czują się osamotnieni. Jak powiedziała mi Nadija Neporożnia, chcieliby nawiązać ściślejsze kontakty z Ukrainą i z rodakami, mieszkającymi w Polsce, Niemczech i Kanadzie.

Niewielu na Litwie zostało Żydów, którzy w Wielkim Księstwie Litewskim – jak podaje „Tarybu Lietuvos enciklopedija” (t. IV, 1988) – zamieszkiwali już w XII wieku. Za panowania Giedymina (1316-1341) Żydzi przybyli do Wilna razem z innymi europejskimi rzemieślnikami i kupcami. Wielki Książę Witold w latach 1388 i 1399 nadał im przywilej ludzi wolnych. Król Zygmunt Stary w latach 1507 i 1514 ten przywilej potwierdził. Po Unii Lubelskiej (1569) Żydzi otrzymali prawo zamieszkiwania nie tylko na gruntach królewskich, lecz także na terenach należących do szlachty. Wielkie Księstwo Litewskie stało się więc ojczyzną Żydów, jak i Litwinów, Polaków i innych narodów. Solomonas Atamukas w książce „Żydzi w Litwie” (Vilnius, 1990) podaje, iż w 1920 roku Wilno liczyło 128,5 tys. mieszkańców, w tym 46,5 tys. Żydów, w 1931 roku – 55 tys., tj. 28% ludności ówczesnego Wilna, natomiast w końcu 1939 r. i na początku 1940 r. w Wilnie i okolicy mieszkało 85-87 tys. Żydów. Wielu przybyło wtedy z Polski, z Warszawy, uciekając przed hitlerowcami. W okresie międzywojennym prowadzili Żydzi w Wilnie aktywne życie oświatowe, naukowe i kulturalne, działało Żydowskie Towarzystwo Oświatowe „Wilbig”, Żydowskie Towarzystwo Krajoznawcze i Koło Miłośników Wilna, Żydowskie Towarzystwo Oświatowo-Kulturalne „Tarbut”, Klub Sportowy „Makabi”, Wileńskie Towarzystwo Żydów Kupców i Przedsiębiorców, Syndykat dziennikarzy żydowskich. Przy ulicy Wiwulskiego działał Żydowski Instytut Naukowy. Było kilka teatrów, wiele bibliotek i świetlic, działało kilkanaście synagog na czele z najstarszą w Szulheif przy ulicy Żydowskiej 6, zbudowaną w 1572 roku za zgodą Króla Zygmunta Augusta.

Synagogę tę zniszczyli komuniści po wojnie. Dziś nie pozostało po niej ani śladu.

Eksterminacja Żydów wileńskich rozpoczęła się 1 sierpnia 1941 roku. Zanim przygotowano teren getta na przyjęcie doń Żydów z różnych dzielnic miasta, hitlerowcy zdążyli zamordować około 32 tys. osób. Pozostałych ponad 40 tys. Żydów na początku września 1941 rozmieszczono w dwóch otoczonych murem gettach. Do „małego” wtłoczono 11 tys., do „dużego” – 29 tys. osób.

Od października 1941 r. faszysti stopniowo wywozili Żydów do Ponar, gdzie ich strzelcy z Ypatingos burys rozstrzeliwali i ciała zakopywali w specjalnych dołach. Do sierpnia 1943 roku getto wileńskie praktycznie zostało zlikwidowane. Około 15 tys. pozostałych przy życiu Żydów wywieziono do obozów w Estonii, część wysłano do obozów śmierci w Niemczech. Tylko nielicznym udało się zbiec do partyzantki, niektórzy doczekali wolności w ukryciu, przechowywani przez życzliwych Polaków i Litwinów. Wspomniany S. Atamukas podaje, iż jesienią 1944 r. w Wilnie mieszkało zaledwie około 2 tys. Żydów, wiosną 1945 r. – od 4 do 5 tys. Były to przeważnie osoby, które przybyły do Wilna ze Związku Sowieckiego i z oddziałów partyzanckich, głównie komunistycznych, bo Armia Krajowa w zasadzie nie przyjmowała Żydów w swoje szeregi. W okresie sowieckim Żydom na Litwie nie powodziło się tak dobrze, jak to się wydaje niektórym „znawcom” problemu. Po odwilży 1956 r. Żydzi masowo zaczęli emigrować na Zachód, do USA i Izraela. Tylko w latach 1959-1990 z Litwy wyjechało około 17 tys. osób narodowości żydowskiej.

W okresie sowieckim przez wiele lat przywódcą duchowym wileńskich Żydów był Grigorij Kanowicz, wybitny pisarz, tworzący w języku rosyjskim. Ale i on w ubiegłym roku wyjechał do Izraela. Obecnie przewodniczącym Wspólnoty Żydowskiej Litwy jest Szymon Alperowicz, ur. w 1928 r., prawnik z wykształcenia, w okresie sowieckim długoletni wykładowca w szkole milicji. Żydzi litewscy odzyskali dom przy ulicy Pylimo (d. Zawalna), w którym przed wojną mieściło się gimnazjum żydowskie. Założyli tam Muzeum Żydowskie i inne organizacje. Niedawno po wyremontowaniu otworzyli synagogę przy ulicy Pylimo (wybudowaną w 1905 r.) w Wilnie.

Do 1988 roku na Litwie nie było żadnych organizacji żydowskich. Dopiero na fali *pieriestrojki*, w 1988 powstało

Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Żydów, które już w wolnej Litwie zostało przekształcone na Wspólnotę Żydowską Litwy. Zrzesza ona około 6 tys. osób zamieszkających w całej Litwie. W Wilnie mieszka około 4 tys. Żydów, w Kownie około 800, pozostali mieszkają w Kłajpedzie, Szawlach (Šiauliai), Poniewieżu, w Druskiennikach i Ucianie (Utėna). Wspólnota Żydowska Litwy utrzymuje żywe kontakty z organizacjami żydowskimi Izraela, USA, Francji i innych krajów. Do najbardziej aktywnych i zasłużonych wileńskich Żydów należą Szymon Alperowicz, Solomonas Atamukas, Dymitr Halpern, Chaim Gurwicz, Emanuel Zingeris (jest posłem na sejm), Józef Lewinson, Misza Jakobas, Jewsiej Jacowski, Jewsiej Cejtlin. Ten ostatni urodził się na Syberii, ale, jak powiedział, pochodzi z rodziny szklowskich rabinów. Na Litwę przyjechał świadomie, bo tu odnalazł swoje korzenie. Cejtlin pracuje w Muzeum Żydowskim, redaguje almanach pt. *Jewrejskij Muziej (The Jewish Museum)*, zbiera materiały o eksterminacji Żydów, o ich życiu w okresie sowieckim. Cejtlin marzy o odrodzeniu kultury żydowskiej na Litwie. Chce tu pracować.

Chodziłem po krętych i ciasnych uliczkach dawnego getta. Są puste i zaniedbane. A przecież kiedyś, w czasie mojego dzieciństwa, przez te uliczki nie można było przejść, bo taki tu był tłok i rejewach. Życie kipiło, wrzało, wszystko wokół się kotłowało, a sprzedających zawsze było więcej niż kupujących. Przy niektórych domach dawnej żydowskiej dzielnicy widziałem uśmiechniętych, zażenowanych starszków: robili sobie zdjęcia na tle okna lub ściany. Widocznie któreś z nich tu mieszkało. Zawiozła pamiątkę dla wnuków z dalekiej Lite – Litwy. Tyle dziś pozostało.

Społeczność rosyjska w Wilnie jest bardziej widoczna. W trolejbusach, autobusach, na ulicy słysząc często język rosyjski. Najbardziej słysząc go w Nowej Wilejce, która obecnie jest dzielnicą Wilna. Po rosyjsku mówią tu nie tylko Rosjanie, ale także Białorusini i Polacy. Znam kilka tamtejszych rodzin polskich, których językiem domowym jest rosyjski, a polski używają w kościele i w rozmowie z gościem z Polski.

Wielu jest Rosjan starszych wiekiem: to emeryci czasów sowieckich. Są wśród nich byli wojskowi, dawni funkcjonariusze partyjni, administracyjni, dyrektorzy fabryk i zwyczajni robotnicy. W minionym okresie chętnie tu przyjeżdżali, bo

szybciej otrzymywali mieszkania, łatwiej było dostać dobrą pracę, zrobić życiową karierę. Rosjanie wileńscy to przeważnie jednak ludzie z wyższym wykształceniem. Są oni po Żydach najbardziej wykształconą grupą obywateli Litwy. Według obliczeń Departamentu Problemów Regionalnych i Mniejszości Narodowych, na 1000 mieszkańców Litwy Żydów z wykształceniem wyższym jest 385 osób, Rosjan 172, Litwinów 109, a Polaków tylko 50! Ze średnim ogólnym i zawodowym wykształceniem na 1000 mieszkańców kraju Żydów jest 394, Rosjan – 478, Litwinów – 396, zaś Polaków – 364. Za to z wykształceniem podstawowym na 1000 mieszkańców – Żydów jest 114, Rosjan 156, Litwinów 249 i Polaków – 264 osoby. Jak widać z przytoczonych danych, Rosjanie na Litwie należą do kategorii panów, zaś rolę pariasów, niestety, pełnią nadal Polacy. Litwini zaś, chociaż są prawowitymi gospodarzami kraju, również nie mogą się pochwalić wysokim procentem ludzi wykształconych. Cóż, Rosjanie to dawniej tzw. kadry.

Z obserwacji wyniosłem wrażenie, że Rosjanie mają się tu całkiem dobrze. W Wilnie działa wiele szkół rosyjskich i liczba ich, jak na razie, nie maleje. Niestety, uczniami tych szkół są też dzieci rodzin polskich. Rodzicom wydaje się, że wykształcenie w szkole rosyjskiej jest bardziej przydatne. Rosjanie codziennie odbierają program moskiewskiej TV, mają audycje radiowe, wychodzą gazety rosyjskojęzyczne *Echo Litwy* i *Słowo*, wydawany jest miesięcznik literacki *Vilnius*. Wychodzą rosyjskie mutacje litewskich dzienników *Respublika*, *Wieczernije Wiedomosti* i *Pirmadienis (Poniedziałek)*. Na Uniwersytecie Wileńskim działa Katedra Filologii Rosyjskiej. W Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym również istnieje Katedra Filologii Rosyjskiej. Naliczyłem w Wilnie 6 cerkwi prawosławnych działających, przy cerkwi św. Ducha istnieje monaster męski i żeński. Jest patriarcha prawosławny Chryzostom.

W mieście działają rosyjskie salony sztuki, są sklepy i kawiarnie, których właścicielami są Rosjanie. Obecnie niewielu Rosjan uczestniczy w życiu politycznym. Ostatnio pisało w prasie wileńskiej, że niektóre grupy rosyjskie przygotowują się do wyborów samorządowych 25 marca br. Część z nich chce nawet przyłączyć się do Polaków, inni natomiast szukają kontaktu z Litewską Partią Chłopską (*Valstiejiu partija*), podobnie jak Polak, Anicet Brodawski, dawny działacz samorządowy i jeden z twórców tzw. autonomii

polskiej na Wileńszczyźnie, która oczywiście nie doszła do skutku.

Rosjanie na Litwie, jak na razie, są lojalnymi obywatelami, zgodnie żyją z Litwinami, Polakami i przedstawicielami innych narodowości. Pytałem o nich wielu znajomych Litwinów. Prawie wszyscy zgodnie odpowiadali, że Litwa nie ma problemów z obywatelami narodowości rosyjskiej. „Są oni pozostałością sowieckich czasów, mieszkają tu, pracują, więc musimy z tym faktem się pogodzić i żyć w przyjaźni”. Nie słyszałem też skarg na Litwinów ze strony Rosjan. Starsze osoby pogodziły się ze swoim statusem, natomiast młodzi wrastają w nową, niepodległą Litwę.

Mieczysław JACKIEWICZ

KSIAŻKI POLSKIE ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Notatki Redaktora

Wojna w Czeczenii, barbarzyńskie zachowanie się wojsk rosyjskich wywołały powszechne oburzenie opinii światowej, a przede wszystkim w Polsce. Niestety nabrało to u nas wyraźnego charakteru antyrosyjskiego: np. tolerowanie rzekomego przedstawicielstwa gen. Dudajewa, wysłanie transportu p. Ochojskiej z ogromnym nagłośnieniem całej akcji i z podkreślaniem, że jest to pomoc przeznaczona głównie dla walczących Czeczeńców, a nie dla wszystkich ofiar tej niebezpiecznej wojny. Uważam, że całą tę akcję należy ograniczyć ściśle do ram humanitarnych i praw człowieka. Mocarstwa zachodnie zachowują się bardzo ostrożnie, a w każdym razie nie przewidują żadnych sankcji. Nie ma więc powodu byśmy pierwsi niepotrzebnie wysuwali się, powodując się względami emocjonalnymi a nie chłodną racją stanu. Trzeba pamiętać, że sytuacja w Rosji jest bardzo niepokojąca i nosi załazki zagrożenia dla nas w przyszłości.

Niezrozumiała podróż prezydenta Wałęsy do krajów Ameryki Południowej. Ku powszechnemu zdziwieniu towarzyszył mu w tej podróży szef sztabu, gen. Wilecki. W Brazylii dyskutowano sprzedaż sprzętu wojskowego dla armii brazylijskiej. Handel bronią to nie jest zadanie ani dla prezydenta, ani dla szefa sztabu, a tym bardziej robienie z tego sensacji dziennikarskiej. Nie były również fortunne różne oświadczenia czy aluzje do generała Pinocheta jako wybitnego męża stanu.

Ostatnio bardzo dużo się mówi i dyskutuje o sytuacji w

wojsku. Próby prezydenta Wałęsy upolitycznienia wojska, jak np. konferencja w Drawsku, inspirowanie pogłosek, że gen. Wilecki jest kandydatem na premiera, nie mówiąc już o ożywionej działalności biskupa polowego ks. Głódzia, destabilizują wojsko. Sytuacja bowiem w wojsku wygląda bardzo niedobrze. Przede wszystkim struktura wojska jest nienormalna. Wojsko liczy obecnie 350 generałów. Samych generałów broni jest więcej niż kiedyś było generałów dywizji, a obecnie projektuje się wprowadzenie jeszcze generałów armii. Polskie siły zbrojne liczą dziś 311 tys. ludzi, a więc mniej więcej tyle samo co w okresie Drugiej Rzeczypospolitej. Ale Polska miała wtedy zaledwie 70 generałów w służbie czynnej, a tylko 2 generałów broni. Wieloma dywizjami dowodzili pułkownicy. Wojsko operuje przestarzałym sprzętem. Donosi się z triumfem, że nie ma przeszkód w zakupywaniu broni w Stanach Zjednoczonych, ale na to nie ma pieniędzy. Ponieważ wyposażenie wojska jest wyposażeniem sowieckim, więc w tej chwili dyskutuje się, czy nie uzupełnić sprzętu kupując go w Rosji. Nie bierze się przy tym pod uwagę, że głównym producentem broni jest Ukraina a nie Rosja. Czy nie prościej robić ewentualne zakupy właśnie na Ukrainie? Czołgi produkcji ukraińskiej mają opinię najlepszych na świecie. Trudność, ma się rozumieć, polega na tym, że najistotniejsze części sprzętu są produkowane w Rosji, która w ten sposób uzależnia od siebie produkcję ukraińską. Ale tu można pomyśleć o współpracy naszego przemysłu zbrojeniowego z Ukrainą.

Fatalna jest również gospodarka – cały szereg niepotrzebnych czy przestarzałych organizacji. Wojsko nie potrafiło w sposób odpowiedni przejąć i zagospodarować terenów opuszczonych przez garnizony sowieckie. Tę listę można jeszcze długo ciągnąć. Ale przede wszystkim nic nie wiadomo o pracach nad polską doktryną wojskową, której nie ma. Jest to w tej chwili najważniejsze zadanie, poza naszą polityką zagraniczną, jakie stoi przed społeczeństwem.

Z dniem 1-go maja będzie zamknięta *Polska Zbrojna*. Pismo ma być połączone z miesięcznikiem *Żołnierz Polski* z czego ma się urodzić tygodnik. Jest to wielka strata, gdyż *Polska Zbrojna* odgrywała bardzo pozytywną rolę, kładła bowiem duży nacisk na dokumentowanie historii Polski w najszerszym rozumieniu tego słowa, przypominając historię i tradycję armii polskiej tak przecież mało znaną. Sprawa wycho-

wania kulturalnego żołnierzy jest jednym z najważniejszych zagadnień i trzeba je wreszcie zorganizować. Takim wzorem do naśladowania jest chociażby działalność kulturalna prowadzona w Drugim Korpusie w czasie ostatniej wojny.

W Polsce wychodzi obecnie około tysiąca tytułów samej tylko prasy parafialnej. Kościół dysponuje dziennikiem ogólnopolskim (*Słowo – Dziennik Katolicki*), 10 tygodnikami, 11 dwutygodnikami, 78 miesięcznikami. Projektuje się wydawanie wysokonakładowego dwutygodnika dla rodzin. Powstała w 1993 r. Katolicka Agencja Informacyjna. Ponadto Kościół jest właścicielem kilkudziesięciu stacji radiowych i są przygotowania do uruchomienia telewizji. Niestety w tej ogromnej działalności brakuje odpowiednich kadr. *Słowo* jest redagowane na niezmiernie niskim poziomie i wywołuje coraz liczniejsze zastrzeżenia w samym episkopacie. Radio „Maryja”, które ma największy zasięg, jest również na niskim poziomie, a działalność o. Tadeusza Rydzyka wywołuje coraz więcej zastrzeżeń. Właściwie tylko Katolicka Agencja Informacyjna działa bardzo sprawnie i dysponuje dobrym zestawem profesjonalnych dziennikarzy.

Imponująca jest ofiarność polskiego społeczeństwa. Pomoc dla narodów b. Jugosławii, Czeczenii, ogromny sukces Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Jerzego Owsiaaka. Jednak warto też pomyśleć o sprawach nas bezpośrednio dotyczących, jak chociażby o sytuacji Polaków we Francji. W *Figaro Magazine* ukazał się duży artykuł o bezdomnych w Paryżu pt. „Lekarz ludzi będących poza nawiasem”. Opisuje on działalność dr. Emmanuelli, założyciela organizacji Les Médecins sans Frontières, który zajął się pomocą dla ludzi bez stałego miejsca zamieszkania SDF (*sans domicile fixe*). Przez jego ośrodek przeszło w ciągu roku 89 tysięcy kłoszardów, których przegrywał i leczył. Młodzi narkomani, kobiety – co było nowością – i coraz więcej Polaków. Są to ludzie cierpiący na choroby skóry, mający rany po ugryzieniu przez psy, oparzeniach, a przede wszystkim chorzy na gruźlicę, która

powróciła z całą siłą. W ośrodku dr. Emmanuellego trzyma się ich 2-3 dni a potem odchodzą. Kilka tygodni później zbiera ich znów z trotuaru autobus ośrodka. Dr Emmanuelli oblicza, że jest „600 tysięcy ludzkich istot opuszczonych na naszych ulicach bez żadnej higieny”.

Prasa podaje również informacje o rosnącej liczbie polskich żebraków w Paryżu. Zajęcie się nimi przekracza możliwości naszego konsulatu. Nie wiem, co robi Polska Misja Katolicka i jakie są jej możliwości. W każdym razie trzeba, by społeczeństwo polskie i tych ludzi objęło swoją akcją charytatywną.

W tegorocznym budżecie na pomoc dla mniejszości narodowych w Polsce przewidziano tylko 8 mld starych złotych. Od paru lat ta pozycja jest stale zmniejszana. Te 8 miliardów to zaledwie 50% najważniejszych potrzeb. Powoduje to trudności lokalowe, zawieszanie pism i ograniczanie wydawnictw. Dla zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb jest konieczne podniesienie tej kwoty do 11 mld złotych. Chciałbym zaapelować do p. ministra Dejmka, z którym w bardzo wielu sprawach się nie zgadzam, ale jestem pełen uznania dla jego niezależnej postawy przełamywania biurokratycznych trudności w swoim resorcie – by zechciał się tą sprawą zająć. Zagadnienie mniejszości nabiera specjalnego znaczenia w chwili postępującej destabilizacji w Rosji i rosnących trudności na Ukrainie i Białorusi.

Prezydent Borys Jelcyń ustalił, że dzień 7 listopada będzie świętem „Dnia wyzwolenia Moskwy od polskich interwencji przez rosyjskie pospolite ruszenie” (jest to dzień, w którym polska załoga Kremla osadzona tam przez hetmana Żółkiewskiego skapitulowała w 1612 r.). Dzień 7 listopada był poprzednio świętem rocznicy rewolucji październikowej. Miejmy nadzieję, że w rewanżu Polska nie będzie obchodziła dwukrotnego zdobycia Moskwy przez Polaków.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Jubileusz Państwowego Instytutu Języków i Cywilizacji Wschodu w Paryżu

W roku akademickim 1994/95 świętują w Paryżu dwusetlecie swojego istnienia tzw. szkoły roku III – powstałe jako owoc edukacyjnej i naukowej działalności Konwencji okresu termidoriańskiego Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Dekretami ustanawianymi prawie jeden po drugim Konwencja stworzyła w owym III roku Republiki cztery elitarne, funkcjonujące do dnia dzisiejszego szkoły wyższe, założone „w celu spełniającego ściśle wymogi naukowe kształcenia elit”.

Powstała wtedy Politechnika, która do dziś wykształciła około 50 000 inżynierów, twórców potęgi technicznej Francji; powstało Conservatoire National des Arts et Métiers, dziś spełniające rolę uniwersytetu otwartego z ponad 100 000 studentów zgromadzonych w ponad 40 ośrodkach; utworzono Ecole Normale Supérieure, której polskim czytelnikom nie trzeba przedstawiać – kuźnię elit intelektualnych Francji oraz Ecole Spéciale des Langues Orientales – obecnie INALCO – Institut National des Langues et Civilisations Orientales – Państwowy Instytut Języków i Cywilizacji Wschodu, znany w Paryżu „od zawsze” pod potoczną nazwą Langues „O” (Langzo).

Zrodzone z idei i potrzeby powszechności i dostępności wiedzy uczelnie do dnia dzisiejszego funkcjonują bardzo prężnie. Wpisane w gospodarkę i kulturę państwa stanowią jego istotny element, jeden z trybów zapewniających sprawne funkcjonowanie całości. Czy realizują rewolucyjną i demokratyczną ideę równości – *égalité*? – Nie nam to w tej chwili oceniać. (Przypomnijmy jednakże rok 1968 we Francji –

rewolucję studencką skierowaną m.in. przeciwko elitarności nauki i skostniałemu systemowi szkolnictwa).

Tradycja szkoły języków orientalnych jest w Paryżu jeszcze o ponad sto lat starsza i sięga czasów ministra Colberta za rządów Ludwika XIV, który utworzył dla potrzeb handlu i dyplomacji szkołę kształcącą tłumaczy. Mieli oni uniezależnić poczynania Izby Handlowej i dyplomacji francuskiej, nastawionej w tym czasie na ekspansję i rozszerzanie swoich wpływów, od tłumaczy miejscowych. Dekretem ministra Jeana Baptiste'a Colberta powstała w roku 1669 szkoła tzw. Jeunes de Langues (Szkoła „chłopców od języków”), która zwinęła swoją działalność dopiero w roku 1873, wchłonięta przez Ecole Spéciale des Langues Orientales.

Instytut języków orientalnych kontynuuje zatem obecnie tradycje uczelni utworzonej przez Rewolucję ale także pragmatycznej, nastawionej na konkretne umiejętności Ecole des Jeunes de Langues – Szkoły „chłopców od języków”. Do dziś studiują tutaj przyszli dyplomaci, wojskowi, biznesmeni, ekonomiści, dziennikarze nastawieni na uzyskanie praktycznej znajomości języka, historii i kultury danego kraju.

W ciągu 200 lat oficjalnego istnienia od czasów dekretu 10 germinału roku III (30 marca 1795 r.) szkoła języków orientalnych przeszła ogromną ewolucję. Zaczynano od trzech języków „muzułmańskich” – arabskiego, tureckiego i perskiego, następnie systematycznie wprowadzano nauczanie kolejnych języków otwierając co parę lat katedry. I tak w 1798 roku rozpoczęto kursy ormiańskiego, w 1800 roku nowożytną greki. Katedry powstały odpowiednio w 1812 i 1819 roku. Katedry języków Dalekiego Wschodu otwierano od połowy XIX wieku – chiński 1843, malajski 1844, japoński i wietnamski 1868, syjamski 1899. Od 1873 roku wkraczają języki Europy Środkowej – rozpoczynają się pierwsze kursy bułgarskiego, polskiego, serbskiego, chorwackiego, czeskiego. Katedra języka rumuńskiego rozpoczyna działalność w 1875 roku. Katedry języka polskiego, czeskiego, serbochorwackiego otwierają się w 1921 roku. Język rosyjski nauczany jest od 1874 (od 1876 ma własną katedrę).

W roku 1947 nauczano 39 języków. W 1944 liczba studentów przekroczyła 1000. Obecnie w roku jubileuszu studiuje około 10 000 studentów, uczy się tutaj prawie 80 języków zgromadzonych w 8 wydziałach (departamentach): Afryki, Azji Południowej, Azji Południowo-Wschodniej i Oceanii, Chin, Korei-Japonii, Europy Centralnej i Wschod-

niej, Bliskiego Wschodu, Rosji i Eurazji. Ponadto istnieje sekcja języków i kultur Ameryki.

Obecny zatem profil Instytutu niezupełnie odpowiada tradycyjnej nazwie, zwłaszcza w polskim rozumieniu słowa orientalny – orientalistyka. Niezorientowani rodacy nierzadko okazują zdumienie dowiedziawszy się, że język polski wykładany jest w instytucie języków orientalnych – języków Wschodu. Dołączona do wydawnictw jubileuszowych mapa pokazuje zasięg obecnie wykładanych języków, obejmujący prawie cały świat. Wykłada się języki olbrzymich nacji – jak chiński, hindi; o wielkim zasięgu – jak arabski; ale także języki kultur rzadkich pozbawionych własnej państwowości – jak łużycki, tatarski, kurdyjski. Zawsze są to jednak języki żywe, co podkreślone zostało w używanej w latach 1914-1971 nazwie instytutu – Ecole Nationale des Langues Orientales Vivantes (ENLOV) zamienionej następnie na nazwę obecną.

Francuska szkoła języków orientalnych była pierwszą tego typu uczelnią w świecie. Dopiero potem powstawały szkoły i wydziały języków orientalnych w Moskwie, Petersburgu, Berlinie i Londynie a także nasze polskie orientalistyki, które zawsze były w kontaktach naukowych z Instytutem paryskim. Profesorowie, wykładowcy Instytutu stawali się członkami słynnej Akademii Francuskiej. Wśród nich klasyk indoeuropeistyki – językoznawstwa porównawczego Antoine Meillet. Dwusetną rocznicę założenia szkoły uczciła Akademia Francuska 31 stycznia 1995 roku uroczystą sesją poświęconą orientalizmowi, przeprowadzoną z całym ceremoniałem jubileuszowym w obecności grona „nieśmiertelnych” związanych z Instytutem i z humanistyką francuską.

Rocznica INALCO to także okazja, żeby przypomnieć, że w tej szacownej instytucji istnieje katedra polonistyki, druga w kolejności założenia po Sorbonie a jedna z czterech funkcjonujących we Francji, oferujących pełne studia językowe z możliwością magisterium i doktoratu. Pozostałe są w Lille i w Nancy. (W wielu innych uniwersytetach francuskich prowadzone są licencjaty lub tylko lektoraty języka polskiego).

Katedra polonistyki utworzona dekretem prezydenta Francji z roku 1920 mogła powstać także dzięki staraniom zasłużonego dla kultury polskiej we Francji Zygmunta Lubicz-Zaleskiego. Pierwszym kierownikiem Katedry został profesor Henri Grappin, autor gramatyki języka polskiego po francusku. Profesor Grappin prowadził Katedrę aż do roku 1955, kiedy po jego śmierci kierownictwo objął drugi wy-

bitny polonista francuski, także autor gramatyki, Etienne Décaux. Te dwa nazwiska należą do najwybitniejszych polonistów francuskich. W roku 1974 Katedrę przejęła profesor Maria Szurek-Wisti, w latach 1982-1984 prowadziła ją profesor Hélène Włodarczyk, obecnie kierownik polonistyki na Sorbonie, od 1984 roku odpowiedzialna za polonistykę w INALCO jest prof. Maria Delaperrière, literaturoznawca, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego.

„Popularność języka polskiego (i innych) poza granicami kraju zwykle jest związana z ogólną sytuacją polityczną. Nie jest to jedyny czynnik wpływający na zainteresowanie danym językiem, choć jego znaczenia nie można przecenić. Oprócz starań samej kadry nauczającej nie bez znaczenia jest także stopień zaangażowania władz kraju w opiekę nad placówką nauczającą. Przełom roku 1989/90 sprzyjał zainteresowaniu krajami Europy Środkowej, rozbudzał nadzieje na kontakty, interesy handlowe, ożywienie kulturalne. Na sekcji czeskiej w stosunku do roku 1988/89 nastąpił dwukrotny wzrost liczby zainteresowanych. Polonistyka w INALCO, realizująca atrakcyjny program studiów, obejmujący naukę języka, literaturę, historię, geografę, specjalizująca się w języku handlu i biznesu, nie zwiększyła jednak (choć też i nie zmniejszyła) liczby swoich studentów. Wobec jednak wzrostu zainteresowania studiami w sekcjach innych języków Europy Środkowej trudno uznawać te rezultaty za zadowalające, a sprawa ta powinna „dawać do myślenia”. Świętując 200 lat istnienia INALCO w Paryżu zamyślić się wypada nad polityką językową naszego państwa, nad promocją polszczyzny w świecie (nie tylko wśród polonusów), nad sposobami wspierania istniejących placówek i instytucji nauczających języka polskiego. Temat to codzienny, wart codziennej troski, nie tylko napomknąć i ocknąć z okazji jubileuszów, które świętować i trzeba i warto.

Historia Langues „O” uczy jednego: nauka języków, także tych trudnych i odległych, związana jest ściśle z handlem i dyplomacją a te z kolei z promocją i popieraniem własnego języka.

Jolanta ROKOSZOWA

„Wileńskie konteksty romantyczne”

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
NAUKOWA NA UNIWERSYTECIE WILEŃSKIM
8. 10. 1994

Niespełna przed dwoma laty Wydział Filologiczny Uniwersytetu Wileńskiego powiększył się o kierunek polonistyczny. Powołana decyzją Senatu Katedra Filologii Polskiej (Lenku Filologijos Katedra) w roku akademickim 1993/1994 rozpoczęła działalność dydaktyczną z dwudziestoma studentami i niespełna dziesięcioma pracownikami (w tym dwie osoby delegowane przez polskie Ministerstwo Edukacji Narodowej: doc. Elżbieta Janus z Instytutu Badań Literackich i prof. Tadeusz Bujnicki z Uniwersytetu Jagiellońskiego). Pod koniec ubiegłego roku pozycję polonistyki wileńskiej wzmocniła pierwsza międzynarodowa konferencja naukowa „Wileńskie konteksty romantyczne” poświęcona zbliżającej się rocznicy 200-lecia urodzin Adama Mickiewicza. W zorganizowanej wspólnym wysiłkiem Wydziału i Katedry konferencji uczestniczyli poloniści, lituaniści, i sławiści z Litwy, badacze polscy oraz Fin – muzykolog Matti Asikainen.

Na trwającej trzy dni konferencji wygłoszono 40 referatów. Prawie połowę z nich przygotowali autorzy litewscy: Litwini zajmujący się problematyką romantyzmu i jego tradycjami w literaturze litewskiej oraz Polacy pracujący w nowo powstałej Katedrze i istniejącej od lat Katedrze Filologii Polskiej na wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym. Gośćmi byli poloniści z Warszawy, Krakowa, Poznania, Wrocławia, Katowic, Torunia, Łodzi i Olsztyna. Nie mogli, niestety, przybyć zapowiedziani referenci z Rosji.

W przeddzień otwarcia konferencji odbyło się – należące już do tradycji – spotkanie w celi Konrada na „Środzie literackiej”. Obok artystycznych punktów programu (koncertu kameralnego, recytacji poetyckich) spotkanie miało charakter swobodnej wymiany zdań i dobrze wprowadziło w atmosferę konferencji. Innym ważnym akcentem towarzyszą-

cym konferencji była otwarta w salach Biblioteki Uniwersyteckiej wielka (licząca ok. 900 pozycji) wystawa książki polskiej zorganizowana przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Warto podkreślić, że wszystkie wystawiane książki zostały przez Fundację ofiarowane Uniwersytetowi Wileńskiemu.

Wielonurtowość i rzetelność naukowa konferencji pozwoliła dostrzec jak wielkie możliwości mogą stworzyć wspólne kontakty i badania uczonych polskich i litewskich. To co często wydaje się utrudnieniem, odmienność perspektywy badawczej, inne rozłożenie akcentów i znaczeń w obrębie problematyki kulturowo-literackiej „wileńskiego” romantyzmu, w rzeczywistości pozwala na głębsze określenie tego co w owej kulturze jest „polskie” czy „litewskie”, a raczej – jak jest „polsko-litewskie”. I dlatego od razu należy podkreślić, iż poza walorami poznawczymi konferencji jej sens polegał na skonfrontowaniu i zbliżeniu stanowisk badaczy litewskich i polskich. Referaty pisane z różnych perspektyw oświeślały się wzajemnie i tym sposobem wyraźniej zarysowywała się wspólnota korzeni, dziedzictwa i tradycji. Dlatego korespondowały ze sobą referaty o znaczeniu romantyzmu dla odzyskania niepodległości Litwy (Vytautas Kubilius) i o „regionalizmie wileńskim” (Stanisław Burkot); o stosunku Mickiewicza do narodu litewskiego (Arnoldas Pirockinas) i Mickiewiczowskiej koncepcji małej i dużej ojczyzny (Stanisław Dziedzic), czy inspiracjach mickiewiczowskich w literaturach środkowej Europy (Marian Tatara). Owe zestawienia, także w bardziej szczegółowych ujęciach interpretacyjnych, można by z powodzeniem kontynuować. Ukazują one jak płodna okazała się koncepcja „kontekstów”, zezwalająca na różnorodność spojrzeń na badany przedmiot, bez uciekania się do uproszczonych ideologicznych motywacji.

Tematyka konferencji objęła obszar rozległy: obok prac o tendencjach syntetycznych, ukazujących tradycję romantyczną w wielkich przekrojach czasowych, przedstawiono szereg referatów materiałowych, skupionych na nieznanych, lub mało znanych aspektach działalności twórców romantycznych; osobną grupę stanowiły prace interpretacyjne i analityczne. Istotne i ważne miejsce zajęły referaty traktujące o „pograniczach” literatury i innych sztuk. Omawiano w nich romantyczne inscenizacje Ferdynanda Ruszczyca i obecność romantycznego dramatu w teatrze wileńskim lat 1918-1922, romantyczny repertuar chóru „Echo” i w pasjonującym refe-

racie Fina – Matti Asikainen – mickiewiczowskie inspiracje w balladach Chopina. W tym nurcie należy umieścić również interesujący tekst Radosława Okulicza-Kozaryna o wpływie „Króla Ducha” na malarstwo Ciurlionisa.

Na znaczenie – pionierskie! – konferencji zwrócił uwagę występujący na jej otwarciu Rektor Uniwersytetu Wileńskiego, profesor Ronaldas Pavilionis, który wyraził nadzieję, że efekty spotkania będą nie tylko poznawcze, ale również – integracyjne, otwierające perspektywę dalszych wspólnych badań. W podobnym duchu wypowiadali się goście z Polski, wysoko oceniający atmosferę i organizację konferencji. Na uwagę zasługują, zwłaszcza, wypowiedziane w trakcie końcowej dyskusji, słowa profesora Jacka Kolbuszewskiego z Wrocławia: „W tej sytuacji, kiedy tak trudno porozumiewać się, kiedy jest tak dużo napięć politycznych i kontrowersji i wzajemnych pretensji..., z wypominaniem sobie różnych spraw z przeszłości, w takiej sytuacji spotkanie naukowe, w którym dostrzegamy wspólne elementy dziedzictwa, uważam za wydarzenie niezwykle doniosłe i ogromnie pożyteczne.”

Do szczególnie wzruszających składników konferencji należy zaliczyć list profesora Czesława Zgorzelskiego, który pierwszy zgłosił temat referatu, ale któremu wiek i zdrowie nie pozwoliły na przybycie. Osoba profesora Czesława Zgorzelskiego jest wszak łącznikiem między „dawnymi a nowymi laty” wileńskiej polonistyki!

To, że konferencja doszła do skutku i mogła przebiegać w warunkach odpowiadających jej randze i sprzyjać naukowemu skupieniu, Katedra Filologii Polskiej zawdzięcza z jednej strony życzliwości władz uczelni, z drugiej Fundacji Otwartej Litwy, wspierającej finansowo całą imprezę. Szczególnie wiele uznania należy się pierwszemu kierownikowi Katedry – docentowi Algisowi Kalédzie, Litwinowi, który studia polonistyczne ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim, autorowi cennych publikacji, tłumaczowi (m.in. prozy Brunona Schulza i „Doliny Issy” Czesława Miłosza). Przede wszystkim – pełnemu poświęcenia znakomitemu organizatorowi, którego inicjatywie zawdzięczamy pomysł i doprowadzenie do skutku konferencji. A także perspektywę jej dalszych naukowych ciągów.

Wilno, 31.I.1995 r.

Tadeusz BUJNICKI

O prasie literackiej po 1989

Rok 1989 był bez wątpienia przełomowy, także jeśli chodzi o rozwój polskiej prasy literackiej i społeczno-kulturalnej. Do tego czasu można zasadnie mówić o czterech grupach czasopism. Pierwszą – o największej ilości nakładu i najszerzym odbiorze – tworzyły oficjalne czasopisma podporządkowane całkowicie (choć często usiłujące „wierząc na oścień”) temu, co nosiło nazwę „polityki kulturalnej socjalistycznego państwa”, takie więc jak *Twórczość*, *Dialog*, *Literatura*, *Życie Literackie* czy *Odra*. Wiele z nich w okresie wprowadzenia stanu wojennego zapłaciło dość słąną cenę za wznowienie ich wydawania po zawieszeniu wszelkich czasopism – tak było np. z *Twórczością*, której redakcja zamieściła anons odcinający się od uznanych za „zdrajców” swych kolegów Zdzisława Najdera i Wojciecha Karpińskiego (o ile wiem, dotychczas, przynajmniej publicznie, nie odwołano tych hańbiących osądów). Drugą grupę tworzyły też oficjalnie wydawane, lecz mniej lub bardziej wobec polityki komunistycznej opozycyjne pisma katolickie – przede wszystkim *Tygodnik Powszechny*, *Więź* i *Znak* lecz także *W Drodze* i szereg innych. Ta grupa w stanie wojennym uległa wzmocnieniu – dość przypomnieć reaktywowanie takich pism jak *Przegląd Powszechny* czy *Powściągliwość i Praca*, a także powstanie szeregu nowych tytułów. To one przede wszystkim tworzyły w kulturze lat osiemdziesiątych obszar „szarej strefy”, tu też znajdowali zatrudnienie ludzie pióra, którzy utracili swe posady – a często, wraz z posadami, ochoczo zegnali się z obowiązującą ideologią deklarując, nieraz w żenująco demonstracyjny sposób, swe przywiązanie do światopoglądu katolickiego. Trzecią grupę tworzyła sieć periodyków wydawanych poza zasięgiem cenzury, już dość rozbudowana przed rokiem 1980, po wprowadzeniu stanu wojennego jeszcze bardziej dynamicznie się rozwijająca: tu warto wspomnieć o *Zapisie*, *Pulsie*, *Krytyce*, *Wezwaniu*, *Arce*, *Obecności* czy *Bez Debitu*. Czwarta wreszcie to grupa czasopism emigracyjnych, zarówno mających swą wieloletnią tradycję, jak *Kultura* czy *Aneks*, oraz nowych, tworzonych już przez emigrację „solidarnościową” – *Zeszyty Literackie*,

Kontakt, *Archipelag* lub przeniesiony z kraju *Puls*. Lecz już w połowie lat osiemdziesiątych sytuacja z wolna zaczęła ewoluować. I tak na przykład po budzących dość żywe dyskusje zabiegach zaczyna się ukazywać „pod cenzurą” niedawne czasopismo „podziemne” – redagowana przez Marcina Króla *Res Publica*. Część pism emigracyjnych przedrukowywana jest w kraju w drugim obiegu. Zaczynają się zabiegi o powstanie w obiegu oficjalnym nowych tytułów – tak było z redakcją *Po Prostu*, która wreszcie rozpoczęła swoją działalność. Bez wątpienia też schyłek lat osiemdziesiątych to czas, w którym – jeszcze przed rozmowami „okrągłego stołu” – daje się zauważyć zwiększenie wielogłosowości w kulturze, w tym także ostrożne badanie możliwości ukształtowania bardziej liberalnego modelu funkcjonowania prasy oficjalnej. W tym czasie powstaje też ważne zjawisko – w „drugim obiegu” pojawiać się zaczynają podziemne czasopisma „drugiej generacji”: tu wymienić trzeba takie tytuły jak *brulion* czy *Czas Kultury* – polemicznie nastawione nie tylko wobec tego, co oficjalne, lecz także wobec modelu kultury opozycyjnej. Ale także w tym okresie – podobnie jak w poprzednich – funkcjonuje ledwie kilka silnych ośrodków prasowych – przede wszystkim Warszawa, także Kraków, Wrocław i Poznań.

Wraz ze zmianami politycznymi następuje okres dość chaotycznych poszukiwań nowego sposobu funkcjonowania, próby stworzenia pism niezależnych, lecz zarazem funkcjonujących już w innych warunkach. Część tytułów „wychodzi z podziemia” – niektóre z oporami, inne ochoczo. Szereg spośród nich kończy swą działalność. Niektóre, mimo kłopotów finansowych – spowodowanych m.in. powolnym odcinaniem dotacji z Zachodu – przetrwały: do nich należą przede wszystkim *brulion*, *Czas Kultury*, *Krytyka* i *Arka*. Do kraju przenoszą się redakcje niektórych pism emigracyjnych – tak dzieje się w przypadkach *Pulsu*, *Zeszytów Literackich*, *Kontaktu* czy berlińskiego *Poglądu*, przy czym, poza *Zeszytami Literackimi*, żadne z nich nie przetrwało. Wreszcie powstają nowe tytuły – takie jak *Potop*, *Tygodnik Literacki*, *Po Prostu*, *Dekada Literacka*, z których większość nie jest w stanie utrzymać się w nowych warunkach finansowych: tym bardziej, że załamuje się kompletnie sieć kolportażu. Załamuje się także – na skutek gwałtownego ubożenia – rynek czytelnicy: środowiska inteligenckie, tradycyjnie kupujące po kilka czasopism, nie są już w stanie ponosić

takich wydatków. Wszystko to decyduje o niemożności odbudowania dość znaczącej, zwłaszcza przed rokiem 1981, i relatywnie bogatej sieci kulturalnej prasy tygodniowej – tym bardziej, że zmienia się też jej model, zaczynają się pojawiać interesujące pisma odwołujące się do wzorca *Der Spiegel* czy *Time*, kolorowe magazyny wypierające z rynku pisma oparte na wzorcu przedwojennych *Wiadomości Literackich* – tu przykładem sukcesu może być *Wprost*. W tej chwili jednak nie należy chyba jeszcze przesądzać tego, jak się w tej dziedzinie sytuacja rozwinie w przyszłości. Niewątpliwie bowiem i tutaj, podobnie jak w innych dziedzinach życia, nowe struktury jeszcze się nie wykształciły, mamy do czynienia z sytuacją dość płynną. Istotne wydaje się dążenie do rozbudowywania działów kulturalnych w pismach codziennych, które coraz częściej tworzą własne dodatki (*Gazeta o Książkach*, *Ex Libris* wydawany przy *Życiu Warszawy*) – one też wyraźnie nastawiają się w wydaniach weekendowych na odgrywanie roli tygodników. Przy czym cechą charakterystyczną jest, jak się zdaje, redukowanie działów kulturalnych w publikacjach codziennych – tu warto rzecz porównać np. z prasą niemiecką, gdzie dział te przynoszą teksty ambitniejsze niż tylko noty dotyczące kultury: małe szkice, rozbudowane recenzje. Spośród tygodników już wcześniej odgrywających istotną rolę na rynku czytelnictwa ocalały właściwie tylko dwa – *Polityka* (wraz z comiesięcznym dodatkiem *Polityka-Kultura*), oraz *Tygodnik Powszechny*. O swój byt walczyły jesienią 1994 *Dekada Literacka*, która po zawieszeniu swej działalności – powstał – także wychodzący jako dwutygodnik – poznański *Nowy Nurt*. Ostatnio na rynku ukazały się dwa pisma subsydiowane z kasy państwowej – tygodnik *Wiadomości Kulturalne* (na skutek osobliwej, delikatnie rzecz ujmując, formuły jego powołania, bojkotowany przez liczne środowiska) oraz dwutygodnik *Sycyna*. O ile jednak *Wiadomości* reprezentują poziom dość przeciętny, *Sycyna* staje się – sądząc po dotychczasowych kilku numerach – pismem dość ambitnym, adresowanym przede wszystkim do czytelnika prowincjonalnego po maturze.

Rzecz w tym jednak, że w życiu kulturalnym kraju powoli zmienia się znaczenie pojęcia prowincji. Zapewne nigdy po wojnie nie widać było tak silnego ruchu decentralizacyjnego w kulturze. Ruch powołujący nowe periodyki kulturalne jest tu zapewne najsilniejszym, najbardziej wyrazistym

wskaźnikiem tych tendencji. Chodzi tu przede wszystkim o kwartalniki, często ukazujące się nieregularnie, choć zdarzają się pisma – jak poznański *Arkus*, który wyłonił się z comiesięcznego dodatku do *Gazety Wielkopolskiej* – wychodzące częściej. Wszystko są to pisma o stosunkowo niewielkich nakładach i dość trudno dostępne, na ogół w wyspecjalizowanych księgarniach. Wszystkie uzależnione są finansowo od dotacji. I tak na przykład na wydawanie gdańskiego *Tytułu*, chełmskich *Kresów Literackich*, bydgoskiego *Kwartalnika Artystycznego*, szczecińskich *Pograniczy* czy ostrołęckiej *Pracowni* łożą lokalne urzędy kultury – ta tendencja zdaje się narastać. Jedno nie ulega wątpliwości – ruch czasopiśmienniczy jest dość żywy i w gruncie rzeczy trudny do pochwylenia. Być może istnieje ośrodek prasoznawczy, który jest w stanie ogarnąć jego dynamikę, jednakże przeciętny uczestnik kultury w Polsce ma o nim stosunkowo niewielkie wyobrażenie. A jest to ruch o tyle istotny, iż zaświadcza dość ważny proces, jakim jest rekonstrukcja lokalnej tożsamości – dość interesująco obrazuje to biuletyn literacki *Łobezia* wydawany w ok. 200 egzemplarzach w małym miasteczku Łobez: piśmisko korzysta często z przedruków, niemniej widać w nim wyraźną tendencję do odbudowania tradycji lokalnej i wykreowania jakiegoś lokalnego patriotyzmu. Przy czym to, co w Łobezie widoczne jest na skalę stosunkowo niewielką, zyskuje już szerszy i bardziej uniwersalny wymiar w Olsztynie – wydawany tu kwartalnik *Borussia* próbuje stać się ośrodkiem myślenia wielokulturowego, zajmuje się wielonarodową tradycją tych ziem, otwarty jest na dialog z innymi, przede wszystkim z Niemcami.

I tu warto zwrócić uwagę na inne zjawisko – szereg tych pism publikuje stosunkowo wiele przekładów, w tym spory ich odsetek to tłumaczenia z niemieckiego (tak dzieje się nie tylko w *Borussi*, ale także w *Tytuł*, gdańskich *Przedprożach*, wrocławskiej *Odrze* czy poznańskim piśmie *W zmo*), co jest o tyle istotne, iż wbrew pozorom znajomość zwłaszcza najnowszej literatury niemieckiej jest w Polsce dość wyrwykowa. Jednakże sama sprawa otwarcia na inne języki kultury ma bez wątpienia istotne znaczenie: tu bodaj największe dotąd zasługi mają lubelskie *Kresy*, z pewnością jedno z najambitniejszych pism, jakie się obecnie ukazują. Na pewno jednak brakuje ciągle upowszechnienia najnowszych tendencji w literaturach naszych wschodnich sąsiadów, lecz jeśli ich wykładnią ma być to, co opublikowane zostało w „rosyjskim”

numerze *Literatury na Świecie*, to nie sędzę, by było czego specjalnie żałować: to z pewnością zjawiska interesujące, jednakże do tego by je uznać za wybitne jeszcze daleko. Jeszcze gorzej rzecz wygląda, gdy chodzi o prezentację literatury powstającej za południową granicą Polski.

Najbardziej interesująca wydaje się grupa pism redagowanych przez przedstawicieli środowisk młodolite-rackich, choć od razu trzeba podkreślić, że kategoria młodości jest tu przyjmowana umownie, dotyczy przede wszystkim ludzi w okolicach trzydziestego roku życia. Od razu wspomnę, że ukazuje się też szereg czasopism – na ogół będących efemerydami – wydawanych przede wszystkim przez młodzież różnych ośrodków akademickich – te na ogół są jednak trudno dostępne. Spośród tych, które zdobyły już sobie miejsce na rynku literackim, wymienić trzeba poznańskie *Czas Kultury* i *Nowy Nurt*, warszawski *Ogród* i (przynajmniej ze względu na tradycję) krakowski *bruLion*. Najbardziej skryształizowaną postawę ma *Ogród* – z wyraźnym programem odwołania się do baroku. Pozostałe to przede wszystkim pisma, które najchętniej określiłbym jako prowokacyjne: ich cechą charakterystyczną jest bunt przeciw zastanym hierarchiom w kulturze, atakowanie „salonów” (na ogół określanych jako „warszawka”, choć w Poznaniu można też mówić o sprzecznie wobec „akademickości”), przy jednoczesnym nikłym dość wysiłku zmierzającym do ustanowienia jakiejś hierarchii własnej. Można przypuszczać, że w ogóle układ hierarchiczny w kulturze – dotyczy to także hierarchii wartości – młodych nie interesuje. Sytuują się w przestrzeni „wolności”, w której „wszystko wolno” – tu przypadek *bruLionu* wydaje się najbardziej charakterystyczny, choć także z biegiem czasu zaczyna się krystalizowanie jeśli nie postaw, to jakiegoś klimatu oporu wobec tego, co uznawane jest za wpływ „lewicy”. Do tej grupy czasopism zaliczyć dotąd dwa numery tego kwartalnika, bez wątpienia ambitnego, wszakże mającego jeszcze zbyt mały dorobek, by można było się kusić o jego ocenę: ma – przynajmniej w deklaracji – reprezentować zdynamizowaną, otwartą myśl katolicką. Wszystkie te pisma – poza *Ogrodem* – nie stronią też od prowokacji obyczajowej oraz, jak bym to nazwał, towarzyskiej. Nie wydają się czytelne w swych dążeniach zarówno artystycznych i ideowych, co nie znaczy, że nie można w nich odnaleźć szeregu interesujących – choć wówczas na ogół

tłumaczonych z innych języków – tekstów. Ambitne zamiary przyświecają natomiast wydawanemu w Sopocie *Toposowi*, pismu, które sporo miejsca poświęca problemom kultury ekologicznej.

Kilka pism tworzy grupę o bardziej sprecyzowanym obliczu. Tu przede wszystkim zaliczyć trzeba olsztyńską *Borussię* oraz lubelskie *Kresy* i *Akcent*, dwa pisma śląskie – *Fa-Art* oraz *Opcje* (tu wyraźne jest odwołanie do doświadczeń awangardowych), krakowski *NaGłos* (przedłużenie „gazety mówionej” lat osiemdziesiątych), ostrołęcką *Pracownię*, gdański *Tytuł*. Pisma te za jedno ze swych głównych zadań uznały odbudowę regionalnej tożsamości kulturalnej i trzeba przyznać, że wywiązują się z niego w sposób budzący nadzieję na to, iż doprowadzą w końcu do rekonstrukcji lokalnych elit. W szczególności na uwagę zasługuje tu odbudowa struktur życia kulturalnego Śląska (tu warto przy okazji zwrócić uwagę na świeży, z poczuciem humoru, ale też ze smakiem prowadzony program telewizyjny Kazimierza Kutza) – zwiększa się w tym regionie dynamika życia akademickiego: obok Uniwersytetu Śląskiego, posiadającego co prawda nie najlepszą opinię z przeszłości, lecz dziś wyraźnie zmieniającego swe oblicze, powstał też Uniwersytet w Opolu: dwa wspomniane pisma zaświadczały zachodzące przemiany.

Przy czym rzecz nie dotyczy już tylko ruchu czasopiśmienniczego. Przy takich periodykach jak *Fa-Art*, *Kresy*, *Czas Kultury*, *Borussia*, *Pracownia* czy *Ogród* powstają powoli serie wydawnicze. W większości publikowane są tu tomiki poetyckie, lecz pojawiają się także i inne książki. To tendencja warta troski, warto ją wzmacniać i można mieć nadzieję, że kształtujący się dopiero system dotacji, w szczególności angażujący firmy lokalne, pomoże w jej rozwoju.

Wspomnieć na koniec należy o grupie pism specjalistycznych, takich jak *Teksty Drugie*, *Notes Wydawniczy* czy *Nowe Książki* – bez wątpienia będzie ich przybywało.

Powyższe uwagi to tylko wstępne rozpoznanie tego, co dzieje się w ruchu czasopiśmienniczym w ciągu ostatnich kilku lat. Całość jest niemal nie do ogarnięcia – wiele tytułów trudno odnaleźć. Jedno nie ulega wątpliwości – na dynamikę tego ruchu nie można narzekać. Boryka się on z ogromnymi trudnościami zarówno finansowymi jak i kolportażowymi. Widać jednak, że coraz częściej – choć wciąż jeszcze zbyt rzadko, czego dowodzą doświadczenia *Borussi* i *Dekady Literackiej* – władze lokalne i samorządowe potrafią zroz-

mieć wagę inwestowania w kulturę na swoim terenie. Zarazem jednak odczuwa się coraz silniej brak jakiegoś centrum, pisma, które by pełniło rolę ogólnopolskiego ośrodka opinio-twórczego. Z drugiej jednak strony: czy rzeczywiście takie pismo jest dziś potrzebne? Może właśnie owa wielogłosowość stanie się w przyszłości naturalnym stanem skupienia życia kulturalnego? Trudno o tym przesądzać. Niezależnie jednak od tego, jak się będzie rozwijać sytuacja w tej dziedzinie, należy z całą mocą podkreślić, iż obecna kondycja materialna nie pozwala polskiemu inteligentowi być aktywnym współ-uczestnikiem owej wielogłosowej przestrzeni kultury. Jeżeli nawet uniwersytety nie są w stanie prenumerować wszystkich najważniejszych pism ukazujących się w kraju, wówczas mówić trzeba nie o wielogłosowości, lecz o atomizacji życia kulturalnego. A to jest bez wątpienia zjawisko groźne, któremu należy już dziś zacząć przeciwdziałać.

Leszek SZARUGA

KOMUNIKAT POLCUL FOUNDATION

W dniu 3.3.1995 Fundacja przyznała dalszych 14 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy i przyjaźni z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Kazimierz BEŁC – za organizowanie grup terapeutycznych Anonimowych Alkoholików w zakładach karnych;

Alfred BORKOWSKI – za pracę społeczną oraz rozwój służby zdrowia na terenie Ciechanowa;

Maria DRUŻKOWSKA-PAŁUBA – za pracę społeczną wśród pacjentów zakładów psychiatrycznych;

Tadeusz GAWIN – za działalność na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej;

Barbara KARACZYŃSKA – za pracę rehabilitacyjną wśród narkomanów i chorych na AIDS;

Ks. Tomasz KRÓL – za pracę społeczną z młodzieżą na terenie Ursynowa w Warszawie;

Tadeusz MALEWICZ – za działalność na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej;

Ks. Jan MIKOS – za organizowanie schronisk dla starych samotnych ludzi ze wsi;

Sylwester OSTROWICKI – za pracę społeczną i obywatelską na terenie Helu;

Tadeusz PARNOWSKI – za pracę społeczną na rzecz ofiar choroby Alzheimera;

Wanda POMIANOWSKA – za działalność obywatelską na terenie Kielecczyzny;

Urszula RADWAŃSKA – za pracę dla ratowania dzieci chorych na raka kwi;

Anna SADOWSKA – za działalność na rzecz współpracy polsko-białoruskiej;

Izabela TYRKIN – za działalność na rzecz współpracy polsko-białoruskiej.

Poszczególne wyróżnienia noszą imiona ofiarodawców-fundatorów:

– 7 wyróżnień – im. Ireny i Karola Dowoyna-Sylwestrowicz;

– 4 wyróżnienia – im. Eudoksji Rakowskiej;

– 3 wyróżnienia – im. Krystyny i Bolesława Singler.

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień i sposobu zgłaszania kandydatów można uzyskać od Fundacji lub jej przedstawicieli w Polsce.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja
Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Książki

Antologia dramatu emigracyjnego

Dramaturgia dość długo należała do najmniej znanych dziedzin polskiej literatury emigracyjnej powstałej w latach 1939-1989. Dość powszechne było przekonanie, że poza „Ślubem” i „Operetką” Gombrowicza oraz utworami Mrożka powstałymi na Zachodzie, ale na ogół publikowanymi i wystawianymi w kraju, nie powstały na emigracji wybitne, czy chociażby godne uwagi dramaty. Próba zmiany tego stanu rzeczy jest opracowana przez Dobrochnę Ratajczakową z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu antologia dramatu emigracyjnego z lat 1939-1969¹. Opasły tom przynosi oprócz dwunastu sztuk poprzedzonych notami biograficznymi autorów i lakonicznymi uwagami o utworach, ich edycjach i dziejach scenicznych, obszerny wstęp Dobrochny Ratajczakowej. Antologia przedstawiana jest jako pierwsza próba „kompleksowej prezentacji emigracyjnego dramatu” a wstęp do niej jako próba „możliwie pełnego ujęcia tego zjawiska”.

W swym szkicu Dobrochna Ratajczakowa omawia sytuację dramatopisarza na emigracji, trudności jakie napotykał przy publikacji sztuk czy też próbach ich wystawiania w emigracyjnych teatrach londyńskich. Zachowawczość i tradycjonalizm londyńskiego środowiska tłumaczy „kompleksem Anchizesa”, ojca Eneasza wyniesionego przez niego z Troi, potrzebą ocalenia polskość na wychodźstwie. Emigracyjny teatr, podobnie jak grywany w nim dramat, pełnił jej zda-

niem „funkcje wspólnotowo- i tożsamościowotwórcze”. Dlatego też z ogromnymi oporami przyjmowano jakiekolwiek próby rewizji polskość lub też krytyki emigracyjnych zachowań czy mentalności. Zdaniem Dobrochny Ratajczakowej najwybitniejsze dramaty powstały bez myśli o scenach londyńskich a dominujące na nich utwory Mariana Hemara, Wiktora Budzyńskiego, Edwarda Chudzyńskiego czy Romana Kiersanowskiego miały charakter „służebny” i nie przedstawiają istotniejszych walorów.

Z tego powodu antologia nie jest „wyborem tekstów najbardziej reprezentatywnych dla uchodźczego teatru, zbiorem przebojów i sztuk o szczególnym rozgłosie” (jak np. „Displaced Person” Budzyńskiego, „Sami swoi” Pietrkiewiczza, „Noc w Alicante” Kiersanowskiego czy „Piękna Lucynda” Hemara), lecz „przeciwnie – jej trzon stanowią dzieła powstałe na marginesie tego teatru”. Zaledwie dwie sztuki umieszczone w antologii – „Pierwiastek z minus jeden” Hemara i „Waiting-room” Budzyńskiego – wystawione były w londyńskich teatrach polskich. Dwa dramaty pisane wręcz były z myślą o scenach angielskich („Scena ma trzy ściany” Pietrkiewiczza i „Kość w gardle” Themersona). Pozostałe, choć opublikowane na emigracji, nie wzbudziły zainteresowania tamtejszych teatrów i na ogół swe prapremiery miały w kraju. Do grupy tej należą tak różne utwory jak „Ślub” Gombrowicza, „Towarzysz Październik” Wierzyńskiego, „Czarny piasek” Bobkowskiego, „Chrabąszcze” Pankowskiego oraz „Die Alte Garde” Lurczyńskiego, „Anita” Niemojewskiego, „Czas pojednany” Przyłuskiego i „Dzień Dominika” Sowińskiego.

W antologii znalazły się więc przede wszystkim utwory, które mogą zainteresować współczesnych czytelników lub ludzi teatru ze względu na podjęty temat, stylistykę, ton, lub rangę pisarza. Poza „Ślubem” Gombrowicza, który mógł być z powodzeniem pominięty, są to rzeczywiście sztuki mało znane a często zasługujące na trwałą pozycję w dziejach polskiego dramatu. We wstępie do antologii Dobrochna Ratajczakowa zapowiada powstanie syntezy emigracyjnej dramaturgii, ograniczając się jedynie do wyliczenia najbardziej znaczących autorów i tytułów sztuk oraz dość dyskusyjnego ich pogrupowania podług przejawiającego się w nich *sacrum* „chrześcijańskiego”, „narodowego” i „człowieczego”.

Kolejnym krokiem przybliżającym do powstania zapowiadanej historii dramatu emigracyjnego jest wydana ostatnio

1. „Polski dramat emigracyjny 1939-1969”. Antologia. Wybór i opracowanie Dobrochna Ratajczakowa. Lector, Poznań 1993, ss.892.

książka gromadząca materiały z sesji poświęconej teatrowi i dramatu tworzonemu poza krajem w latach 1939-1989². W tomie tym uderza znaczna ilość analiz utworów umieszczonych przez Dobrochnę Ratajczakową w antologii. Szczegółowych omówień doczekały się bowiem sztuki Lurczyńskiego, Przyłuskiego, Bobkowskiego, Themersona, Niemojewskiego, Sowińskiego i Pankowskiego. W stwierdzeniu, że antologia Dobrochny Ratajczakowej już przyczyniła się do uformowania pewnego kanonu emigracyjnego dramatu, nie ma więc chyba zbyt wiele przesady.

R.W.

Gorzka prawda

Dr Wiktor Poliszczuk, prawnik i politolog, opublikował własnym nakładem obszerną pracę w języku ukraińskim, która „ma przyczynić się do prawdziwie dobrosąsiedzkich stosunków między narodami ukraińskim i polskim”.

„Gorzka prawda. Zbrodniczość OUN-UPA – spowiedź Ukraińca” jest pracą dramatyczną i tragiczną. Przypomina straszliwe wydarzenia z niedawnej przeszłości: masowe mordy, w następstwie których dla Polaków Ukraińcy to „rezuny”. Autor chce wykazać, że nie cały naród, a tylko nieznaczna część zhańbiła się działalnością prowadzoną pod hasłami integralnego nacjonalizmu.

Autor, prawosławny Ukrainiec, syn rolnika spod Dubna, urodził się w 1925 r. W 1940 r. został wywieziony z matką i siostrami do Kazachstanu, skąd w 1944 r. dostał się na teren sowieckiej Republiki Ukraińskiej. W 1946 r. ewakuował się do Polski na podstawie dokumentów stwierdzających, iż

2. „Teatr i dramat polskiej emigracji 1939-1989”. Praca zbiorowa pod redakcją Izoldy Kiec, Dobrochny Ratajczakowej, Jacka Wachowskiego. Wydawnictwo Acarus, Poznań 1994, ss. 292.

matka jest rdzenną Polką wyznania rzymskokatolickiego. W Polsce ukończył studia uniwersyteckie, pracował w prokuraturze wojewódzkiej we Wrocławiu, a następnie jako adwokat. W 1981 r. wyemigrował do Kanady, gdzie wszedł w środowisko ukraińskie, w którym spotkał wielu rzeczników, przywódców, członków i zwolenników nacjonalistów z OUN, UPA i wszystkich odłamów.

Praca o objętości 480 stron składa się z trzech części: 1. Zbrodniczość ukraińskich organizacji nacjonalistycznych, 2. Zbrodnie Ukraińskiej Powstańczej Armii, 3. Groźba odrodzenia ukraińskiego nacjonalizmu. Autor zaznacza we wstępie, że praca jest publicystyczna, ale jednocześnie naukowa, dydaktyczna i popularna, dostępna dla wszystkich.

Praca opiera się na publikacjach polskich o różnych akcjach ukraińskich formacji oraz na wspomnieniach i raportach ukraińskich. Nie jest to w pełni dzieło naukowe, autor nie zbadał bowiem dokumentacji archiwalnej. Poliszczuk dowodzi m.in. iż polityka i działalność dowódców organizacji nacjonalistycznych skierowana przeciwko Polakom służyła jednocześnie Niemcom. Celem autora jest jasne, otwarte przedstawienie oblicza OUN-UPA i pokrewnych formacji, ujawnienie prawdy, co – jak myśli – pozwoli na polepszenie stosunków między obu narodami. Nie chodzi dziś o ściganie i karanie winnych, natomiast Ukraińcy powinni wyraźnie i oficjalnie przyjąć winę za zbrodniczą działalność pewnej części swojego społeczeństwa. Takie oświadczenie wraz z wyrazami żalu stworzy platformę dla dobrosąsiedzkiego współżycia.

Polemizując z wywodami poszczególnych nacjonalistów ukraińskich, określających Polskę jako piekło, wskazuje, że w Berezie Kartuskiej nie zginął jednak ani jeden Ukrainiec, że przywódcy terrorystycznych organizacji z Banderą na czele zostali zwolnieni z wybuchem wojny a nie zamordowani. Ale w Polsce (PRL) w obozie Jaworzno znęcano się nad Ukraińcami – więźniami, wobec których stosowano metody bolszewickie i sowieckie. Obecnie jednak Ukraina jest wolnym i samodzielnym państwem tak jak Polska, musi więc budować system demokratyczny umożliwiający włączenie się do Zachodu.

B.H.

Nadeślane nowości wydawnicze

- BIERNACKI (Andrzej). *Sztambuch romantyczny*. Str. 444 i 20 nlb. + ilustracje. (Wyd. Literackie, Biblioteka Romantyczna, Kraków 1994).
- KARBOWSKA (Jadwiga). *Z Mickiewiczem na ty*. Str. 290 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1994).
- BABEL (Izaak). *Portret własny*. Opowiadania w przekładzie Jerzego Pomianowskiego. Str. 368. (Wyd. Pomorze, Bydgoszcz 1994).
- JAN PAWEŁ II. *Przekroczyć próg nadziei*. Papież odpowiada na pytania Vittoria Messoriego. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Instytut Jana Pawła II, Lublin 1994).
- Lista do Pierwszych Sekretarzy KC PZPR (1944-1970)*. Wybór i opracowanie Józef Stępień. Str. 280. (Wyd. FAKT, Warszawa 1994).
- SZARUGA (Leszek). *Klucz od przepaści*. Poezje. Str. 84 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1994).
- SZARUGA (Leszek). *Wobec totalitaryzmu: kostium kościelny w prozie polskiej – wobec cenzury*. Str. 96. (Wyd. Ottonianum, Szczecin 1994).
- Opinia o filmie video „Ewolucja: rzeczywistość czy domniemanie”*. Str. 68 i 4 nlb. (Wyd. Komitet Biologii Ewolucyjnej i Teoretycznej PAN i T-wo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1994).
- Na przełęczu światów*. 150 ukraińskich baśni, gadek, humoresek i podań ludowych. Wybrał, przełożył i opracował Jan Mirosław Kasjan. Str. 438 i 2 nlb. (Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1994).
- KASJAN (Jan Mirosław). *Usta i pióro*. Studia o literaturze ustnej i pisanej. Str. 172 i 4 nlb. (Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1994).
- ZAMORSKI (Kazimierz), STARZEWSKI (Stanisław). *Sprawiedliwość sowiecka*. Wyd. trzecie. Str. 430 i 42 nlb. ilustracje. (Wydawnictwo Alfa-Wero, Warszawa 1994).
- KARPIŃSKI (Wojciech). *Fajka Van Gogha*. Str. 186 i 2 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).
- Władysław Strzemiński (1893-1952). Materiały z sesji w Muzeum Sztuki w Łodzi, 25-27 listopada 1993. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Muzeum Sztuki, Łódź 1994).
- Henryk Stażewski (1894-1988). *W setną rocznicę urodzin*. Praca zbiorowa. Str. 224 i 4 nlb. w tym reprodukcje i katalog dzieł. (Wyd. Muzeum Sztuki, Łódź 1994).
- KWIATKOWSKI (Maciej Józef). *„Tu mówi powstańcza Warszawa”... Dni Powstania w audycjach Polskiego Radia i dokumentach niemieckich*. Str. 738 i 2 nlb. (Wyd. PIW, Warszawa 1994).
- Rocco Buttiglione. *Doktorat honoris causa KUL 18 maja 1994*. Redakcja i opracowanie Jarosław Merecki SDS. Str. 94 i 10 nlb. w tym fotografie. (Wyd. Instytut Jana Pawła II, KUL, Lublin 1994).
- HOFFMAN (Eva). *Zagubione w przekładzie*. Z angielskiego przełożył Michał Ronikier. Str. 278 i 8 nlb. (Wyd. ANEKS, Londyn 1995).
- FŁORCZAK (Zbigniew). *Grypsy i reminiscencje (1968-1993)*. Str. 250. (Wyd. ANEKS, Londyn 1995).
- Propozycje konsystorialne w XVI wieku*. Omówienie i teksty polskie. Wydał Hieronim Fokciński wspólnie z pracownikami Instytutu. Str. 228.

- (Wyd. Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym 1994).
- MAZUR (Grzegorz). *Pokucie w latach drugiej wojny światowej*. Położenie ludności, polityka okupantów, działalność podziemia. Str. 206. (Wyd. Uniwersytet Jagielloński, Rozprawy habilitacyjne Nr 286, Kraków 1994).
- Współcześni polscy pisarze i badacze literatury – słownik bibliograficzny*. Tom trzeci G-J. Opracował zespół pod redakcją Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szałagan. Str. 470 i 2 nlb. (Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1994).
- MAREK (Franciszek Antoni). *Czy Polacy i Niemcy mogą zapomnieć o przeszłości?* (wydanie w języku polskim i niemieckim). Str. 66. (Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu, 1994).
- CONRAD (Joseph). *Nostromo*. Przełożył Jan Józef Szczepański. Str. 696. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).
- RÓŻEWICZ (Tadeusz). *Opowiadania*. Str. 760. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).
- FERENC (Teresa). *Wiersze*. Str. 104 i 2 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).
- CHRZANOWSKI (Tadeusz), KORNECKI (Marian). *Polskie pomniki w świątyniach Rzymu*. Str. 252, 156 ilustracji. (Wyd. Instytut Sztuki Polskiej PAN, Fundacja Rzymska im. J.S. Umiastowskiej, Warszawa 1994).
- KUKIEL (Marian). *Historia w służbie teraźniejszości i inne pisma emigracyjne*. Słowo wstępne, wybór i opracowanie Rafał Habielski. Str. 326. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1994).
- BŁOŃSKI (Jan). *Biedni Polacy patrzą na getto*. Str. 156. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994).
- PAKCIŃSKI (Marek). *Konserwatyzm na rozdrożu*. „Młodzi konserwatyści” warszawscy wobec ideowych dramatów schyłku XIX wieku. Str. 168. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1994).
- BURNS (Robert). *Zaledwie wczoraj*. Wiersze i pieśni. Wybór i przekład Jerzy R.S. Hebda. Str. 112. (Wyd. Caldra House Ltd., Hove, W. Brytania, 1995).
- WYSOCKI (Tadeusz A.). *24 Pułk Ułanów im. Hetmana Wielkiego Koronnego Stanisława Żółkiewskiego*. Str. 87. (Wyd. Muzeum Regionalne w Kraśniku i Stowarzyszenie Miłośników Kraśnika, Kraśnik 1994).
- MIECZKOWSKI (Romuald). *Podłoga w celi Konrada*. Wiersze. Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr”, Warszawa 1994).
- Anegdota i ciekawostki napoleońskie*. Zebrał i opracował Kazimierz Brodawka-Święcicki. Str. 44. (Wyd. Staszowskie Towarzystwo Kulturalne, Biblioteka Staszowska 43, Staszów 1994).
- MAMOŃ (Agata). *Sen z Jednorożcem*. Wiersze. Str. 44. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1994).
- SZCZYGŁOWSKI (Stefan). *Plot*. Wiersze. Str. 64. (Wyd. Śródmiejski Ośrodek Kultury, Oficyna Cracovia, Kraków 1994).
- NIEMIEC (Maciej). *Kwiaty akacji*. Poezje. Str. 82 i 2 nlb. (Wyd. W Drodze, Poznań 1994).
- SIWIŃSKA (Maria). *Ułam chwilę*. Poezje. Str. 52 i 4 nlb. (Wydawnictwo „Ja-Na”, Łódź 1994).
- BUDZIŃSKA (Bożena). *Matowe okno*. Str. 58 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Metafory, Agencja Wydawniczo-Poligraficzna Progres, Bydgoszcz 1994).
- BOJARSKI (Włodzimierz). *Więcej Polski*. Wydanie II uzupełnione. Str. 336. (Wyd. Inicjatywa Wydawnicza „Ad Astra”, Warszawa 1994).

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

3.2.95

Pierwszy tom dokumentów dotyczących zbrodni katyńskiej pochodzący z rosyjskich archiwów ukaże się jednocześnie w Warszawie i Moskwie w listopadzie br.

15.2.95

Zmarł w Warszawie w wieku 81 lat gen. Janusz Zarzycki, były przewodniczący Prezydium Rady Narodowej Warszawy.

16.2.95

W 77-mą rocznicę odrodzenia państwa litewskiego prezydent Litwy Algirdas Brazauskas odznaczył Czesława Miłosza Orderem Wielkiego Księcia Giedymina w uznaniu jego zasług dla kultury i nauki Litwy. Wśród odznaczonych znalazł się także litewski pisarz Tomas Venclova.

17.2.95

Zmarł w Warszawie w wieku 82 lat Miroslaw Żuławski, znany pisarz i dyplomata.

1.3.95.

Nowym ambasadorem Ukrainy w Warszawie został mianowany Petro Sardaczuk. Urodzony w 1938 r. na Wołyniu jest absolwentem Wydziału Historii na Uniwersytecie Lwowskim. Pracuje w służbie dyplomatycznej od 1986 r. Początkowo w sowieckim (jeszcze) konsulacie w Krakowie, a potem w niepodległej Ukrainie jako kierownik służby konsularnej. Przed nominacją do Warszawy był ambasadorem Ukrainy w Bratysławie. Jednocześnie konsulem generalnym RP we Lwowie został mianowany Tomasz Leśniuk.

2.3.95

W Bibliotece Narodowej w Warszawie odbyła się sesja naukowa poświęcona Kazimierzowi Wierzyńskiemu. W czasie sesji prof. Hutnikiewicz wygłosił referat „O życiu i twórczości Kazimierza Wierzyńskiego”, prof. Opacki „Wolność tragiczna Kazimierza Wierzyńskiego w perspektywie lat wojny”, p. Nasiłowska „O przełomie lirycznym Wierzyńskiego w latach 60-tych” i Paweł Kądziera „Dwa oblicza ‘Granicy świata’ Kazimierza Wierzyńskiego”. Wiersze poety recytował Gustaw Holoubek.

11.3.95

Nagrody *Przeglądu Wschodniego* za 1994 r. otrzymali *ex aequo* Daniel Beauvois (Paryż) i Władimir Djakow (Moskwa) w

kategorii dzieł autorów zagranicznych oraz *ex aequo* Piotr Eberhardt (Warszawa) i Andrzej Nowak (Kraków) w kategorii dzieł autorów krajowych.

13.3.95

Prof. Karolina Lanckorońska otrzymała medal Cracoviae Merenti. Medal wręczył prezydent Krakowa J. Lassota, kard. Franciszek Macharski i rektor UJ Aleksander Koj. Karolina Lanckorońska jest drugą po papieżu Janie Pawle II osobą, która otrzymała to wyróżnienie.

11.5.95

Uniwersytet Petersburski, Polskie Towarzystwo Historyczne, Rosyjskie Państwowe Archiwum Historyczne oraz Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe „Polonia” organizują międzynarodową konferencję naukową pt. „Polacy w Rosji – historia zesłań i deportacji”.

24.6.95.

W Warszawie ma się odbyć pierwsza światowa konferencja Polonii poświęcona zagadnieniom gospodarczym Polski i udziałowi Polonii świata w rozwoju gospodarczym kraju. Szczegóły o konferencji można uzyskać w komitecie organizacyjnym: 00-920 Warszawa, ul. Smolna 40, fax. 29 19 61.

ZACHÓD – EMIGRACJA

4.2.95

W Wiedniu odbyło się II Walne Zebranie Forum Polonii w Austrii. Prezesem został ponownie wybrany Mieczysław Ledóchowski.

24.2.95

Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało spotkanie z rzecznikiem praw obywatelskich prof. Tadeuszem Zielińskim. Prof. Zieliński mówił o prawie w procesie demokratycznych przemian w krajach postkomunistycznych oraz o granicach i możliwościach działania *Ombudsmana*.

1.3.95

Zmarł w Detroit (USA) w wieku 80 lat Mychajło Smyk. Przez 16 lat był redaktorem *Ukraińskich Visti*. Pismo to zostało założone przez wybitnego pisarza Iwana Bahrianego w Neue Ulm w Niemczech.

3.3.95

Tegoroczne nagrody Fundacji im. A. Jurzykowskiego otrzymali:

w dziedzinie medycyny – Andrzej Trzebski, profesor Wydziału Fizjologii warszawskiej Akademii Medycznej; w dziedzinie biochemii – Jack Hawiger, profesor szkoły medycznej Uniwersytetu Vanderbilta; w dziedzinie matematyki – Leszek Pacholski, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; w dziedzinie paleontologii – Zofia Kielan-Jaworowska, profesor Uniwersytetu w Oslo; w dziedzinie historii – Zofia Libiszowska, profesor Uniwersytetu Łódzkiego; w dziedzinie historii teatru i dramatu – Irena Sławińska; w dziedzinie literatury – Ryszard Kapuściński; w dziedzinie teatru – Janusz Głowacki, pisarz i dramaturg; za osiągnięcia kulturalne – Barbara Toruńczyk, założycielka i wydawca kwartalnika *Zeszyty Literackie*.

4.3.95.

Zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 99 lat Iwan Kedryn-Rudnickij. Przed wojną redaktor naczelny dziennika *Diło* we Lwowie, członek Komitetu Centralnego UNDO, sekretarz Związku Ukraińskich Pisarzy i Dziennikarzy we Lwowie. Po wojnie był przewodniczącym Związku Dziennikarzy Ukraińskich w Ameryce; członkiem redakcji dziennika *Swoboda* w Nowym Jorku, redaktorem miesięcznika *Ukraiński Kombatant*.

6.3.95

Zmarła pod Monachium w wieku 54 lat Barbara Kwiatkowska-Lass, gwiazda polskiego filmu w latach 50-tych i 60-tych. Od 1970 r. mieszkała w Niemczech. Była bardzo aktywna w środowisku polskim. Była pierwszą żoną Romana Polańskiego.

8.3.95

Towarzystwo Historyczno-Literackie i Wspólnota Polsko-Francuska zorganizowały odczyt p. Loïc Bouvard, wiceprzewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, przewodniczącego Zgromadzenia Północnoatlantyckiego pod tytułem: „Partnerstwo dla pokoju i rozszerzenie NATO”. ■ Znany tygodnik francuski *L'Express* podaje, że Jacques Delors w Parlamencie Europejskim oświadczył, że rozszerzenie Unii Europejskiej na kraje Europy Środkowej i Wschodniej będzie kosztowało dodatkowo 330 mld franków. Przy okazji Delors zapytał się, czy Niemcy, które są za rozszerzeniem Unii, zdają sobie sprawę ile to będzie kosztowało. ■ Zmarł w Sztokholmie Adam Heymowski, dyrektor Królewskiej Biblioteki Bernadotte'ów w Sztokholmie.

10.3.95

Stowarzyszenie Byłych Wychowanków i Przyjaciół INALCO zorganizowało odczyt p. Gillesa Galleta, attaché wojskowego ambasady francuskiej w Warszawie na temat „Pologne – doctrine militaire et contrôle des armées. Vers une dépolitisation de l'armée polonaise”.

11.3.95

Zmarł w Londynie w wieku 74 lat Edward Wojtczak, publicysta i fotograf, redaktor i wydawca miesięcznika *Fotorama*.

14.3.95

W *Journal Officiel* ukazał się dekret o przeniesieniu prochów Marii Skłodowskiej-Curie i jej męża, Pierre'a Curie, do Panteonu. Będą one złożone w krypcie „Grands Hommes de la Nation”. Maria Curie-Skłodowska będzie pierwszą kobietą pochowaną w Panteonie. ■ W Galerie du Forum Culturel w Le Blanc Mesnil otwarta została wystawa dzieł graficznych Henryka Tomaszewskiego i jego prac pedagogicznych.

17.3.95

W Centre du Dialogue w Paryżu ks. abp Ignacy Tokarczuk mówił o „Swoich przygodach z komunizmem”.

22.3.95

W Stowarzyszeniu Polskim w Genewie p. Jan Zieliński, radca kulturalny ambasady RP w Bernie, wygłosił odczyt pt. „Działalność poselstwa polskiego w Bernie w czasie wojny dla ratowania Żydów”. Ta działalność poselstwa uratowała kilka tysięcy obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. ■ W Centre du Dialogue w Paryżu Władysław Bartoszewski, Minister Spraw Zagranicznych R.P. wygłosił odczyt „Z doświadczeń i obserwacji pięćdziesięciolecia”.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne

oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

19 II 1995

W zeszytach 1/568-2/569 *Kultury* na stronie 215 czytamy: „Z okazji Światowego Dnia Poczty, Poczta Polska wydała jubileuszowy znaczek przedstawiający carskiego orła Romanowych z białym orłem na piersi. Głupota czy niedopatrzenie? Zapewne jedno i drugie. Czy nie było prościej wydać z tej okazji reprodukcję pierwszego znaczka polskiego, wydanego w niepodległej Polsce w 1919 r.”

Wzmiankowany wyżej znaczek, w kolorze niebieskim i różowym, wartości 10 kopiejek, był wydany w roku 1860 tylko dla Królestwa Polskiego. Ucieszył wszystkich Polaków w trzech zaborach, gdyż w ten sposób podkreślał odrębność Królestwa od reszty państwa rosyjskiego. Został wycofany w roku 1865. Był to jedyny znaczek polski aż do roku 1918. Dzięki niemu we wszystkich międzynarodowych katalogach filatelistycznych znalazła się „Polska”. W okresie tamtej niewoli to cieszyło.

Były cztery pierwsze znaczki polskie wydane po 11 listopada 1918 roku. W roku 1916 magistrat warszawski przygotował cztery znaczki dla własnej poczty lokalnej. Przedstawiały one: postać Zygmunta III z kolumny warszawskiej; syrenę; orła w koronie; pomnik Jana III z Łazienek. Władze niemieckie zabroniły ich wydania. W listopadzie 1918 wyszły z nadrukiem „Poczta Polska”.

Ogółem Polska niepodległa wydała 426 znaczków pocztowych, ostatni wyszedł w drugiej połowie sierpnia 1939 roku, upamiętniał „XXV rocznicę wymarszu ku wolności”.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku i poważania

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Montreal, 6 marca 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Od wielu lat prenumeruję *Kulturę* i widzę, że dobre artykuły i dobra krytyka pomagają ludziom w Polsce poprawić i polepszyć złą

sytuację w Kraju. Temat, który chcę tu poruszyć, jest szalenie ważny dla Polski i odpowiednio przedstawiony i przyjęty w kraju doprowadzi do polepszenia naszego przemysłu, tak, że produkty „Made in Poland” będą akceptowane na eksport, co da pracę bezrobotnym robotnikom i wyciągnie polski przemysł z obecnego zastoju.

Temat o którym piszę znam, jestem inżynierem i przez 35 lat pracowałem w przemyśle lotniczym w Anglii, Kanadzie i w USA, a od 1980 r. jestem konsultantem do międzynarodowego przemysłu w Canadian Executive Service Organization i byłem już na 52 pracach po całym świecie – Chiny, Indie, Tajlandia, Singapur, Polska (czterokrotnie) i wielu krajach Ameryki Płd. i Centralnej. Mój dwukrotny pobyt w fabryce samolotów WSK, PZL Mielec w 1990 i 91 r. doprowadził do tego, że wprowadziłem tam Zachodni System Jakości, co umożliwiło fabryce otrzymanie kontraktu od amerykańskiej firmy Boeing, którego przed wprowadzeniem tego Systemu dwukrotnie odmawiano. Problemem polskiego przemysłu i wielu innych dziedzin w Polsce jest brak Systemu Jakości, który gwarantuje dobrą jakość produktu, czy usług. Jest to niewątpliwie rezultatem prawie półwiekowej okupacji kraju przez komunizm. Do 1939 r. polski przemysł był producentem wysokiej jakości, np. Anglia kupiła od Polski armaty p. lotnicze, bo były lepsze i tańsze od szwajcarskich czy szwedzkich, samolot bombowy Łoś był najlepszym bombowcem w Europie. Podobnie było z innymi działami przemysłu, np. stalowy – Gerlach, włókienniczy, skórzaný, itd. Teraz wszystko jest produkowane tandetnie i Zachód na ogół nie kupuje polskich produktów. Polskie samochody Polonez i polskie Fiaty straciły rynek w Ameryce Płd. i Centralnej, a teraz nawet w Chinach, bo produkowano taką tandetę, że nikt ich nie chce kupować. Na wizytę Papieża w Polsce trzeba było kupić 3 helikoptery amerykańskie, mimo że Świdnik produkuje śmigłowce, ale ich niska jakość nie daje gwarancji bezpieczeństwa.

Z tej sytuacji jest jednak wyjście. Japonia była w 1950 r., podobnie jak Polska teraz, producentem tandety, ale byli mądrzy i zaprosili dwóch amerykańskich specjalistów Jakości – Dr. W. Deminga i J. Juranda, którzy przedstawili im System Jakości, nazywany teraz „Total Quality Management”. Dr Deming powiedział wtedy Japońskiemu Stowarzyszeniu Naukowców i Inżynierów: „Jeżeli przyjmiecie ten system, to za 5 lat Zachód będzie kupował wasz produkt, a jeżeli będziecie go dalej utrzymywać, to za 20 lat amerykański przemysł będzie żądał protekcji od waszego przemysłu”. I tak się stało – w końcowych latach 70-tych przemysł małej Japonii przekroczył jakościowo i ilościowo przemysł amerykański i europejski.

Przemysł USA po straceniu rynków zbytu, zamknięciu wielu fabryk i zwolnieniu milionów pracowników zdecydował przyjąć ten system T.Q.M. i w prawie 30 lat po Japonii zaprosili dr. Deminga na wykłady dla dyrekcji przedsiębiorstw i wprowadzili ten system z dobrymi rezultatami. Na przykład takie wielkie firmy jak Ford, General Motors, Xerox, AT&T wyciągnęły się z zastoju i świetnie pracują. Stany Zjednoczone i Kanada wprowadzają ten system

również w bankach, szpitalach, w instytucjach usług jak telefony, elektryczność itd. Aby wyciągnąć polski przemysł z tej tragicznej sytuacji, w jakiej się znajduje, trzeba wprowadzić system T.Q.M. jak najprędzej. W Polsce jest paru specjalistów Jakości, ale niestety nikt ich nie słucha. W spotkaniach z dwoma wiceministrami przemysłu w r. 1991 i 92 starałem się ich przekonać o konieczności wprowadzenia systemu T.Q.M., ale mimo że byli to bardzo mili i inteligentni panowie, nie potrafili zrozumieć konieczności wprowadzenia T.Q.M. – „przecież ZSSR był zadowolony z naszej jakości”, albo „co ja mogę zrobić?” A zrobić coś trzeba i to szybko, bo bez dobrego przemysłu Polska pozostanie biednym krajem, produkującym tandetę, której Zachód nie kupi. Bogactwem kraju, który nie ma ani ropy, ani złota, jest wydajna i dobra praca pracowników i dobry przemysł (np. Szwajcaria, Japonia).

Mamy w Kanadzie paru specjalistów, którzy mogliby dać w Polsce wykłady o T.Q.M. bezinteresownie, może nawet do spółki z polskimi specjalistami, aby rozpocząć pracę nad wprowadzeniem tego systemu. Potrzebna jest jednak przedtem odpowiednia akcja prasy, TV, radio, potem wykłady dla przemysłowców i inżynierów, aby dyrekcje fabryk zrozumiały ten system i dały całkowite poparcie do wprowadzenia go, co w rezultacie da pracę fabrykom i zatrudnienie bezrobotnym. Według międzynarodowych specjalistów przemysłu, tak jak wiek XX był wiekiem produkcji, tak wiek XXI będzie wiekiem jakości.

Pozostaję z głębokim szacunkiem

Leszek CHEŁMIŃSKI

14.2.1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Z niemałym zdumieniem przeczytałem w „Notatkach rosyjskich” Kruczka w styczniowo-lutowym numerze *Kultury* (str. 116), że „Opowieść o siedmiu powieszonych” napisana została przez Bunina. Zawsze pewny byłem (i w dalszym ciągu jestem), że autorem tego świetnego, wstrząsającego opowiadania jest Leonid Andriejew. Sprzeczać się z Kruczkim na temat literatury rosyjskiej? Na to trzeba niemało odwagi. Ale gra warta świeczki. Bo jeżeli ja mam rację, to byłby to sukces niezwykle, biorąc pod uwagę, komu oponuję. Dlatego piszę i proszę o stwierdzenie wyraźne: Kto jest autorem?

Prof. E.J. FEUERMAN

Prof. Feuerman ma rację. Autorem „Opowieści” jest Leonid Andriejew a nie Bunin. Przepraszamy za niedopatrzenie. REDAKCJA

Wrocław, 28 lutego 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Smecz, jak wiadomo, jest uderzeniem piłki szczególnie trudnym do odebrania. W grudniowej *Kulturze* Smecz popisał się zagranieniem szczególnie trudnym do zniesienia, zagrany przez Smecza smecz okazuje się zresztą bramką samobójczą. Jak autor dokonał tej – doprawdy interdyscyplinarnej – sztuki? W swoim tekście „Z ukosa” wspominał on książkę „Mickiewicz czyli wszystko”, zawierającą cykl przeprowadzonych przeze mnie rozmów z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem. Gdyby chodziło tylko o to, że uwagami swymi Smecz niebywale książkę splaya, to darowałbym sobie pisanie niniejszego sprostowania. Jednakże autor „Z ukosa” nieuczciwie przytacza jej fragmenty, tendencyjnie skracając cytaty. Ale to jeszcze nie wszystko. W jednym wypadku bowiem Smecz przypisuje Rymkiewiczowi zdania, które, owszem, znajdują się w książce, ich autorem jest przecież nie Rymkiewicz, lecz niżej podpisany. Zdania owe nie są przy tym zapisem moich uczuć, są natomiast fragmentem dokonywanej przeze mnie rekonstrukcji sposobu odczuwania Mickiewicza. Cóż, żeby odróżnić poglądy omawiane od sądów omawiającego te poglądy, do tego potrzeba, by tak to określić, myślenia ponadfietonowego. Ale żeby nie odróżnić inicjałów JMR od AP (jednym albo drugim kryptonimem rozpoczyna się w książce dosłownie każda wypowiedź)? Przecież do tego wystarczy zwykła znajomość alfabetu.

Braku tej znajomości, rzecz jasna, Smeczowi nie zarzucam. Spieszę mu jednak przypomnieć, że istnieje jeszcze coś, co można by nazwać abecadłem uczciwości.

Z poważaniem

Adam POPRAWA

Unionville, 11 lutego 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Jeszcze raz powracam do kontrowersji wokół zasług przypisywanych Waławowi Jędrzejewiczowi w dziele międzywojennej reformy szkolnictwa. Pogląd Piotra Wandycza (zeszyt 556/557 *Kultury*), że nazwisko Waław Jędrzejewicza „związało się z reformą szkolną Jędrzejewiczów”, niełatwo pogodzić z historycznymi faktami. Również stwierdzenie *Kultury* (ten sam zeszyt „Wydarzenia miesiąca”), że Waław Jędrzejewicz „jako minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przeprowadzał reformę oświaty” też niezupełnie odpowiada prawdzie. W pierwszej kolejności chciałbym przypomnieć, że Waław Jędrzejewicz objął stanowisko ministra WRiOP dopiero w 1934 roku, tj. w okresie kie-

dy główne prace związane z reformą (nazywaną później „reforma szkolną 1932 roku” bo w owym roku została ona przeforsowana w Sejmie) były na ukończeniu. W czasie swej stosunkowo krótkiej kadencji Wacław Jędrzejewicz otarł się wprawdzie o zagadnienia reformy i podpisywał rozporządzenia wykonawcze (do czego jeszcze powrócę), co jednak trochę za mało aby zaliczać go do współtwórców reformy. Jak dotąd, o ile mi wiadomo, nikt nie próbował podważać faktu, że głównymi autorami reformy byli Kazimierz Pieracki (w latach 1931-34 wiceminister WRiOP) i Janusz Jędrzejewicz (starszy brat Wacława, minister WRiOP w tym samym okresie). Kolejność w jakiej wymieniam powyższe nazwiska nie jest tu przypadkiem. Pieracki wziął mianowicie na siebie cały ciężar najtrudniejszej pedagogiczno-programowej części reformy, podczas gdy Janusz Jędrzejewicz zajmował się głównie jej polityczną stroną, prezentując reformę w Sejmie i przeforsowując ustawy ustrojowe. Wypowiedzi w tej sprawie miarodajnych świadków (J. Jędrzejewicz i W. Gątecki) cytowałem w moich poprzednich listach do Pana Redaktora. Często używane pojęcie tzw. „Ustaw Jędrzejewiczowskich” (co wcale nietrudno zastąpić „reformą Jędrzejewiczów” choć nie jest to uczciwe) odnosi się więc wyłącznie do Janusza i z Wacławem nie ma nic wspólnego. Godnym uwagi jest tu fakt, że również ustawy opracowane zostały pod kierownictwem Pierackiego i to, jak przyznaje Janusz, „w rekor-dowo krótkim czasie”. Pedagogiczna strona reformy zyskała opinię bardzo postępowej jak na owe czasy, co jest też głównie zasługą Pierackiego. Kontynuując mój wywód warto przypomnieć, że zarówno Pieracki jak i Janusz Jędrzejewicz mieli gruntowne rozeznanie w zagadnieniach pedagogiczno-oświatowych. Ich kariery przebiegały podobnie: nauczyciele, dyrektorzy seminariów nauczycielskich a następnie urzędnicy MWRiOP, dochodzący do najwyższych stanowisk. Sprawa miała się zupełnie inaczej z Wacławem Jędrzejewiczem. Nie miał on żadnego przygotowania do pracy w oświacie, nie mówiąc już o kwalifikacjach do kierowania reformami. W MWRiOP zainstalowany został z pomocą brata Janusza, gdy ten ostatni został premierem. Janusz zablokował kandydaturę Pierackiego jako swego następcy (wyznaczając go jedynie przejściowo na kierownika resortu) i dość długo „szukał następcy, co do którego mógłby mieć pewność, że dalsze prace (nad reformą W.M.S.) poprowadzi właściwie”. Tak przynajmniej widzi tę sprawę Wacław Jędrzejewicz w swoich niedawno wydanych „Wspomnieniach” (Ossolineum 1993). Nie ukrywa on przy tym, że jego nominacja wywołała konsternację i falę protestów. Przyznaje również, że jako minister nie był aprobowany przez kolejnych premierów i jedynie dzięki zakulisowym naciskom wpływowego brata Janusza mógł się utrzymać przez półtora roku. Powodów tych interwencji i argumentów Janusza Wacław nie wyjaśnia. Premier Kościółkowski, jeden z najbliższych przyjaciół Wacława, był ostatecznie zmuszony odwołać go ze stanowiska ministra, co nie jest najlepszym świadectwem jego przydatności w resorcie oświaty. Podobne opinie wyrazili inni. Przed zdymisjonowaniem Wacław

Jędrzejewicz zdażył jeszcze zwolnić wiceministra Pierackiego, którego – jak się wyrażał – „miał do pomocy”. Okoliczności w jakich Pieracki opuścił MWRiOP były skandalem szeroko komentowanym w ówczesnej prasie. Pół wieku później w swoich „Wspomnieniach” Wacław Jędrzejewicz pokrył zupełnym milczeniem rolę Pierackiego jako reformatora zbywając jego osobę jedynie paroma złośliwymi (i po części spreparowanymi) uwagami. Na fakty te zwróciłem uwagę Redakcji *Kultury* powołując się m.in. na reakcję córki Pierackiego. Dla wykazania na jakiej fikcji Wacław Jędrzejewicz budował swoje przyszłe „zasługi reformatora” wybrałem dwie jego wypowiedzi. Jedno ze swoich pierwszych spotkań służbowych z Pierackim opisuje on tak: „Był to naprawdę bardzo trudny człowiek przy wielkich swych zasługach, rzetelności i oddaniu pracy. Pierwsze krótkie spotkanie (a było ich wiele) miałem dość prędko po objęciu przeze mnie ministerstwa. Pieracki z dumą przedstawił mi do zatwierdzenia grube, oprawne tomy maszynopisu programu szkół powszechnych i gimnazjalnych. Była to olbrzymia, paroletnia praca kilkuset nauczycieli i urzędników, rezultat niezliczonych konferencji, narad, uzgodnień etc. Przestudiowałem te tomy – właściwie ani dodać, ani ująć, ani zmienić nic już nie mogłem, całość była już naprawdę gotowa. Podpisałem je przeto, ale poleciłem, by były to programy tymczasowe, które po paru latach doświadczenia zostaną jeszcze raz przejrane, ewentualnie zmienione i to będzie dopiero programem właściwym. Pieracki był tym bardzo dotknięty i czułem, że ma duży do mnie żal (...)”. Przy innej okazji Wacław Jędrzejewicz następująco komentuje stan swojego przygotowania do pracy nad reformą z tego samego okresu: „Wprawdzie rozumiałem zasady reformy, o której wiele się wówczas w Polsce mówiło i pisało, ale całość zagadnienia była mi obca, nigdy z oświatą nie miałem do czynienia poza studiami szkolnymi i uniwersyteckimi (...)”.

Nawet przy bardzo życzliwym podejściu do tzw. „reformy Jędrzejewiczów”, postępując przy tym na przekór logice i chronologii faktów, brak jest odpowiedzi na zasadnicze pytanie, mianowicie: co się stało z reformami Kazimierza Pierackiego? Prosiłbym Pana Redaktora o opublikowanie powyższego sprostowania. Może ktoś odpowie na to pytanie?

Z poważaniem

dr W.M. SZCZYGIELSKI

Wilmington, 1 marca 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

W interesującym esej Bogusława Włodawca: „Melchior Wańkowicz” znalazłam jedną wiadomość, która mnie zdumiała. Chciałabym sprostować zdanie, że Melchior Wańkowicz „utrzymy-

wał zażyłe stosunki towarzyskie z Mieczysławem Rakowskim". Byłam „blisko Wańkowicza” jego ostatnie trzy lata. Nigdy Wańkowicz nie odwiedził Rakowskiego, nie przyjął go w domu, nawet nigdy do niego nie zatelefonował. Wydaje mi się, że Autor eseju pomylił postać Rakowskiego z Michałem Radgowskim, przez wiele lat zastępcą redaktora naczelnego *Polityki*. Wańkowicz utrzymywał z nim stosunki towarzyskie (ale nie zażyłe, o czym piszę w swojej książce „Blisko Wańkowicza”). Radgowski przychodził od czasu do czasu by zagrać w szachy. W czasie tych wizyt Wańkowicz, mówiąc jego językiem, „wyciągał” od niego masę wiadomości bieżących. Na pewno nie były to „zażyłe stosunki”. Wańkowicz utrzymywał znajomości z ludźmi z przeróżnych ugrupowań, wynikało to z jego ciekawości. Szczególnie interesowali go ludzie o wyrazistej osobowości, wyrosli z innego pnia kulturowego, związani z różnymi prądami. Był ich ciekaw, nie odrzucał kontaktu, bliższej znajomości nawet.

Chciałabym jednak podkreślić, co słusznie zauważył Bogusław Włodawiec, że Wańkowicz był pisarzem, który na tle środowiska literackiego kraju i emigracji wyróżniał się niezależnością sądów, stylem pisarstwa i politycznym wizjonerstwem. Nieraz z powodu swojej niezależności był „na uboczu” (mimo wielkiej popularności wśród czytelników), na pewno na uboczu tzw. środowisk literackich, wśród których był wręcz niepopularny. Na przykład skrzętnie pomijano i dotąd się pomija go w pracach poświęconych współczesnej literaturze. Jest to zjawisko które mnie zdumiewa do dziś. Wańkowicza książek nie ma także w tzw. szkolnych lekturach obowiązkowych, co dziwi patrząc na zestaw wytypowanych nazwisk innych pisarzy.

Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69 – Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1995.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-rocza

roczna

Ceny na rok 1995

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifschies, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hesselstrasse 39/41, Postfach 340108, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tysko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 485 — WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



TOM 488 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO JEDENASTY

zawiera opracowania: A. Paczkowski: „*Wielki historyczny eksperyment*” czyli koniec realnego socjalizmu (w Polsce); A. Grzywacz, G. Mazur: *Raport o pracach Oddziału II Sztabu Głównego w zakresie dyplomacji wojskowej*; Wł. Zajewski: *Tradycja i współczesność w sporach o model ustrojowy*; J. P. Horzelski: *Notatki z 1939 r.*; J. Rakowski: *Kulawa analogia i zaniedbane doświadczenie*; G. Mazur: *O wileńskiej Armii Krajowej. Na marginesie artykułu Z.A. Siemaszki*; P. Wandycz: *Nowa wersja „Kroniki Życia” Piłsudskiego*; T. Wyrwa: *Wojna 1920 roku z perspektywy lat*; E. Halicz: *Armia ze skazą*; K. A. Kuczyński: *Uchodźstwo polskie w Rumunii 1939-1940*; Kat-suyoshi Watanabe: *Historia Polski w Finlandii*; OKRUCHY HISTORII I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.